MŁODA POLSKA

MŁODA POLSKA W PIEŚNI

Warszawa. — Druk Piotra Laskauera i S-ki.

CZESŁAW JANKOWSKI

MŁODA POLSKA W PIEŚNI

WYBÓR CELNIEJSZYCH POEZYI
OSTATNIEJ DOBY

WYDANIE DRUGIE
(przerobione, powiększone, dopełnione)

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW—G. GEBETHNER I S-KA
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 17 Сентября 1902 г.

Przedmowa do pierwszego wydania.

Oto nowy akord polskiej pieśni.

Wzięli go, na strunach ogranych przez mistrze, ci, co po zmierzchu helikońskich bogów, nie dali zamilknąć poezyi naszej, bądź podchwytując przedźwięczające tony, bądź nawiązując do nich nowe, nietknięte jeszcze nuty...

Zaledwie zgasło nad Bosforem to słońce, w którego promieniach odrodziła się i zmężniała potężnie pieśń nasza, jęły tworzyć się dziwne legendy o tem, jakoby pod płytą grobową paryskiego Montmorency zamilkła na zawsze lira polska, jakoby z kresem tak zwanej Mickiewiczowskiej epoki miał się zbiegnąć kres -- poezyi polskiej.

Legendy te skwapliwie rozpowszechniane przez tych, którzy w wybujałości naszego poetyckiego romantyzmu dopatrywali jednej z przyczyn opłakanej wybujałości społecznych mrzonek, znalazły rychło wiarę wśród ciżb, dla któ-

rych biadanie nad „grobem poezyi“ i odmawianie racyi bytu „epigonom“ służyły za wygodne usprawiedliwienie reakcyjnej obojętności względem wszelkiej już teraz zgoła poezyi.

Straciła moc nad sercem ludzi poezya, echa wśród ludzi nie znajdowała już pieśń; zjawisko było aż nadto widocznem; należało je tylko uzasadnić. Dlaczego tak jest, jak jest? — pytano przed trzydziestu laty. I znaleziono przyczynę. Dlatego — powiedziano sobie — nikt dziś poezyi nie słucha, że niema słuchać czego. A skoro niema czego słuchać, tedy oczywiście i ucha nadaremnie nadstawiać nie warto. Zaś po takiem rozwiązaniu sprawy nastały istotnie czasy takie, że zniechęcona publiczność na lata i lata całe rozbrat zupełny wzięła z poetami swymi.

Ale negowanie faktu nie uprząta jeszcze rzeczy ze świata. Pomimo obojętności słuchaczów, pomimo chłodu owiewającego ją dookoła, na przekór ironicznym biadaniom i docinkom, poezya pomickiewiczowska, ton dalszy nieśmiertelnej pieśni, rozsnuwała się, rozwijała powoli, biorąc w siebie coraz to szerszą skalę tonów, biorąc na struny coraz dźwięczniejszych lir pierwiastki nieznane pieśniom poprzedników.

Na razie — jak inaczej być nie mogło — szły tylko dalsze rozwoje branych niedawno jeszcze potężnych chorałów i hymnów, podźwięki melodyi, co pod czarem swym trzymały dziadów i ojców naszych pokolenia, ale były to już tylko echa ech, błąkające się po lutniach i gęślach, niezdolnych jeszcze do uderzenia w ton

mozolnie a nadaremnie szukany. Jeszcze od czasu do czasu ozwał się pieściwy tryl ukraińskiego słowika, gdzieś w oddali wielkiej ponad gwarem stolicy świata, jeszcze od przerwy do przerwy zalatywał na swojskie niwy, hen z nad brzegów florenckiego Arna, ton fujarkowej piosenki lirnika mazowieckiego, jeszcze przez czas jakiś słychać było pod Tatrami milknące granie Mohortowych rapsodów, bolesne swoje *Cupio dissolvi* jęknął konający lirnik wioskowy — aż umilkli wreszcie i przycichli na zawsze jeden po drugim ci, co byli.

Ale jak życie samo, co przerw nie zna i próżni, co ostatnie zachodu błyski z przedświtami splata, wśród ciszy mogił nie skonała pieśń. Akordy jej jedne nie zdołały wybrzmieć jeszcze, a już podchwycili ją na lutnie swoje spadkobiercy nieśmiertelnej iskry Bożej. Buchnęły namiętnie liryki Sowińskiego, popłynęła szeroka pieśń epiczna Deotymy, zamigotała brylantowa piosenka Asnyka, w takt kielni i młota zabrzmiał śpiew „młodych", ozwał się kunsztowny głos Konopnickiej, jęły sypać się błyskotliwe, misterne, jak przedziwnych instrumentów tony, niebywałe zwrotki czcicieli formy — a mnogostrunny orkiestralny chór podniósł się i *a tutte corde* wtór im dał.

Rozległ się nowy akord polskiej pieśni, pełnią i świeżością dźwięków nie ustępujący pod niejednym względem nieśmiertelnym rapsodom i śpiewom złożonym już w skarbnicę swojskiego piśmiennictwa. Poezya pomickiewiczowska, poe-

MŁODA POLSKA W PIEŚNI

Przedmowa do wydania drugiego.

Antologii niniejszej wydanie drugie ma na celu wywołanie przed oczy czytelnika całkiem innego obrazu niż ten, którego rozwinięcie mieliśmy na względzie przy układaniu pierwszego wydania „Młodej Polski“.

Na schyłku minionego, XIX wieku, chodziło nam o poglądowe zadokumentowanie żywotności pieśni polskiej po zniknięciu z widowni plejady wielkich piewców; chodziło o zgrupowanie dowodów, że (wbrew ówczesnym popularnym poglądom) lira polska brzmieć i grać nie przestała ani po śmierci Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, ani nawet po zamilknięciu dwóch, trzech ostatnich przedstawicieli t. zw. mickiewiczowskiego lub romantycznego okresu poezyi naszej. Nie omylimy się może, twierdząc, że zdołaliśmy wówczas dać zgodne z rzeczywistością wrażenie obrazu twórczości poetyckiej polskiej w ciągu mniej więcej lat czterdziestu, t. j. od roku 1860 po rok

1897-my. Czterdziestolecie, podczas którego ozwały się kolejno lub do pełnego urosły tonu głosy: Sowińskiego, Asnyka, Faleńskiego, Deotymy (pierwsze pieśni „Sobieskiego“), Konopnickiej, Gomulickiego... (aby wymienić tych tylko imion kilka przodujących poezyi polskiej końca XIX wieku) — nie było zaiste ani zmierzchem, ani niedołężnem pobrzękiwaniem epigonów. Był to okres samodzielny, mający nastrój własny, ton własny, nie pożyczanym tylko blaskiem zdobny. Odwzorowując go w pierwszem wydaniu „Młodej Polski“, przetkaliśmy go z jednego brzegu nazwiskiem Odyńca, nazwiskiem Ujejskiego dla zaznaczenia jedynie obecności jeszcze wpośród nas tych seniorów ówczesnych Parnasu polskiego — z drugiego brzegu wpletliśmy weń kilka nazwisk, dopiero pojawiających się na horyzoncie poezyi naszej, dla uwidocznienia zapoczątkowanego dalszego rozwoju pieśni polskiej. Tych, rzuconych na ostatnie karty antologii nut kilka, krótkich leitmotywów kilka nawiązywało właśnie pierwsze jej wydanie do przewidywanego niniejszego, ponownego jej układu.

Jakich dziś poetów mamy? Na to pytanie odpowiedzieć pragnie obecne wydanie „Młodej Polski w pieśni“.

Przeszło pięćdziesiąt nazwisk kładziemy na te karty, a wiemy, żeśmy do dna całej współczesnej zasobności Parnasu naszego nie wyczerpali. Wystarczy tych pięćdziesiąt nazwisk dla uprzytomnienia znacznej liczebności poetów polskich o świcie XX wieku. Obfita u nas chwila

obecna w poezyę. I — z godziwą dumą powiedzieć możemy -- obfita w poezyę doskonałą, wyższej skali niż twórczość poetycka niejednej współczesnej literatury.

Z upłynionego ostatniego czterdziestolecia minionego wieku ubyło nam wielu lutnistów. Pożegnali nas, odchodząc na zawsze w wieczność, ci, co jakby żywemi byli relikwiami doby romantycznej: Odyniec, Zaleski, Lenartowicz, Ujejski... pomarło wielu tych, co jeszcze oto w oczach naszych na lirach swych i lirenkach ton i nutę dawali pomickiewiczowskiej, z końca XIX wieku, poezyi naszej: Sowiński, Asnyk, Zagórski, Szymanowski, Bartels, Urbański, Miron, Wysocki, Stebelski, Grudziński, Ordon, Rodoć... Zamilkli powoli, odzywając się już z rzadka tylko, niejako goszcząc już tylko między nami, seniorowie nasi dzisiejsi: znakomity tłómacz „Orlanda“ Felicyan Faleński, sędziwy autor „Kłosów z rodzinnej niwy“ i „Sroczki“ Adam Pług. Natomiast jeden z najwybitniejszych talentów poetyckich naszych pomickiewiczowskiej epoki trwa do dziś dnia na Parnasie polskim, świetniejszym niż kiedy siejąc blaskiem. Wśród bujnego rozgwaru głosów „młodych“, ta, nad której improwizacyami unosił się pół wieku temu Mickiewicz, snuje nam ciąg dalszy pieśni swojej o Sobieskim, „tka — jak wyraził się niedawno Sienkiewicz — jedwabiem, złotem i tęczą na olbrzymich krosnach epos o królu-olbrzymie“. Nie zdołały też głosy „młode“ przytłumić najwspanialszej zarówno wczoraj jak dziś nuty poetyckiej Parnasu polskiego.

Podobnie jak na parnaskim widnokręgu minionego czterdziestolecia prym trzymała pieśń Konopnickiej, tak też i na progu XX wieku kunsztu jej żaden głos nie zaćmił. Nie dlatego, że literatura nasza posiada w chwili obecnej największą poetkę, jaką kiedy wydał ród niewieści, ale dlatego, że ów największy talent poetycki niewieści jest zarazem największym wogóle talentem poetyckim we wszechświatowej współczesnej literaturze. Wielu z tych, którzy wczoraj jeszcze coraz pełniejsze i doskonalsze rzucali nam akordy, bądź przycichło stopniowo, bądź zaniechało wyższego strun strojenia. Rzekłbyś: zasłuchali się sami w chór głosów świeżych, cofnęli się od współzawodnictwa, dobrowolnie lub instynktownie ustępując z pola. Jedna Konopnicka przerzuca śmiało z XIX-go w XX-ty wiek przedziwny swój epos emigracyjny i pereł garść, co zwie się „Italia". Otwórzmy nawias i zaznaczmy wysoki polot oraz kunszt ostatnich utworów poetyckich Kazimierza Glińskiego (np. „Do braci pieśniarzy").

A głosów „nowych" plejada cała. Kasprowicz, Tetmajer, Wyspiański, Żuławski, Dębicki nadają temu chorałowi ton ponurego pesymizmu. Pierwszy z nich, pasowany przez p. Przybyszewskiego na „naczelnego współczesnego pisarza polskiego", jest apologetą cierpienia, które, jak ogień rudę, oczyszcza człowieka; „bierze je na swoje barki, dźwiga bez skargi i roztkliwiań cały ten straszny ciężar", w duszy jego wszystko staje się cierpieniem; na cześć boleści hymny śpiewa,

korząc się przed cierpieniem, „źródłem zła, okrutnym szatanem, co rozpanoszył się na ziemi, z którego szpon nie wydrze się ludzkość nigdy, bo szatan ów opanował ludzkość rozkoszą".

Bądź pozdrowiona...
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!

A Żuławski wtórzy mu:

Wszystko mi jedno! Jakiem bądź istnieniem
Pokalam smutną i pragnącą duszę,
To wiem, że każde będzie mi cierpieniem,
Bo nieśmiertelne są moje katusze.

I przeto:

Dzisiaj tonę w zwątpieniu, w myśli czarnych roju:
W pierwszym dniu bitwy jestem już ciężko raniony,
W pierwszym dniu pracy jestem już ciężko znużony,
W samym życia początku już pragnę pokoju...

Aż wreszcie najdosadniejszy wyraz obezwładniającej rezygnacyi daje trzydziestoparoletni Dębicki:

Czy w tę czy w ową stronę iść,
Zachodu, pracy i sił szkoda.
. . . .
O śmierci, koicielko bólów,
Przyjdź!

Pomijamy dalsze wybiegi i odcienia tego kardynalnego nastroju pieśni polskiej współczesnej. Przewagę beznadziejnego pesymizmu od-

czuje każdy czytelnik niniejszego zbioru. Odczuje go nawet w utworach dwóch najmłodszych poetek naszych (Wolska i Ostrowska), na których talent niepowszedni pozwalamy sobie zwrócić szczególniejszą uwagę. Więcej hartu, więcej oporu lub insynktowego otrząsania się ze zmory zwątpień i rozpaczy znajdziemy u Niemojewskiego, Rydla, Przesmyckiego, Langego, Zalewskiego, zwłaszcza u Staffa, ale ton zasadniczy ich pieśni nie wybiega z ogólnego tła poezyi polskiej doby dzisiejszej. Nie tu miejsce tłómaczyć, dlaczego tak jest; stwierdzamy tylko fakt.

Poezyi naszej ostatnich lat zarzucano często, że jest nazbyt „egotyczną"; smagano ją bezlitośnie za „sobkowską analizę", za „sobkowską lirykę". Oburzano się na bezustanne analizowanie przez poetów własnego ja. Gdybyż chciano poprzestać na chłostaniu przesady w tym kierunku, nadmiaru egotyzmu! Egotyzm w poezyi lirycznej (a liryczną przeważnie była w ostatnich latach poezya nasza, liryczną przeważnie jest dziś jeszcze) ma nietylko racyę bytu, ale wręcz podstawą jest liryki wszelkiej. Z głębi owego egotyzmu wytrysły wszak w poezyi naszej takie arcydzieła, jak wstęp i zakończenie „Przedświtu", „Smutno mi, Boże", improwizacya Konrada. Powiedzą nam: wolno subjektywne liryki pisać, gdy się jest Krasińskim, Słowackim, Mickiewiczem, zaś skoro się nie jest jednym z nich — nie wolno! Nie!... Inaczej należy sformułować ów paradoks. Należy wprost powiedzieć: tylko wiersz

doskonały jako dzieło sztuki ma racyę bytu; wiersz gorszy niż doskonały niema racyi istnieć.

Tak zwane „myśli szczytne“, filozoficzne światopoglądy, wieszczenia, hasła, wezwania, mają, rzecz prosta, otwarte do poezyi wrota, ale żadną miarą o wartości poetyckiego utworu stanowić nie mogą. Miejsce dla nich w filozoficznych traktatach lub w utworach tego rodzaju, co np. „Nieboska komedya“. Wiersz — jak obraz; powinien posiadać *przedewszystkiem* zalety poetyckie, podobnie jak obraz, chociażby najogromniejszy treścią, powinien posiadać zalety malarskie, powinien być dobrze namalowanym. Wartość eposu Danta nie polega na filozoficznych i historyozoficznych domieszkach. Poetyckiem arcydziełem jest niejeden wiersz Heinego, nie mający nic wspólnego z filozofią, „myślami szczytnemi“, tyrteuszostwem, moralizowaniem. Poezya jest sztuką; sztuka niczyją sługą być nie powinna; jeżeli bierze co w siebie, to panuje nad tem, co w siebie wzięła.

Że zaś zalety poetyckie nie polegają jedynie na nieskazitelności lub niezwykłości *formy*, rymu i rytmu, dowodzić zbyteczna. Jeśliby wyłącznie kunsztowność formy stanowić miała o doskonałości wiersza, musielibyśmy na pierwszem miejscu wśród utworów poetyckich niniejszego zbioru postawić np. „Pantum“ lub „Księgi proroków“ Langego. O *dobrej* zewnętrznej formie wiersza dziś już mowy niema; stała się i obowiązującą i powszechną; stała się jedną z najpospolitszych zalet poetyckich. Jest, a nie czujemy

jej w „Liście“ Konopnickiej, w „El mole rachmim“ Gomulickiego, w „Na Anioł Pański“ Tetmajera, w „Romanzy“ Przesmyckiego, w strofach Deotymy, w wierszu Oppmana, Laskowskiego, Górskiego... Ale — nie przewodnikiem pragniemy być czytelnika, jeno chodzi nam o zaznaczenie bogactwa poetyckiego pieśni polskiej współczesnej.

Zaiste, skala szeroka, pomimo pewnej, zaznaczonej wyżej, jednolitości tonu wśród „najmłodszych“! Zestawmy tylko ponurą refleksyę Żuławskiego z przedziwnemi malowidłami Or-Ot'a, granitowe oktawy Wyspiańskiego z werwą artystyczną piosnek Laskowskiego, melancholię Dębickiego z wyjątkową na naszym współczesnym Parnasie pogodą Orwicza, prostotę epiczną Pługa lub Wierzbickiego z egzotyzmem lub alegorycznemi mgłami Langego i Daniłowskiego... Skala rozległa. Humoru tylko ani błysku.

Pragnęliśmy uwydatnić tę różnorodność nastrojów, tonów, form. Z dzieł niejednego poety musieliśmy pominąć niejeden wiersz bardzo piękny, sięgając po wiersz dla ogólnej twórczości autora — charakterystyczny. A jednak wiemy, że (w szczupłych ramach niniejszej antologii) nie sposób nam było uwydatnić dokładnie niejednej charakterystyki. Tak oto np. cytata ze „Sroczki“ ujęła miejsca lirycznym, serdecznym wierszom Pługa z przed lat; improwizacye Deotymy pominęliśmy całkowicie, dając miejsce wyjątkowi z jej „współczesnego“ poematu; Faleński lwią część swego wielkiego talentu poetyckiego włożył

w przekłady, ale przekłady wszelkie wyłączone z niniejszego zbioru (a na Parnasie współczesnym mamy przecie takie arcydzieła tłómaczeń, jak „Don Żuan" Porębowicza, „Orlando" Faleńskiego, przekłady Adama Mskiego, mnogie pieśni z „Iliady" Rydla, doskonałe przekłady Kasprowicza i Miriama lub L. Belmonta przekład „Oniegina"). W Oppmanie zbiór niniejszy nie pokazuje nam wcale wdzięcznego, uczuciowego liryka, bo przewaga jego twórczości poetyckiej po stronie szeroko uwzględnionych obrazów z przeszłości. Z wierszowanych dzieł dramatycznych poetów naszych współczesnych nie czerpaliśmy wcale, bo cytatom scen lub aktów całych rozmiar książki niniejszej stał na zawadzie. Przeto też przypomnieć tylko możemy na tem miejscu czytelnikowi, że niejeden jeszcze klejnot pieśni polskiej spoczywa w dyalogach „Wesela", „Legionu", „Protesilasa i Laodamii", „Zawiszy Czarnego", „Zaczarowanego Koła"...

Nie trzymaliśmy się wreszcie ślepo „rozgłosu" danego autora. Brak niejednego wiersza, któremu krytycy i sprawozdawcy nie szczędzili swojego czasu pochwał i zachwalań, bierzemy na własną odpowiedzialność. Pozwalamy sobie mniemać, że tak obfity dobór różnorodnych a niemal bez wyjątku *pięknych* utworów poetyckich zjedna względność czytelników dla samodzielności osobistej, co kierowała niniejszym wyborem.

1902. *Cz. J.*

KAROL BRZOZOWSKI.

Ur. r. 1821 w Warszawie.

»Noc strzelców« (1856); »Ognisty lew« (1857); »Deli Petko« (1876); »Sen w Bałkanach« (1877).

———

NA PRZESILENIE WIOSENNE.

Po niebie gna tumany chmur
Szalony wichr marcowy,
Rozdziera strój na szczytach gór,
Twój, zimo, strój lodowy.
W tych kłębach chmur, co błyskawicą
Czerwone gromem biją,
Zawitaj nam Dziewico,
Zawitaj nam, Maryjo!

Strwożonym mów, że w gromie burz
Twe państwo już się rodzi;
Że w grozie tej jest pączek róż!
Lecz, Matko, świeć tej łodzi,
Co z mórz się szałem grzmiącym łamie;
O Gwiazdo mórz Ty święta!
Wierzącym daj Twe ramię,
Niech płynie łódź nietknięta!

W dolinach kwiat zbudzonych drzew
Na wpół wygląda z pąków
I ponad niw zielony siew
Wzlatuje rój skowronków;

O Maryo! Ty miłości zdroju,
Rolnika spełń nadzieje,
Niech Twoje nań w pokoju
Błogosławieństwo wieje.

I ptaszkom daj na gniazdko cień
W rozkwitłem państwie lasu;
I ludziom daj miłości dzień,
I rozkosz daj wywczasu;
Gdy przyjdzie maj, krynico łaski!
Cór ziemi przyjmij wieńce;
Ty w cnót je ubierz blaski,
Ty daj im oblubieńce!

Dla wielu, wiesz, że wicher ten
Jest innej wiosny zwiastun:
Że kości ich na wieczny sen
Grób zimny weźmie piastun;
Pocieszycielko konających,
Maryjo, Matko święta!
Z dusz w Ciebie ufających
Zdejm ciała ziemskie pęta.

I ucho daj modlitwom łez
Na mogił smutnem polu;
W Twą pieczę weź: mirt, lilię, bez,
Posadzon ręką bolu.
Siej Maryo, Matko Ty boleści!
Na groby zapomniane,
Lub skryte gdzieś bez wieści:
Podarki Twe wiośniane!

ANTONI PIETKIEWICZ.

(ADAM PŁUG).

Ur. r. 1824 w Zamościu pod Słuckiem w gub. Mińskiej.

»Zagon rodzinny« (1858); **»Kłosy z rodzinnej niwy»** (1858); **»Pamiątki domowe»** (1858); **»Sroczka»** (1868).

Z POEMATU: „SROCZKA.“

Chmurno, mroczno, ziemia wszystka
Jak grób świeżo zasypany;
Czarne gaje, czarne łany,
Zielonego nigdzie listka,
Bo doroczne dary Boże
Przeszły wszystkie zwykłą drogą,
A co przyszłość zdarzyć może,
Skryte jeszcze pod złowrogą
Zimnej gleby bryłą czarną,
Gdzie nim deszcze je poleją,
Długo tęskniąc biedne ziarno
Wpadło w letarg z swą nadzieją.

Smutno, straszno!... gdzie rzuć okiem,
W zamieszaniu wszystko dzikiem.
Trzoda z pola z smutnym rykiem,
Człek skwapliwym pędzi krokiem;
Za złowieszczym wrzaskiem wrony
Ciężkim lotem rwą w przegony;

Zżółkłe liście górą, dołem,
Chyżo z wiatrem mkną po świecie,
Co po niebie, jak popiołem,
Chmur tumanem siwym miecie
I przewraca je, szamota,
Zwija w kłęby, w pasy ściele,
Aż w nich czasem, jak w popiele
Iskra, mignie gwiazdka złota,
Jakby smutnym oczom człeka
Na świadectwo, na znak święty,
Że kto burze te przeczeka,
Znowu jasne firmamenty,
Znów świetlane złote zorze,
Znów oglądać wiosnę może.
Niech więc jesień mroczy sobie!
Jak nastała, tak i minie;
A my, bracia, w słotnej dobie,
Ot, zasiadłszy przy kominie,
Na złość chłodnej zawierusze,
Grzejmy kości przy tym żarze,
Na złość nudom, cieszmy dusze
W przyjacielskich gawęd gwarze.
— O czem gwarzyć? — O czem chcecie,
Toż nam treści nie brak przecie...
Byle tylko, mój sąsiedzie,
Nie o troskach, nie o biedzie,
Nie o morze, nie o głodzie,
Małych zbiorach, lichym wschodzie,
I tak dalej, i tak dalej,
Czem ziemianin rad się żali.
Skarg zaniechać raz już trzeba,
Zdać się Bogu w mocnej wierze;
Gdyś zaorał, zasiał szczerze,
To już reszty czekaj z Nieba, —
Co nie zeszło na jesieni,
To się z wiosną zazieleni, —
Z polityki także kwita!
Człek nią głowę próżno mroczy;

Świat się swoim torem toczy
I o zdanie nas nie pyta,
Mnie, ni ciebie, mój rejencie,
Ani tego, co w gazecie
Te smalone duby plecie,
Którym Waćpan wierzysz święcie.
Więc najlepiej zwróćmy oczy
W lat minionych czas uroczy,
Przypomnijmy stare dzieje,
Te rozkosze i boleści,
Z której dzisiaj człek się śmieje,
Ale duszę niemi pieści,
I otula, jak w makowe
Liście, biedną, starą głowę...
Sam początek pierwszy zrobię
I opowiem wam o sobie.

Lat półkopy i z naddatkiem,
Byłem chłopcem istne cacko!
Nie papinkiem, nie gagatkiem,
Ale zuchem z miną gracką,
Z licem, jak krew żywa z mlekiem,
Krzepki, jakby dębczak młody,
Zwinny — na bok z kozłem dzikim,
Śmiały — w ogień czy do wody!
Z sercem miękkiem, jak wosk lepki,
Z głową nie bez piątej klepki!...
Bóg nie skarał mnie tym brakiem;
Ale, żem był jedynakiem,
Że zmarł ojciec, gdym był w szkole,
Zatem, jak to często bywa,
Moja matka nieszczęśliwa
Wzięła do dom swe pacholę,
Nim oleju mu do miary
W głowę mogły wlać Pijary.
Stąd więc czegoś brakowało,
Ale pono bardzo mało,
Może nawet i nic zgoła,

Jak sądziła moja mama;
Bo natura nieraz sama
Więcej da, niż wszelka szkoła.
Mnie też dała bardzo sporo,
Zwłaszcza w ową głowy stronę,
Kędy sztuki wyzwolone
Swoje święte źródło biorą.
Więc w malarstwie: piórem śmiałem
Ptaszki, kwiatki i koniki,
A najbardziej deseniki
Przecudownie malowałem,
A więc w rzeźbie, czy snycerce:
Scyzorykiem (cud zręczności!)
Z bursztynu, szyldkretu, kości,
Mogłem wyciąć czy to serce,
Czy to krzyżyk, czy malutki
Kluczyk do malutkiej kłódki.
Lub wreszcie z pestki wiśniowej
Koszyczek filigranowy,
Co wszystko wonczas dziewice
Nosiły jak zausznice.
Ale na mil parę kołem
Dało sławę mi snycerza
To, że z drzewa raz wyciąłem
Z włócznią i szablą żołnierza,
Co na pręcie osadzony
I wyniesiony na strzechę
Naszej chatki, na wsze strony,
Na dziw ludziom i pociechą,
Tak się kręcił i tak srodze
Machał włócznią, ciął szabelką,
Że aż wróble z wrzawą wielką
Uciekały odeń w trwodze. —
Więc w muzyce: (Boski darze!)
Grałem ślicznie na gitarze,
I to z nut, walce,mazury,
Anglezy i krakowiaki;
A gdym wziął się na pazury,

To, jak Paganini jaki,
Grałem nawet sławną *Burzę*,
Utwór wspaniały nielada,
Gdzie grzmi, błyska i deszcz pada,
Nadto przy gitary wtórze,
Co zaleta też niemała,
Śpiewałem, jak Catalani:
„*Czegoś oczki zapłakała*“, —
„*Przyznam ci się moja pani*“, —
„*Szumi wiatr z gradem zmieszany*“, —
„*Nie wytrzymam, powiem mamie*...“
Lecz nie zliczę, bo nie kłamię,
Piosnek lik był nieprzebrany.
Dalej w tańcu: Boże drogi!
Ryba w wodzie, ptak w błękicie!
Co za dziarskość! co za życie!
Rzekłbyś lecą skry z podłogi,
Gdy bywało przy swej lubce
Zamaszyste tnę hołupce!
I do konia: bies nie chłopiec!
Jak nań skoczę, huknę, świsnę,
Mur, płot, parkan, rów czy kopiec,
Choćby przepaść, fraszki istne,
Już i wicher mnie nie zgoni!
Takim dzielny był do koni!
A do strzelby: na sto kroków
O nóż kule rozcinałem
I jaskółki z pod obłoków
Miotłem w zakład każdym strzałem.
A na dziki czy niedźwiedzie
Polowanie jak się zdarzy,
To bywało, kto rej wiedzie?
Jużciż ja! a strzelcy starzy,
Choć z zawiści chmurzą czoła,
Choć klną skrycie całą duszą,
Zawsze jednak przyznać muszą,
Że nikt sprostać mi nie zdoła,
Bo każdego z nich przesadzę

I w celności, i w odwadze.
Lecz to wszystko niczem jeszcze!
Najchlubniejszą mą zaletą
Było to, co w końcu mieszczę,
To jest, że byłem... poetą,
I na kwiatki, na strumyki,
Na gwiazdeczki, księżyc złoty,
Śpiewy ptasząt, żab skrzekoty,
Wycie wichrów, jęk sów dziki,
Ślicznem układał wierszyki,
Słynne parę mil dokoła.
A więc miała racyą mama,
Że natura nieraz sama
Więcej da, niż wszelka szkoła.

Tak więc żyłem wśród igraszek,
Szczęsny, wolny, jakby ptaszek.
Bo choć jasne dziewcząt oczy
Biły we mnie ostrym strzałem;
Z każdą grzeczny i ochoczy,
Żadnej jednak nie kochałem.
Aż, jak ongi na Matyska,
Tak i na mnie przyszła kréska.
Raz, pamiętam, na jesieni,
Wykradłszy się szlachcie braci,
Sam wypadłem z strzelbą w knieję.
Ślicznie było. Las się mieni
W cudne barwy: zielenieje,
Skrzy się, złoci i szkarłaci
W różne cienie i odmiany,
Jakby tęczą opasany,
Jakby w niebios strop wysoki
Ktoś powprawiał za obłoki
Takie szyby kolorowe,
Jak te, co z nich po kościele
Na przyklękłej rzeszy głowę
Słońce barwne smugi ściele.
Cicho było, uroczyście:

Wciąż szeleszczą tylko liście,
Wiecznie drżące na osinie,
I od sosen na wsze strony,
Jak pacierza szept stłumiony,
Szmer poważny, smętny płynie.
Cicho, żaden ptak nie śpiewa,
Czasem tylko sójka wrzaśnie
Albo żołna, co hałaśnie
Twardym dzióbem tłucze w drzewa,
Lub zaświszcze na jastrzębie
Drozd spłoszony.
Z słuchem, wzrokiem
Zachwyconym tym urokiem,
Coraz dalej szedłem w głębie,
Gdzie krok każdy mi odsłania
Nowe czary, nowe dziwy.
Zapomniawszy polowania,
Z *myślim* tylko był *myśliwy*.
Wtem, daleko gdzieś ode mnie,
Huknął ktoś raz, drugi, trzeci...
Głosek słaby, — pewno dzieci
Lub dziewczęta, co wzajemnie
Nawołują się po borze,
Biorąc rydze i opieńki.
A żem w dobrym był humorze,
Więc, udając głosek cienki,
Tymże trybem jota w jotę
Odhuknąłem przez pustotę.
„Hop, hop, hop!“ brzmi znów po lesie;
„Hop, hop, hop!“ znów echo niesie.
I tak ciągle. Okrzyk rośnie,
Wciąż się bliżej, jaśniej znaczy,
Ale jakoś tak żałośnie,
Tak płaczliwie, jak w rozpaczy.
Zrazu zbierał śmiech mię pusty
Na myśl, jak tam ktoś przez chrósty
I przez kłody, i przez łomy
Drze się, myśląc, żem znajomy,

I jak, kiedy niespodzianie
Z obcym oko w oko stanie,
Może śliczna panna jaka
Zmiesza się i spiecze raka
I... lecz później myślę sobie:
Czyż uczciwie ja to robię?
A jeżeli w tym obłędzie
Ktoś od drużek swych gromady
Tak daleko się zapędzi,
Że ich całkiem straci ślady?...
Dość-że tego! Więc co żywo
Chwytam trąbkę swą myśliwą
I dmę, co tchu starczy ino.
Zmilkłem; echa w lesie płyną,
Długo, długo... znikły w dali.
Słucham: głosek znów się żali,
Jęczy, płacze. — Bez wątpienia
Ktoś zbłąkany! Więc z ramienia
Zrywam strzelbę i w obłoki
Na wiatr palę. Las głęboki
Jak od gromu wstrząsł się cały,
Echa echom huk podały,
I znów cicho, i znów słyszę:
Mąci głos żałosny ciszę.
Toć już przecie nie uwodzę,
Biłem w trąbkę, dałem strzał;
A głos jęczy, jakby w trwodze
Czy boleści skonać miał!
Snadź ratunek tam potrzebny...
Wpadam w zapał więc chwalebny,
Trąbię, daję strzał za strzałem
I przed siebie pędzę cwałem.
Wtem... o dziwy!... osłupiałem,
Skamieniałem!...
Na powale
Dębu, na mchów aksamicie,
Urok! czary!... czy słyszycie?
Czy wierzycie? Świtezianka,

Czy rusałka, — cud-dziewica,
Czarnooka białolica!
W bujnych zwojach z pod jej wianka,
Co go tworzą barwne liście,
W jakie jesień przystrojona,
Na prześliczne jej ramiona
Spada kruczy włos rzęsiście
I osłania śnieżną szyję,
Kędy z jagód dzikiej róży
Kraśny, lśniący sznur się wije,
Co nad koral wdzięczniej służy;
Wiotką kibić, zamiast wstęgi,
Widłak, jakby sznur zielony,
Ujął w koło w swoje kręgi
I ku stopom skroś festony
Porozwieszał po sukience,
Co stargana i pomięta;
Załamane białe ręce,
We łzach toną jej oczęta,
W licach przestrach i ból srogi,
Drżą usteczka, a pod nogi
Porzucony koszyk widzę,
Co mech stroi w żółte rydze.
  Stoję, milczę, milczy ona.
Jak zaklęci wraz oboje;
I rusałka przelękniona,
I ja sam się czegoś boję.
Spojrzę, — spłonię się, to zblednę,
Zadrżę skrycie duszą całą...
Dziwy! jakże dziewczę jedne
Tak z odwagi mię obrało?
Chcę przemówić, — niema głosu;
Chcę się ruszyć, — brak mi siły.
O mój Boże, Boże miły,
Od strasznego zbaw mię losu!
To rusałka, bez pochyby...
Wszak ich w naszych lasach wiele;
A ten wianek i to ziele,

I hukanie, płacz i grzyby,
To wybiegi i mamidła,
By mię łacniej ująć w sidła!
Bo jak łzawe swe oczęta
Na mnie zwróci, to się zdaje,
Że w nich taki czar, ponęta
I rozkoszne takie raje,
Iż ochoczobym za niemi
Na sam koniec pobiegł ziemi...
Zbaw mię, Boże! ratuj, Panie!
I w strach taki wreszcie wpadłem,
Żem chciał drapnąć, co sił stanie,
Przed złowrogiem tem widziadłem...
Już pomknąłem... A wtem ona
Nagle z kłody ku mnie skoczy.
Wzniesie w górę swe ramiona,
Zwróci na mnie łzawe oczy
I zawoła w głos spłakany:
„Ratuj, na Chrystusa rany!“
A więc raptem w miejscu skręcę,
Na jej okrzyk ten boleśny,
I zapytam: „Co panience?
To panienka nie duch leśny,
Nie rusałka?“
„O mój Boże!
Pan żartuje tak z niebogi;
A ja błądzę w dzikim borze
I nie mogę znaleźć drogi.
Sił już braknie mi...!“ zakwili
Łzawym głosem, w dłonie drobne
Kryjąc liczko swe nadobne,
Z rzewnym płaczem. Bracia mili!
Ach, ten głosek! to jej łkanie!...
Takim głosem, z łkaniem takiem
Gdyby rzekła: „Stań się ptakiem,
W lot mię unieś!“ — byłbym w stanie
Orłem wzbić się pod lazury
I ją unieść swemi pióry.

...ę wzruszony, drżący wszystek,
...siny wiotki listek,
...d głową mą szeleści,
...ąc, jako mi z boleści,
...wosk w ogniu, serce topnie,
...sem, gdzie już łez nie mało,
...nę wzajem: „To okropnie!
...dżeś panna? Co się stało?“
„Z Rudki: w grzyby wyszłam z rana;
Niedźwiedź spłoszył mię; zbłąkana,
Z tego boru wyjść nie mogę.
Ratuj, panie! wskaż mi drogę!“
— „Niedźwiedź? Boże litościwy! —
Krzyknę w zgrozie, łamiąc ręce. —
Ale służę już panience;
Jam bywały tu myśliwy,
Znam ten las, jak swą zagrodę,
W nocy nawet stąd wywiodę“.
Wpół z radością, wpół z obawą,
Spojrzy na mnie rzewnie, łzawo,
I uśmiechnie się przez łezki:
Anioł chyba już niebieski
Takie słodkie, cudne oczy,
Taki uśmiech ma uroczy!
Potem w koszyk swój zgromadzi
Rydze ze mchu naokoło
I swobodnie już, wesoło
Rzecze: „Niechże pan prowadzi!“

Aż nareszcie nad wieczorem
Bór się skończył, a za borem,
Poza niwą, o staj parę,
Przy sadzawki wodzie sinej,
Śród topoli i wierzbiny
Widać dworku ściany szare.
Pótyż mego szczęścia, póty!...
Smutny, gorzki, jakby struty.

Krok zwolniłem, czapkę zdjąłem,
I niziuchno chyląc czołem:
— „Otóż Rudka — rzekłem — sądzę,
Że stąd trafi już panienka,
Nie zabłądzi." — „O, zabłądzę,
Lub znów niedźwiedź mię nalęka".
— „Toć już przecie widna brama..."
— „O, nie pójdę za nic sama!
Niech na miejsce pan prowadzi.
Będzie miło memu dziadzi
Nieco bliżej poznać pana.
Wreszcie, czyż to rzecz słychana
Cofać się przed samą chatą?
Nie pozwolę nigdy na to!
Proszę za mną."

Więc szczęśliwy,
Szedłem za nią wzdłuż przez niwy,
Ku dworkowi. Owóż brama.
Wchodzim; w ganku szlachcic stary,
Com w nim poznał wnet Adama,
Na szerokiej siedzi ławie;
U nóg jego dwa ogary,
Po dziedzińcu chodzą pawie
I moc drobiu, z ptactwem dzikiem
W najpiękniejszej komitywie:
Orzeł brata się z indykiem;
Srokę wita gęś życzliwie;
W gołębniku kawka rada
Przy gołębiu się rozsiada;
Mimo wróbli gwarną rzeszę,
Sowa duma coś na strzesze;
Żóraw pląsa; kuropatwa
Z krukiem, z kurą w jednej lidze,
Jakby jednej matki dziatwa.
A wśród zgrai ptactwa, widzę,
Czworonogich tłum się plącze:

Z psami skaczą sarny rącze;
Lis z zającem mknie w zawody;
Z kozłem igra wilczek młody;
A tam kotek się gramoli
Za wiewiórką po topoli.
A to dziwy, istne dziwy!
Toż tu chyba raj prawdziwy! —
Ledwie weszliśmy we wrota,
Gdy to wszystko, w jednej chwili,
Jak zatętni, załopota,
Jak zaskomli, jak zakwili,
Jak się rzuci ku panience,
Jak opadnie ją dokoła!...
A ta na nie klaska, woła,
Głaszcze, pieści, bierze w ręce,
Do ust tuli rozczulona!...
Jedne siadły na ramiona,
Drugie siadły jej na szyję,
To na piersi skacze, owo
U jej nóg się wdzięcznie wije,
Inne buja ponad głową,
Lub się u sukienki wiesza, —
Słowem, przy niej cała rzesza!
W jej pośrodku, w ptactwa chmurze,
W zwierząt tłumie, w barwnym wianku,
W purpurowych jagód sznurze,
W wstęgach z ziela, gdy do ganku,
Wywijając swym koszykiem,
Rozpuściwszy włos warkoczy,
Biegła z pustym śmiechem, krzykiem;
Widok to był tak uroczy,
Z otoczeniem tem i strojem,
Zdała mi się takim dziwem,
Żem znów zwątpił w sercu swojem,
Czy to wszystko nie zdradliwem
Złego ducha omamieniem?
I z obawą i zdumieniem
Nieco zdala szedłem za nią.

Wtem, przestawszy witać panią,
Psiarnia nagle na mnie wpada.
Chwytam strzelbę i dokoła
Nią wywijam; — trudna rada.
Dziewczę także próżno woła; —
Jakby wściekłe wrą, ogary!
Aż jak huknie dziadek stary:
„Harap, łotry! a do nogi!“
W moment ucichł wrzask zajadły,
Cała zgraja pierzchła z drogi;
Psy opodal się pokładły,
Każdy cichy, jak baranek;
A jam z panną wszedł na ganek.
Dziadek, suchy i kościsty,
Z podgoloną łysą głową,
Nos miał orli, twarz surową,
Wąs potężny, zawiesisty,
Brwi nawisłe, oczy siwe,
Jasne, bystre, przenikliwe;
A choć siedział trochę zgięty,
Przyrządzając łowcze sprzęty,
Dość nań spojrzeć tylko było,
Żeby poznać, że, jak wstanie,
Z dębem pójdzie w porównanie
Swoim wzrostem, swoją siłą.
Owóż siedząc na swej ławie,
Ani spojrzał na nas prawie,
Spytał tylko z miną groźną;
— „Skądże aśćka tak mi późno?
Gdzie latałaś do tej pory?
Czy już wszystkie muchomory
Wyzbierałaś w puszczy całej?
Gdzież twe dziewki się podziały,
I skąd aśćce dziś się bierze
Kompan w tym tu kawalerze?“
A panienka k'niemu skoczy
I do kolan mu przypadnie,
I tak wdzięcznie patrzy w oczy,

I przymila się tak ładnie;
Że się stary niby dąsa,
A uśmiecha się z pod wąsa,
I rozchmurza się powoli.
Spojrzy na nią coraz czulej,
I ramieniem ją okoli,
I do piersi swych przytuli,
I z lubością włos jej głaska,
I liściastą jej koronę,
I korale jej czerwone,
I zielone sznury paska.
— „Cóż to było, moja trzpiotko?“
Znów po chwili pyta słodko.
Więc panienka mu szeroce
O przygodzie swej szczebioce,
A opowieść kończy całą
Tem, że gdyby jej nie dało
Niebo zbawcy w mej osobie,
„Toby może już w tej dobie
Twoją wnuczkę, dziadku miły,
Wilki w puszczy gdzieś włóczyły!
Pan Jan znalazł mię wpół-żywą
I opieką swą poczciwą
Tak otoczył, tak troskliwie
Szukał ścieżek w borze dzikim;
Że rozumiem, choć się dziwię,
Jak mi, z takim przewodnikiem,
Leśnej drogi spory kawał
Wcale długim się nie zdawał...
A patrz, dziadku! choć w fatydze,
W strachu, w głodzie do tej pory,
Jednak mam tu dla cię rydze
I dla muszek muchomory.“
Dziadek ku mnie głową skinic,
Ale czoło mu się mroczy;
Bystro spojrzy ku dziewczynie,
To mnie w licach utkwi oczy...
Coś wyraźnie na wąs mota,

Coś upatrzył widać we mnie;
Snadź posądza mnie tajemnie...
O co?... Grzeczność święta cnota;
A więc, choć mię złości biorą,
Zbliżam doń się i z pokorą,
Jak chcą stare obyczaje,
Nizki pokłon mu oddaję
I całuję dłoń sędziwą.
Dziad mą rękę porwał żywo,
Ścisnął, aż mi chrupły kości,
I — „Bóg zapłać — rzekł — waszmości!
A zdalekaś błędną owcę
Tu mi przywiódł przez manowce?"
— „*Z Czarnej kniei.*" — Dziad się chmurzy,
Targa wąsy, głową kręci...
— „Pójdźno aśćka! po podróży
Pewno aśćce nie brak chęci
Coś przekąsić... i łaskawy
Twój przewodnik, jako wnoszę,
Również tęskni już do strawy.
Każ, niech dadzą... Tylko proszę,
O przygodzie przed sługami
Trzymaj język za zębami."
— „Czemu?" — spyta w wielkim dziwie.
— „Tak chcę!" — krzyknie dziad gniewliwie, —
„Tak chcę!" — Wyszła przelękniona.
Dziadek powstał, za ramiona
Ujął krzepko mię rękoma
I rzekł: „Słuchaj, kawalerze!
Krew nie woda, rzecz wiadoma...
Słuchaj! przyznaj mi się szczerze...
Las... samotność... dziewczę młode...
Djabeł nie śpi!... o przygodę
Łacno!... powiedz więc, czyś sromu
Nie wniósł czasem mi do domu?"
I, jak świdrem, tak oczyma
Wierci we mnie; twarz mu płonie,
Cały trzęsie się i zżyma;

A, jak kleszcze, silnie dłonie
Me ramiona cisną, kruszą...
Gdyby zdołał, toby z duszą
Wyrwał ze mnie prawdę całą;
A niech byłaby złowroga,
To, przysięgam wam na Boga,
Jużby ze mnie nie zostało
Jednej kości, krwi kropelki;
Jak grom, w prochby mię obalił,
Złamał, skruszył, ogniem spalił, —
Taki jego gniew był wielki!
Lecz i mój też niemniej srogi;
Zaigrała dusza młoda!
— „Na bok, — krzyknę, — respekt wszelki!
Gościem wszedłem w wasze progi,
Włos wasz siwy, lecz nie woda
W moich żyłach, krew to żywa,
Krew szlachecka, krew uczciwa!...
Posądzenie takie, starcze,
Straszne, niecne a potwarcze,
Krwią się tylko, krwią, krwią zmywa!“
I, jak niedźwiedź postrzelony,
Takem porwał się, że szpony
Dziada już mię nie wstrzymały.
Nieprzytomny, oszalały,
Zatoczyłem w krąg oczyma,
Czy gdzie blizko szabli niema...
Lecz dziad znowu mię ramiony
Chwyci, wzniesie nakształt dziecka
I zawoła ucieszony:
— „O poczciwa krwi szlachecka!
Kawalerze mój ty złoty!
Dość mi tego! Duszę zacną,
Czystą, pełną wielkiej cnoty,
Z tego gniewu poznać łacno!...
Przebacz! Stary-m, a wiek stary,
Wiek posądzeń, wiek niewiary;
Toż wzgląd na to mieć potrzeba.

Przebacz! a niech Bóg ci z Nieba
Błogosławi w każdej sprawie,
Jako ja ci błogosławię!"
I całował mię, i tulił,
Łkając, czoło znaczył krzyżem...
Więc, w przewrocie uczuć chyżym,
I jam również się rozczulił,
I ochłonął, i ze łzami
Całowałem starca ramię...
— „No, a teraz, gościu drogi,
Raczże wstąpić w nasze progi
I skosztować z dobrej woli
Szlacheckiego chleba, soli."
I podawszy ramię swoje,
Wiódł mię grzecznie na pokoje.

FELICYAN FALEŃSKI.

(FELICYAN).

Ur. r. 1825 w Warszawie.

»Kwiaty i Kolce« — »Z ponad mogił« — »Odgłosy z gór« — »Świstki Sylena« — »Harmonie jesienne« (1856—1876) — »Przekłady obcych poetów« (I. 1878. II. 1890) — »Przekład pism Petrarki« (1881) — »Meandry« (1892) — »Pieśni spóźnione« (1893).

TERMINUS.

Dzień i noc, w wichrach, mgłach i gołoledzi,
Wśród was na miedzy ja stoję —
Byście w pamięci mieli dwaj sąsiedzi:
Że tu jest jego, tam twoje.

I mam dwie twarze, bym w dwie strony snadnie
Naglądać mógł w jednym czasie,
Bo tak chcę: — każdy niech u siebie władnie
A od cudzego mu zasię.

I wiedzcie przeto wszyscy sercem prości:
Że, gardząc gwiazd życiem błogiem,
Wolałem, jako ludzkiej stróż własności,
Tu skamieniałym być Bogiem. —

Tak (mniej oględnie Olimp swój rzuciwszy)
Mową z granitu ciosaną
Wszem w obec prawił z Bogów najuczciwszy —
Terminus było mu miano.

Wtem przyszli tacy, którzy jak najszczerzej
Nie w Boga lecz w siebie wierzą,
I rzekli: — Wszystko wszystkim się należy —
Przeto jest własność kradzieżą.

Więc i ty precz stąd! boś zawalidroga
Praw, których wygląd się zmienia,
Ani też dłużej chciej udawać Boga —
Gdyś tylko bałwan z kamienia. —

To skoro rzekli, stróż ów granitowy,
Gdy mu obuchem w kark dano,
Padł i u nóg swych ujrzał mózg swej głowy —
Terminus było mu miano.

Ach, moi drodzy! z ciężką ja tęsknotą
Wiecznie żałować go będę!
Ni zasług nie brał, ani wiedział, co to
Zadatek wziąć lub kolędę.

Ani się w święto, ani przy niedzieli
Nie upił niespodziewanie.
Aniście z dziećmi żywić go musieli,
Ani mu dawać mieszkanie.

Choć znów — bywało — tenże coraz śmielej
W nieswoje sprawy nos wtyka:
W biura bankierskie, w dwór obywateli,
W sklep kupca i rzemieślnika.

Mówiono w obec tej ciosowej bryły,
Kornymi czcząc ją pokłony:
Zrobię co, przyjdę — jak mi Bóg ten miły —
Lub oddam w dzień oznaczony.

Niejeden dotąd z żalem to wspomina —
Lecz ja tych uczuć nie dzielę.
Słusznie dziś nikt z nas nie dba o Termina —
Czyż my bałwanów czciciele? —

Z HARMONII JESIENNYCH.

W świat idę — nie wiem — w zmroki gdzieś szarawe —
Sierocy pątnik. Zewsząd mglisto — ciemno —
Poza mną marną zostawiłem wrzawę,
Ale niepokój mój jest jeszcze ze mną...
Z Wawelu Zygmunt jęczy w ślad mej drogi,
A ja sam siebie pytam: — W tej podróży
Kędyż ja spocznę, gdy się stopa znuży?...
Oto przeczystej Maryi święte progi...
Witaj, gospodo! Twojej wieży strzała
Bardzo chwalebnie w niebo się wybrała,
Bowiem od czoła
Kazimierzowska wieńczy ją korona.
Wśród gwaru mknących w gniazda swe jaskółek,
Słońcem się jeszcze złoci jej przyczółek...
Wszedłem — i oto stoję zadumany.
W chrzcielnicy starej, u przedsionka ściany,
Święconą wodą w krzyż się Pański zdobię,
I gdy źrenicą spojrzę zewsząd suchą,
Zwolna mi błogą wzbiera pierś otuchą...
O! jak tu cicho w tej burzliwej dobie!
Gdyby też spocząć w głuchej gdzieś nicości,
Jak nie dzisiejsi ludzie ci ze stali,
Co ciała swego proch i swoje kości
Pod stopy przyszłym pokoleniom słali
W krużganków tajni, wiecznym cieniem skrytej,
Pokornie kładąc swych grobowców płyty,
Aż z nich została, zwolna urobiona
Posadzka kruchty. Brzmiące ich imiona,
Wraz z całą ziemskiej chwały ich ozdobą,
Wklęknięto w ziemię — tak, że w tej samotni
Zwolna odeszli jak najbezpowrotniej,
Pamięć o sobie nawet biorąc z sobą!

Wtem przyszli tacy, którzy jak najszczerzej
Nie w Boga lecz w siebie wierzą,
I rzekli: — Wszystko wszystkim się należy —
Przeto jest własność kradzieżą.

Więc i ty precz stąd! boś zawalidroga
Praw, których wygląd się zmienia,
Ani też dłużej chciej udawać Boga —
Gdyś tylko bałwan z kamienia. —

To skoro rzekli, stróż ów granitowy,
Gdy mu obuchem w kark dano,
Padł i u nóg swych ujrzał mózg swej głowy —
Terminus było mu miano.

Ach, moi drodzy! z ciężką ja tęsknotą
Wiecznie żałować go będę!
Ni zasług nie brał, ani wiedział, co to
Zadatek wziąć lub kolędę.

Ani się w święto, ani przy niedzieli
Nie upił niespodziewanie.
Aniście z dziećmi żywić go musieli,
Ani mu dawać mieszkanie.

Choć znów — bywało — tenże coraz śmielej
W nieswoje sprawy nos wtyka:
W biura bankierskie, w dwór obywateli,
W sklep kupca i rzemieślnika.

Mówiono w obec tej ciosowej bryły,
Kornymi czcząc ją pokłony:
Zrobię co, przyjdę — jak mi Bóg ten miły —
Lub oddam w dzień oznaczony.

Niejeden dotąd z żalem to wspomina —
Lecz ja tych uczuć nie dzielę.
Słusznie dziś nikt z nas nie dba o Termina —
Czyż my bałwanów czciciele? —

Z HARMONII JESIENNYCH.

W świat idę — nie wiem — w zmroki gdzieś szarawe —
Sierocy pątnik. Zewsząd mglisto — ciemno —
Poza mną marną zostawiłem wrzawę,
Ale niepokój mój jest jeszcze ze mną...
Z Wawelu Zygmunt jęczy w ślad mej drogi,
A ja sam siebie pytam: — W tej podróży
Kędyż ja spocznę, gdy się stopa znuży?...
Oto przeczystej Maryi święte progi...
Witaj, gospodo! Twojej wieży strzała
Bardzo chwalebnie w niebo się wybrała,
Bowiem od czoła
Kazimierzowska wieńczy ją korona.
Wśród gwaru mknących w gniazda swe jaskółek,
Słońcem się jeszcze złoci jej przyczółek...
Wszedłem — i oto stoję zadumany.
W chrzcielnicy starej, u przedsionka ściany,
Święconą wodą w krzyż się Pański zdobię,
I gdy źrenicą spojrzę zewsząd suchą,
Zwolna mi błogą wzbiera pierś otuchą...
O! jak tu cicho w tej burzliwej dobie!
Gdyby też spocząć w głuchej gdzieś nicości,
Jak nie dzisiejsi ludzie ci ze stali,
Co ciała swego proch i swoje kości
Pod stopy przyszłym pokoleniom słali
W krużganków tajni, wiecznym cieniem skrytej,
Pokornie kładąc swych grobowców płyty,
Aż z nich została, zwolna urobiona
Posadzka kruchty. Brzmiące ich imiona,
Wraz z całą ziemskiej chwały ich ozdobą,
Wklęknięto w ziemię — tak, że w tej samotni
Zwolna odeszli jak najbezpowrotniej,
Pamięć o sobie nawet biorąc z sobą!

JAN ZACHARYASIEWICZ.

Ur. 1825 r. w galicyjskiem miasteczku Radymnie.

NIEPOGODA.

Jakoś mi senno, smutno i nudno,
Na polach deszcz i mgły.
Kochać? boleśnie; zapomnieć? trudno,
A w sercu sny i sny! —

I nic nie widzę, świata ni ludzi,
Bo światem ja i ty!
I śnię szczęśliwy — ach, sen mnie budzi...
Na polach deszcz i mgły!

I patrzę w niebo — ni gwiazd, ni słońca,
Ni w mojem oku łzy,
A wszędzie tuman i mgła bez końca,
I mgła, gdzie ja i ty.

Na pola zejdzie słoneczko z nieba,
A dla nas zawsze łza!
Kochać? nie można; zapomnieć trzeba —
Na polach deszcz i mgła!

JADWIGA ŁUSZCZEWSKA.

(DEOTYMA).

Ur. 1 Sierpnia 1834 r. w Warszawie.

»Improwizacye i poezye« (1854) — »Wybór poezyi« (1898).

JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM.

Poema epickie.

ŚPIEW DWUNASTY.

Wszystko usnęło. Śpią nawet wodzowie.*)
Król tylko jeszcze z poufnymi gada;
Namiocik pański rozwarty w połowie.
U wejścia dworska kręci się gromada.

---

*) »W sobotę (11 września 1683 r., w wilią bitwy) ruszył się z tego miejsca z wojskiem król, ciągnąc ku Wiedniowi... i takeśmy cały dzień strawili na tym marszu, który... tak był powolny, żeśmy aż ku zmrokowi, po zachodzie słońca stanęli z wojskiem w dębinie, wielkie pół mili od Wiednia; jednakże widać nam było wieże od Świętego Szczepana, kościoła katedralnego w Wiedniu; i lubośmy tak blizko stanęli, jednak Turcy o nas nie wiedzieli, a to dla nocy... Namiotek maleńki królowi rozbito materac i porzucono, który za nim na koniu wieziono; na którym materacu król siadłszy mówi do nas dworzan: »Nie mam się na kogo spuścić, a samem sfatygowany bardzo, trzeba, abym miał wczas jaki na jutrzejszą

Na słupie wiszą krzyżyki, różańce,
Obraz, i w szklanej malowanej bańce
Lampka, jedyna, która dzisiaj świta
Na górach. Turcy nie dojrzą jej zdala,
Bo mdła i główką namiotu zakryta.
Więc król ją palić pozwala.

Więcej. Nietylko, że pozwolił na nią,
Lecz sam nakazał. Jakże przy sobocie
Nie palić światła przed Niebieską Panią,
Co już mu łaski sypała na krocie,
I jeszcze wczoraj zstąpiła w obrazku?
— Pod słupem, w kręgach drżącego półblasku,
Na materacu król siedzi, z kawałem

pracę; będzie dzisiaj dawał znaki komendant wiedeński Sztaremberg, trzebaby mi ich pilnować, a nie mogę.« Na to odzywa się J. P. Matczyński (który natenczas był koniuszym koronnym i dyspozytorem dworu królewskiego, a potem wojewodą ruskim...) mówi tedy ten: »Mości królu, trzebaby się... wywczasować, choć nie tak jak należy. Na mnie się W. K. Mść spuść, a ja przypilnuję.« Król mówi: »Nie mogę też tego komu innemu poufać.« I wtem położył się król na materacu, a Matczyński siadł sobie przy drzwiach tego namiotku na taborku, który masztalerz woził zawsze w trokach, bo po nim król, ile przy swojej korpulencyi, wsiadał na konia. Po godzinie circiter (około) 9-tej wypada raca z wieży Św. Szczepana z Wiednia, która nam była widna, i odzywa się Matczyński do króla: »Mości królu, już jeden znak wyszedł.« »To już wie, żem Dunaj przeprawił.« — W kilka pacierzy znowu wypada druga raca, za którą odzywa się do króla Matczyński: »Mości królu, już drugi znak.« — »To już wie, żem się od taborów ruszył.« Potem, trochę poczekawszy, trzecia raca wypada, i mówi do króla Matczyński: »Mości królu, już trzeci znak.« Dopiero król się odzywa: »Niechże będzie Bóg pochwalon, to już wie, że się tu z wojskiem znajduję.« Ta zaś wiadomość, jako suponujemy, musiała być, że sekretna poczta chodziła przez rybaków do Tulna, pod którym łączyły się wojska cesarskie z naszemi. Po wydaniu tych znaków, uspokoił się król, nakręciwszy zegarek na godzinę trzecią po północy, który blizko siebie kazał położyć, żeby się za excytarzem obudził.«

Mikołaja Dyakowskiego, *Podstolego Latyczowskiego*, **SUMMARYUSZ OKAZYI WIEDEŃSKIEJ** — *w Zbiorze Pamiętników do dziejów Polskich, wydanych przez Włodzimierza St. hr. de Broel-Platera w Warszawie. 1859. Tom IV, str. 184 i 185.*

Czarnego chleba i krajanką sera.
Okiem od kurzu i trudu nabrzmiałem
Po przechodzących spoziera.

Widzi, że senne pazie i dworzany
Ledwie na nogach utrzymać się mogą.
— „Nie mam“ — powiada — „spuścić się na kogo.
„Jestem okrutnie już sfatygowany,
„Wczas-by się przydał na jutrzejszą pracę,
„A tam komendant ma wypuszczać race.“
— Mówiąc, spoglądał na wykrawek nieba,
Co we drzwiach mleczną pokazywał drogę.
— „Tych znaków“ — dodał — „koniecznie mi trzeba
„Pilnować, a sam nie mogę.“

Tu pan Matczyński zbliżył się i mruga,
Małe mu oczka troskliwością świecą.
— „Tak, Mości Królu, oj tak! noc nie długa,
„Trzeba się gwałtem wywczasować nieco,
„Choć nie tak jeszcze jakby należało,
„Kto przypilnuje? No ja. Można śmiało
„Spuścić się na mnie.“ „Dobrze“ — król odpowie. —
„Komu innemu poufać nie mogę.“
— Dał znak, wychodzą dworscy i paziowie,
Tworząc na zewnątrz załogę.

Pod gałązkami, niby pod przezroczą
Kotarą, ścielą gęste legowisko.
Czasem chłopięta jeszcze zachichoczą,
I szał ucichną, bo pan bardzo blizko.
— Matczyński wyniósł królewski taborek,
Z zanadrza wyjął sznur ciemnych paciorek,
Czapkę nałożył, i siadł przed namiotkiem.
Duma. Dla siebie nie myśli o wczasie,
Choć jest zmęczony. Ach, wszystko mu słodkiem
Dla swego Jasia nad Jasie. —

Patrzy na ziemię i niebo. Jest na co.
W dole namioty majaczeją wschodnie.

Szum jak od morza. Biegają pochodnie.
Jakieś narzędzia dzwonią i kołacą.
Ludzie coś kopią czy sypią reduty.
— Na głębi Dunaj, wyspami pokłuty,
Kręci się lśniąco jak łańcuch z dyamentu.
— Wiednia nie widać z poza srebrnosinej
Mgły. Tylko wieża sterczy, jak jedyny
Maszt rozbitego okrętu.

A wyżej, gwiazdy zasuły firmament,
Niby ktoś sypnął różańcowych ziarek.
Patrzą spokojnie na ludzki nasz zamęt.
— „Żebym to umiał“ — pomyśli pan Marek —
„Z tych gwiazd wyczytać okiem astrologa,
„Co tam na jutro jest u Pana Boga?
„Bo przecie wszelka destynacya ziemi
„W tych jeroglifach stoi wypisana.
— „Żebym ja wiedział, która między niemi
„Jest gwiazdą mojego Jana?“

Rzecz to prześliczna przy gwiazdach — marzenie,
Lecz po dwóch dobach giemzowych wędrówek
Opada głowa, sen niepostrzeżenie
Zaprusza oczy pyłkiem swych makówek.
— Zły jest pan Marek, z drzemki się otrząsa,
Twardo pokręca żółtawego wąsa.
W końcu, na wielkie sposoby się bierze:
„Zmówmy koronkę do Pana Jezusa.“
Pomogło. Ledwie rozpoczął pacierze,
Odeszła senna pokusa.

Oho! Na wieży Świętego Szczepana
Błysło... Ej, może omyliło oko?
Nie, — zrazu jasność prawie niedojrzana,
Jak złota kropka. O... teraz wysoko
Wylata nakształt gorejącej kreski,
Niby wykrzyknik na księdze niebieskiej,
Gdzie Wiedeń wszystkie swe prośby przesyła
Kahlenbergowi. — Kreska się pokłania

I spada, jakby w powietrzu kreśliła
Ognisty znak zapytania.

„Ach, żem nie usnął, — serce Jezusowe!
„Przyjmij-że za to mój afekt najszczerszy.“
I rad, wetknąwszy do namiotu głowę,
Rzekł: „Mości królu, już wyszedł znak pierwszy.“
— Lecz się i martwi: „Zaledwie spać pocznie,
„Już go przebudzam.“ — Król nie spał widocznie.
Głos jego trzeźwo zabrzmiał w odpowiedzi:
„Więc tam już wiedzą, że się przeprawiłem
„Przez Dunaj.“ — Umilkł. — Matczyński znów siedzi.
Czuwanie już mu jest miłem.

Oczy i myśli podnosi do góry.
Zaledwie kilka wyszeptał pacierzy,
Świetlana wstęga wywija się z wieży.
„Już, Mości królu, wyszedł i znak wtóry.“
— „Teraz już wiedzą“ — słychać pod namiotem —
„Że się ruszyłem od taborów.“ — Potem
Znowu milczenie. — Już i do koronki
Brać się nie warto. — O... tam! Znowu leci.
Powstał, uchylił płóciennej zasłonki.
— „Jest, Mości królu, znak trzeci!“

Musi ta trzecia wiadomość być przednia,
Dusza królewska musi być jej rada,
Bo król się porwał, na posłanie siada
I mówi: „Teraz, już komendant Wiednia
„Wie, że *tu* jestem. Niech-że będzie za to
„Pan Bóg pochwalon. Flisy zuchowato
„Nam się sprawiły. Dobranoc Waszmości.“
— Po cichuteńku wychodzi pan Marek,
Zamyka namiot, kładzie się w bliskości,
A król nakręca zegarek.

Cacko cudowne, gościniec, od żony,
Jeszcze za czasów hetmańskich, z Paryża
Razem z najpierwszym synkiem przywieziony.

— Kluczyk się kształtem do armatki zbliża;
Wisi przy grubym, węzlastym łańcuszku.
— Dwie są koperty o spłaszczonym brzuszku.
Na jednej pląsa wieniec kupidynków.
Tylko całować emaliowe ciałko.
— We środku pała, brylantową strzałką
Przebite, serce z rubinków.

Po drugiej stronie scena troszkę płocha.
Dama i pasterz dają sobie buzi.
Strumyk — baranek — raj. — Ach ci Francuzi
Ze swym dowcipem, niech ich Pan Bóg kocha!
Te dwie twarzyczki wyraźnie się śmieją.
Pewnie to sławny Celadon z Astreją.
— Kiedy otworzysz, niedość że godziny,
Lecz i minuty i sekundy czytasz.
— Wewnątrz się kryje rzadki a jedyny
Skarb dla żołnierza: excytarz.

„Wpół do dziesiątej. Miły Morfeuszu,
„Krótko się mogę zabawić z waszecią,
„Chodź tu sam prędko, dodaj animuszu."
— Mówiąc, excytarz nastawił na trzecią.
Potem się układł i pięścią pod głową
Przybił maleńką poduszkę łosiową.
(Której Matczyński nie zwierza nikomu,
I dziś na własnym uwiązaną pasie
Przywiózł u siodła, by Jaś w każdym czasie
Miał swego Jaśka, jak w domu).

Król zamknął oczy. Ale nie przylata
Morfeusz. Cisza. Od czasu do czasu
Szum tylko chodzi wierzchołkami lasu,
Lub z dolin huknie turecka armata.
Niekiedy echem odezwie się rzadkiem
Jakiś huk słabszy. To kul swych ostatkiem
Wiedeń wyrzuca rozpaczne sygnały.
— Król się przewraca, poprawia wojłoka.

Szepce: „Niech licho weźmie te wystrzały.
„Nie dają mi zmrużyć oka.“

O nie, mój królu, — to nie ręka cudza,
Lecz twoja własna myśl rozwirowana
Targa ci duszę i oczy rozbudza.
Duch niepokoju przystąpił do Jana,
Groźne przeczucie, podobne pobudce,
Gada mu w sercu, że ten dzień, co wkrótce,
Jak dekoracja krasiwa i złota,
Kahlenbergowe theatrum upiększy,
Będzie największym dniem jego żywota.
Ale czem będzie największy?

Chwałą, czy wstydem? Bo wszystko być może.
Wszak przegrywały nawet Pompejusze?
Tylko złą pychą zaślepione dusze
Głupio ufają Fortunie. — „O Boże,
„Miałżebym przegrać? Wzlecieć tak ogromnie,
„By spaść tak nizko? Zresztą... mniejsza o mnie,
„Ale mój naród? Na toż go szalenie
„Miałbym wyciągnąć w te zagórne strony
„I w oczach świata wieść na pokuszenie,
„Ażeby wracał zhańbiony?

„A jednak zdawna pragnąłem gorąco
„Takiej godziny, w której raz na zawsze
„Mógłbym się zmierzyć z tą wiecznie syczącą
„Hydrą pogańską. — Twoje najłaskawsze
„Wyroki dają mi taką godzinę,
„Dają mi pole do walki jedyne,
„Wojsko tak duże, jakiego u siebie
„Nigdy nie miałem. — Co siły ludzkiemi
„Da się przewidzieć, zrobiłem na ziemi.
„Teraz, Ty rozsądź na niebie.“

Przez chwilę ufał. Ale z woli Boga,
Co chciał go duszną zahartować męką,
Znowu do niego przystępuje trwoga.

— „Jest-żem ja godzien, aby moją ręką
„Bóg dał dopełnić tak świętego dzieła?“
— Tu cała przeszłość w oczach mu stanęła.
Widzi, jak skośne centki na motylu,
Źle zwyciężone młodych lat pokusy.
Mignęła przed nim pani z Longuevillu,
Wzrokiem siejąca turkusy.

I jeszcze kilka prześlicznych par oczu,
Z iskrami żalu i łzami pokuty,
Błysło w różowem przypomnień przezroczu
— Dalej, surowsze przychodzą wyrzuty.
Patrz: oko Paców nienawiścią pała.
Powstaje chmurny cień króla Michała.
Były-ż to grzechy, czyli tylko same
Pokusy? Nie wie. Za wszystko się gani.
— Im suknia bielsza i czystsza, tem na niej
Wyraźniej znać każdą plamę.

Ale-ż to, królu, zmazane już winy?
Wszak pogardziłeś płochością motylą
W dzień koronacyi? Zmieniony z tą chwilą,
Pałasz już tylko dla jednej, jedynej.
Dziwny przykładzie małżonków i króli,
Tam się poprawiasz, gdzie inni się psuli.
— A twoja krewkość? To-ż ogień słomiany,
Co żaru zemsty długo nie przechowa.
Zaledwie zrani, zamyka też rany,
Jak włócznia Achillesowa.

O królu, stawaj przed Sędzią bez trwogi,
Masz tam obrońców z potężną wymową.
Tysiące ludzi wyrwanych z pożogi,
Łez i jassyru, podniosły nad głową
Rozkute ręce, ocalone dzieci.
„Błogosławiony“ — wyrzekły — „Jan trzeci!
„Sądź-że go, Panie, łaskawem obliczem,
„Bo nas wybawił i raz i sto razy.

„Nietylko dzisiaj, gdy daje rozkazy,
„Lecz dawniej, kiedy był niczem.

„Inni panowie, pyszne samoluby,
„Na pełnych skrzyniach siedli obojętnie,
„Chociaż od granic szły wieści zaguby.
„On jeden krążył jakby krew po tętnie,
„Krzykiem poruszał ziemię i niebiosa,
„Nie szczędził zdrowia, i co rzadsze: trzosa.
„Aby twierdzowe odbudować gruzy,
„Odziać żołnierza, co z sukien opada,
„Sprzedał ostatnie dyamentowe guzy,
„Ostatni kubek pradziada."

O królu, stawaj przed Sędzią bez lęku,
Zbliża się nowy zastęp medyatorów:
Idą Zakony, niosące na ręku
Kształtowne wzorki świątyń i klasztorów.
„Panie!" — wołają — „zawieś-że na niebic
„Te jego vota. On trzyma się Ciebie
„Miłością ślepą, mądrością bezwiedną,
„Jak dziecię matki, jak niebo swych osi.
„On ma tę wiarę, co góry przenosi,
„Ach i już przeniósł niejedną."

A teraz jeszcze idzie tłum przeróżny,
Wojennych kalek, i wdów, i nędzarzy,
A każdy w rękach ciężkiego coś waży
I mówi niebu: „To jego jałmużny."
— Obejrz się, królu! Stoją twe zasługi.
Stopy ich krzepkie a szereg tak długi,
Że choćbyś większym obciążon był grzechem,
Gdy po nim przejdą, śladu nie zostanie.
Lecz próżno stoją, kiwają z uśmiechem:
Król nie ogląda się na nie.

Dotknięty piękną pokory ślepotą,
Przeocza dobre, a złe widzi wszędzie.
— Żal na katowskie go bierze narzędzie,

Wtem przyszli tacy, którzy jak najszczerzej
Nie w Boga lecz w siebie wierzą,
I rzekli: — Wszystko wszystkim się należy —
Przeto jest własność kradzieżą.

Więc i ty precz stąd! boś zawalidroga
Praw, których wygląd się zmienia,
Ani też dłużej chciej udawać Boga —
Gdyś tylko bałwan z kamienia. —

To skoro rzekli, stróż ów granitowy,
Gdy mu obuchem w kark dano,
Padł i u nóg swych ujrzał mózg swej głowy —
Terminus było mu miano.

Ach, moi drodzy! z ciężką ja tęsknotą
Wiecznie żałować go będę!
Ni zasług nie brał, ani wiedział, co to
Zadatek wziąć lub kolędę.

Ani się w święto, ani przy niedzieli
Nie upił niespodziewanie.
Aniście z dziećmi żywić go musieli,
Ani mu dawać mieszkanie.

Choć znów — bywało — tenże coraz śmielej
W nieswoje sprawy nos wtyka:
W biura bankierskie, w dwór obywateli,
W sklep kupca i rzemieślnika.

Mówiono w obec tej ciosowej bryły,
Kornymi czcząc ją pokłony:
Zrobię co, przyjdę — jak mi Bóg ten miły —
Lub oddam w dzień oznaczony.

Niejeden dotąd z żalem to wspomina —
Lecz ja tych uczuć nie dzielę.
Słusznie dziś nikt z nas nie dba o Termina —
Czyż my bałwanów czciciele? —

Z HARMONII JESIENNYCH.

W świat idę — nie wiem — w zmroki gdzieś szarawe —
Sierocy pątnik. Zewsząd mglisto — ciemno —
Poza mną marną zostawiłem wrzawę,
Ale niepokój mój jest jeszcze ze mną...
Z Wawelu Zygmunt jęczy w ślad mej drogi,
A ja sam siebie pytam: — W tej podróży
Kędyż ja spocznę, gdy się stopa znuży?...
Oto przeczystej Maryi święte progi...
Witaj, gospodo! Twojej wieży strzała
Bardzo chwalebnie w niebo się wybrała,
Bowiem od czoła
Kazimierzowska wieńczy ją korona.
Wśród gwaru mknących w gniazda swe jaskółek,
Słońcem się jeszcze złoci jej przyczółek...
Wszedłem — i oto stoję zadumany.
W chrzcielnicy starej, u przedsionka ściany,
Święconą wodą w krzyż się Pański zdobię,
I gdy źrenicą spojrzę zewsząd suchą,
Zwolna mi błogą wzbiera pierś otuchą...
O! jak tu cicho w tej burzliwej dobie!
Gdyby też spocząć w głuchej gdzieś nicości,
Jak nie dzisiejsi ludzie ci ze stali,
Co ciała swego proch i swoje kości
Pod stopy przyszłym pokoleniom słali
W krużganków tajni, wiecznym cieniem skrytej,
Pokornie kładąc swych grobowców płyty,
Aż z nich została, zwolna urobiona
Posadzka kruchty. Brzmiące ich imiona,
Wraz z całą ziemskiej chwały ich ozdobą,
Wklęknięto w ziemię — tak, że w tej samotni
Zwolna odeszli jak najbezpowrotniej,
Pamięć o sobie nawet biorąc z sobą!

Wtem przyszli tacy, którzy jak najszczerzej
Nie w Boga lecz w siebie wierzą,
I rzekli: — Wszystko wszystkim się należy —
Przeto jest własność kradzieżą.

Więc i ty precz stąd! boś zawalidroga
Praw, których wygląd się zmienia,
Ani też dłużej chciej udawać Boga —
Gdyś tylko bałwan z kamienia. —

To skoro rzekli, stróż ów granitowy,
Gdy mu obuchem w kark dano,
Padł i u nóg swych ujrzał mózg swej głowy —
Terminus było mu miano.

Ach, moi drodzy! z ciężką ja tęsknotą
Wiecznie żałować go będę!
Ni zasług nie brał, ani wiedział, co to
Zadatek wziąć lub kolędę.

Ani się w święto, ani przy niedzieli
Nie upił niespodziewanie.
Aniście z dziećmi żywić go musieli,
Ani mu dawać mieszkanie.

Choć znów — bywało — tenże coraz śmielej
W nieswoje sprawy nos wtyka:
W biura bankierskie, w dwór obywateli,
W sklep kupca i rzemieślnika.

Mówiono w obec tej ciosowej bryły,
Kornymi czcząc ją pokłony:
Zrobię co, przyjdę — jak mi Bóg ten miły —
Lub oddam w dzień oznaczony.

Niejeden dotąd z żalem to wspomina —
Lecz ja tych uczuć nie dzielę.
Słusznie dziś nikt z nas nie dba o Termina —
Czyż my bałwanów czciciele? --

Z HARMONII JESIENNYCH.

W świat idę — nie wiem — w zmroki gdzieś szarawe —
Sierocy pątnik. Zewsząd mglisto — ciemno —
Poza mną marną zostawiłem wrzawę,
Ale niepokój mój jest jeszcze ze mną...
Z Wawelu Zygmunt jęczy w ślad mej drogi,
A ja sam siebie pytam: — W tej podróży
Kędyż ja spocznę, gdy się stopa znuży?...
Oto przeczystej Maryi święte progi...
Witaj, gospodo! Twojej wieży strzała
Bardzo chwalebnie w niebo się wybrała,
Bowiem od czoła
Kazimierzowska wieńczy ją korona.
Wśród gwaru mknących w gniazda swe jaskółek,
Słońcem się jeszcze złoci jej przyczółek...
Wszedłem — i oto stoję zadumany.
W chrzcielnicy starej, u przedsionka ściany,
Święconą wodą w krzyż się Pański zdobię,
I gdy źrenicą spojrzę zewsząd suchą,
Zwolna mi błogą wzbiera pierś otuchą...
O! jak tu cicho w tej burzliwej dobie!
Gdyby też spocząć w głuchej gdzieś nicości,
Jak nie dzisiejsi ludzie ci ze stali,
Co ciała swego proch i swoje kości
Pod stopy przyszłym pokoleniom słali
W krużganków tajni, wiecznym cieniem skrytej,
Pokornie kładąc swych grobowców płyty,
Aż z nich została, zwolna urobiona
Posadzka kruchty. Brzmiące ich imiona,
Wraz z całą ziemskiej chwały ich ozdobą,
Wklęknięto w ziemię — tak, że w tej samotni
Zwolna odeszli jak najbezpowrotniej,
Pamięć o sobie nawet biorąc z sobą!

Miękki i chmurny. Stanowisko w boru
Naznaczał stary leśniczy Jarchowski.
W bok szedł ku stronie „grobli Dunajowskiej"
Wąwóz wpadzisty, gdzie śniegu był nawał.
Tam stał pan hetman pod „Bracką pasieką."
Mały kozaczek Sawa, niedaleko
Czając się, broń mu podawał.

Zwierza nie brakło. Dobrze szła naganka.
Ale dnia tego miał ciągłe feraly.
Próżno rogacze w gałęziach furkały,
Próżno i niedźwiedź mignął. Od poranka
Nic nie ubijał, nic tylko drobiazgi.
— Nakoniec, łomot... sypnęły się drzazgi...
Prosto na niego wali czarna-bryła.
Strzelił. Dzik upadł. Dobrze celowano.
Kozak do rogu, — już głosi wygraną.
Zawcześnie! Bestya ożyła.

I hyc! wąwozem pomyka. Pan za nią.
Kozak za panem bieży, lecz w omroczu
I krętych dołach utraca go z oczu.
Bo też Hetmana chyba ptak dogoni.
Raz już w myśliwskim rozpędzony szale,
Skacze zawrotnie i zapamiętale,
Chociaż z wąwozu nie łatwy gościniec;
W śniegu się tonie, jak w puchatej wełnie.
A coraz dalej przeklęty odyniec.
Oho! Już przepadł zupełnie.

Stanął. Pustkowie. Oprócz kordelasu,
Nic nie ma w ręku. Czem tu dać sygnały?
Róg i guldynka z kozaczkiem zostały.
Huknął co siły. Ale nikt mu z lasu
Nie odpowiada. Widać, że pogonie
Zmylone, w innej szukają go stronie.
— Na gwałt się zmierzcha. Śnieg pruszyć zaczyna.
Już ta zadymka do rana nie puści.

Trzeba koniecznie wyjść z owej czeluści.
A to fatalna godzina!

Kopnął się w górę i wyszedł z parowu.
Jakaś dolinka. W ciemnościach, na prawo,
Przez mrzącą wilgoć miga czerwonawo
Drobne światełko. — No, a toż co znowu?
Jeleń się wyrwał, z pod nóg jego prawie.
Stanął, popatrzył na niego łaskawie
I pobiegł, szyją wywijając gibką,
Jakby go prosił za sobą. Zjawisko!
— Więc Hetman poszedł. Widzi chatkę nizką,
Z owem światełkiem za szybką.

Jeleń się schyla, koniuszkami rogu
We drzwi uderza. Skoczyła zaszczepka,
I pokazuje się jasna izdebka,
Światłem łuczywa drgająca. Na progu
Stoi pustelnik, wspaniały urodą,
W ciemnym habicie, z białą po pas brodą.
— Hetman uchylił czapeczki bobrowej,
Pozdrowił starca kilkoma ukłony.
Widząc, że stoi bez ruchu ni mowy, —
„Niech będzie“ — rzekł — „pochwalony.“

Anachoreta powoli odrzecze:
„Na wieki wieków sława Panu Bogu,
„I tobie sława na wieki.“ — „Człowiecze“ —
‚Zawoła Hetman, cofając się z progu —
„„Nie bluźnij Panu. Tylko Jego sława
„Trwa na wiek wieków, — nigdy nie ustawa, —
„Ludzie znikomi — sława ich znikoma.
„— Kto jesteś, starcze, i co w tej pustyni
„Porabiasz? — Starzec odpowiedź mu czyni
Ze złożonemi rękoma:

„Ja lichy sługa Najwyższego Pana,
„Szczęśliwy jestem, że mojem poddaszem
„Okryć was mogę, bo na czole waszem

(Tu podniósł ręce, a schylił kolana)
„Widzę przepaskę, co jak słońce płonie,
„Pięć gwiazd srebrzystych macie tu na łonie,
„Rękami księżyc łamiecie we dwoje,
„A gdzie stąpicie, wyrastają krzyże.
„— Nim złożę głowę na śmiertelnym kirze,
„Wypełnią się słowa moje.“

Tu klęcząc gościa całował po rękach,
Twarzy się jego przyglądał w zachwycie.
Gość pomieszany stał jakby na mękach,
Wyrywał ręce. — „Ojcze, co czynicie?
„Jeśli z Waszeci prorocka osoba,
„Niech-że Bóg czyni, co mu się podoba.
„— Wy mnie przyjmijcie na tę nocną porę,
„Bom głodny, zmarzły i zbłąkany. Jutro,
„Ja was do siebie w gościnę zabiorę.“
— Tu zrzucił przemokłe futro.

I siadł na ławie. — „Ach“ — mówi staruszek —
Chodząc przy ogniu, co w kominie gaśnie —
„Czem-że wam służyć? Mam grochu garnuszek...“
— „Grochu? Dawajcież, ojczulku, ja właśnie
„Przepadam za nim.“ — Siedli do wieczerzy.
Jeleń przy nogach pustelnika leży;
Wzrokiem, gdzie świeci jakiś ludzki rozum,
Patrzy na gościa. Ten głaszcze jelonka.
(Lubił pasyami pieszczone stworzonka
I wszelkie rzadkie „curiosum“).

Gospodarz mówi: „Dwa z nas pustelniki.
„A jest to jeleń wielce osobliwy,
„Nigdy mu żaden nie szkodził zwierz dziki,
„Nigdy go żaden nie ścigał myśliwy.
„Sierść ma na głowie ze znamieniem białem,
„Nakształt krzyżyka. *Królem* go nazwałem,
„Bom zdawna wiedział, że do mojej chaty
„Sprowadzi króla.“ — Pan Hetman się dziwi,

Coraz ojczulka wypytuje żywiej,
Co robił dawnemi laty?

Co? Po rycersku sługiwał ojczyźnie.
Z Żółkiewskim chadzał do Moskwy studzwonnej,
Był w Tatarszczyźnie i na Tureczczyźnie.
Żywot mu kwitnął wieńcami korony.
— Lecz gdy kozackie wybuchnęło hasło,
Tylu okrucieństw oko się napasło,
Ludzie się stali tak straszni i podli,
Że nagle struchlał, czy świat nie zaginie
Pod gniewem Bożym? Uciekł na pustynie
I odtąd za świat się modli.

„A jaki ród wasz i klejnot, ojczulu?“
— „Wszystko, co świeckie, jest już pogrzebionem,
„Dzisiaj mnie zowią Ojcem Gedeonem.
„Dla mnie pokuta, a dla was, o królu,
„Sława na wieki!“ — „Ojcze Gedeonie,
„Żaden z mych ojców nie chodził w koronie,
„Gdzież wy widzicie tę rzecz niesłychaną?
— „Gdzie?“ — mówił starzec, przymknąwszy powieki.
„Na waszem sercu stoi napisano:
„Sława ci, królu, na wieki!“

Potem uklęknął zwrócony ku ścianie,
Gdzie był krzyż zbity z dwóch czarnych deszczułek.
A gość w kąciku runął na posłanie
Ze mchu miękkiego i pachnących ziółek.
Nigdy pod pańskim swoim pawilonem
Nie usnął z sercem równie ukojonem,
Jak pod tym daszkiem biednego eremu.
Sen miał przepyszny: w takiej-że postawie,
W jakiej pustelnik widział go na jawie,
Odnalazł się po sennemu.

Żadnych cudownych nie brakło mu znamion.
U głowy dźwigał taki jasny dyadem,
Że dzień szedł za nim promienistym śladem.

— Trzy gwiazdy z przodu, dwie gwiazdy u ramion,
Tak się srebrnymi promieńmi stykały,
Że mu na piersiach tworzyły krzyż biały.
— Rękę do nieba wyciągnął radośnie,
Zdjął z niego księżyc jak szklaną podkowę,
Z łatwością złamał i usłyszał mowę:
„Już on się nigdy nie zrośnie.“

Szedł (chociaż ciężko mu było w dyademie).
Gdziekolwiek stąpił, tam krzyże bez końca,
Jak las wysoki, porastały ziemię.
I głos wyleciał od zachodu słońca:
„Biały krzyż idzie! Krucyata! Krucyata!
„Chrystus odzyska panowanie świata!“
— Potem usłyszał jakiś huk daleki,
Szum orłów, brzęki rozłamanych oków,
Głosy narodów i przyszłych proroków:
„Sława ci, królu, na wieki!“

Gdy rozwarł oczy, już bielała zorza.
Za skroń się schwycił, jakby tajemniczy
Dyadem jej ciężył, i wyskoczył z łoża.
— We drzwiach był natłok: Jarchowski leśniczy,
Kozaczek, strzelcy, wszyscy potrwożeni
Zginieniem pana, cisnęli się w sieni.
— „Ojczulu, ze mną! W drodze wam opowiem.
„Co myślę zrobić.“ — Wychodzą i gwarzą.
— Już znikli. — Chatka została pustkowiem,
Pod wierną jelonka strażą.

Lecz rok nieminął, a w pustelni cichej
Pan Hetman stawiał kościół i monaster.
Osiadły w puszczy Bazyliańskie mnichy,
Jak pszczoły słodki budujące plaster.
Gedeon rządził duszo-nośnym ulem.
— W dziesięć lat później, pan Hetman był królem.
Grunt im darował, wystroił ich mury,
Dał ikonostaz przesławnie bogaty,

Co Włochów dziwi cudnemi piktury,
I dzwon z Chocimskiej armaty.

Cóż? Czy nie dziwna przygoda myśliwska?
A toż zupełnie jakby słuchać baśni.
I wszystko dotąd sprawdza się najjaśniej:
Wziął już ów dyadem (co mu skroń uciska).
Wziął krzyż jak niegdyś Krzyżowce go brały,
(Lecz nie czerwony, tylko czystszy, biały,
Bo tak sen kazał). Stanęła Krucyata.
Już teraz tylko niech księżyc przełamie,
A krzyż odzyska panowanie świata.
— „Wzmocnij-że, Chryste, me ramię!

„Wzmocnisz! Wszak oto po drodze do Wiednia,
„Znowu zsyłałeś fortunne sygnały?
„Primo: ów orzeł, co jakby straż przednia
„Jechał przed wojskiem. Prognostyk wspaniały.
„(Jeszcze Rzymianie tak augurowali:
„Orzeł: zwycięstwo). — Secundo: nie dalej
„Jak wczoraj, wieszczba ważniejsza od ptaków,
„Obraz, i owo anielskie pisanie.
„Choćby nie było żadnych innych znaków,
„Ten jeden za wszystkie stanie."

Tak wśród obietnic Niebieskiej pomocy
Zwolna się w Janie myśl uspakajała
I rosło serce. — Około północy
Nagle umilkły bisurmańskie działa.
Anioł na królu zatrzymał spojrzenie,
Kładzie mu rękę na piersiach i czole,
I wnet król usnął. — Duch niepostrzeżenie
— Takie dotknięcie nieśmiertelnie zdrowe
W łonie człowieka potęguje wolę,
Mądrością namaszcza głowę.

Idą godziny. — Już chłodek poranny
Krąży po liściach podobny do mrowia.
— Sekundy, niby kropelki fontanny,

Kapią w zegarku. — Anioł u wezgłowia
Siedzi i czeka. — Wstał! Trzecia godzina.
Excytarz spada i warczeć zaczyna.
Dniu wielki! Oto chwila twych narodzin.
— Król się porywa, nie czeka, ni zwleka.
„To dziwne“ — mówi — „aby w parę godzin
„Sen tak pokrzepił człowieka?“

Istnie cudowna zaszła w nim odmiana,
Wczorajszych trudów ni trosk nie pamięta.
Członki sprężyste, głowa wypoczęta.
Ufność bez granic i radość nieznana
W duszy mu wielką roztaczają zorzę.
— Wyjrzał z namiotu: „Jak też tam na dworze?“
Cicho. Widnokrąg zaledwie że szary.
W dole tureckie namiociska smutno
Pod jesiennymi kłębią się opary.
— Czas jeszcze. Zapuścił płótno.

Kląkł. Na cudowny patrząc wizerunek,
Odmawia pacierz, może najżarliwszy
W całem swem życiu. — A teraz uczciwszy
Królowę nieba, wstał i pocałunek
Ręką zasyła ku stronie Krakowa,
Gdzie jego ziemska jaśnieje królowa.
— „Gdyby też do niej napisać i listek?
„Trzeba korzystać z wolnego momentu.
„Któż to wie? Może dziś jeszcze ten świstek
„Urośnie w moc testamentu?“

Wziął hebanowe, podróżne puzderko.
Z kolei drobne roztwiera w niem skrytki.
— Flaszka z inkaustem. — Brzytwy i lusterko.
— Z boku, szufladka na spinki i kitki
Cała się drganiem brylantowem trzęsie.
— Przewraca — szuka. Znalazł: pióra gęsie,
Które pan Marek w ciężkim czoła pocie,
Szkła z Amsterdamu na nos nałożywszy,

Sam temperuje, z ludzi najcierpliwszy,
Choć nieraz klnie przy robocie.

„Na czem tu pisać? Chyba na kolanie.
„A przy czem? Szkoda ponad szkodę wszelką,
„Że na wyjezdnem zaszło zamieszanie
„I nie zabrano lichtarza z umbrelką.
„Ha, trudno! Piszmy przy tej lampce. Blada,
„Lecz za to święta.“ Więc pod lampą siada.
Wziął arkusz. Karta jak pargamin biała,
Ale gdy na nią wiszące światełko
Rzuciło promień przez czerwone szkiełko,
Nagle różową się stała.

Ach, bo też będą różowe i słowa.
Można inaczej przywitać tę różę?
I wnet ją widzi, jak na miniaturze.
Zagadka wdzięków! Kleopatra nowa!
Jej włos figluje w zaczepne kędziorki,
Przy ustach dołki, gniazda na Amorki.
Ręka głaszcząca, do berła toczona.
Oko przemądre, gdzie zechce, zwycięża.
Czasem ukryty u śnieżnego łona
Gniew mignie, jak centka węża.

Maryo Kaźmiro! Cokolwiek sąd świata
Wyrzekł o tobie, niech ci będą dzięki
Za te dni słodkie, nektarowe lata,
Które bohater wychylał z twej ręki,
Perły, w Cypryjskiej roztopione czarze.
— Niech co chcą mówią chmurni kronikarze,
Miłość za tobą świadectwo przesyła.
— Musiała w duszy bogate mieć wiano
Zdumiewająca istota, co była
Tak przepaściście kochaną.

Umaczał pióro. Zaraz cichuteńko
Serce w nim gada, a list jakby echo
Gra: „Najśliczniejsza moja Marysieńko,

„Jedyna duszy i serca pociecho!"
— Tak zawiązawszy kokardę nagłówka,
Wysnuwa szarfą przecudowne słówka,
Pas myśli krasnych jak urobion w Słucku,
A wszystko białą podszyte prostotą.
— Sam Anioł, patrząc na tę kartkę złotą,
Uśmiechnął się wpół po ludzku.

Pięknym jest rycerz, gdy ręką stalową,
Przez grad kartaczy, w dymiącym tumanie,
Zdobyty sztandar unosi nad głową,
— Pięknym jest rycerz, gdy na sztucznym planie
Dwie armie zbliża niby pion do pionu,
— Pięknym jest rycerz, gdy z murów bastyonu,
Jak orzeł z gniazda wychylon, uderza
Bronią i okiem i duszą na wdzierce,
— Lecz najpiękniejszym, gdy mu z pod pancerza
Przegląda bijące serce!

* * *

Gdy tak wodzowi chrześciańskiemu płynie
Noc przedbitewna, przebyta na łzawej
Rozmowie z niebem, — tymczasem w dolinie,
Wódz Muzułmanów inne ma zabawy.
I jemu z niebios przychodzi podnieta,
Lecz z niebios innych: z raju Mahometa.
— I któż nie pozna, że tu ramię Boże
W onych dwóch ludziach pokazać nam chciało,
Co z dwóch obozów dla świata wyjść może?
Na szczytach duch; — w dole ciało.

Kara-Mustafa, odprawiwszy Basze,
Daje rozkazy: „Podwoić mi straże.
„Ostrzedz Selima, że gdy miecz odpaszę,
„Nawiedzę harem. Słysz jeszcze! Puszkarze
„Mają do rana ostrzeliwać miasto."
— Rzekłszy, zdjął kaftan i ciężki, pasiasto
Barwiony turban. Rzucili się słudzy.

Niosą miednice. Aromat z nich bije.
Włos jego wonnie namaszczają. Drudzy
Kropią twarz pańską i szyję.

Nogi strudzone mu obmyli. Potem
Kładą futrzyste pantofle z purpury.
Na barki delię lamowaną złotem,
Dyamentowymi zadzierzgniętą sznury.
Szata, odbita od kruczego włosa,
Świeci, jak łuna, iskrzy się, jak rosa.
W końcu podają — wybrany z tysiąca —
Leciutki zawój, co ma kolor zorzy,
Ognisto-żółty. Tkanka gorejąca
Nimbus nad głową mu tworzy.

Jak słońce z morskiej wybłysłe kąpieli,
Wstał orzeźwiony — i odchodzi. Wszędy
Gdzie stąpi, dworzan spotyka dwa rzędy;
Ręce na piersiach — do ziemi się zgięli;
Śliczne chłopięta o twarzy różanej,
Młodzieńce kraśne, jakby tulipany,
Brodacze stare, jak dęby włochate,
Wszyscy nieśmiało a nienasycenie
W twarz jego patrzą, całują mu szatę,
Żebrzą o jedno spojrzenie.

Lecz pan nie spieszy. Nie skinąwszy głową,
Płócienne ściany kolejno rozgarnia.
Po chwili stanął przed bramką łukową,
Plecioną z prątków złotych, jak ptaszarnia.
Przy niej dwóch drabów o etyopskiej twarzy
Dzień i noc czuwa. I wiernie! Tej straży
Niczem nie zmożesz, o nic nie dopytasz;
Język ich niemy, a miecz, jak u kata.
Na znak Mustafy rozwarła się krata;
Za nią — tajemny korytarz.

Wązkie tu przejście, obtulny krużganek,
Cały w atłasach, podobny kolebce,

Którą błękitny rozświeca kaganek,
W głębi zasłona. — Tam stanął i szepce:
„Za tą zasłoną szczęśliwość... Krok jeden...
„Jedno spojrzenie... roztworzy się Eden...‘
Już chciwą ręką za oponę chwyta,
Znowu ją puścił. I rwie się, i wzbrania.
Chciałby przedłużyć — biegły sybaryta —
Gorączkę oczekiwania.

Nakoniec podniósł. Wchodzi do namiotu,
Co jest najgłębszem haremu ustroniem.
Zwykli śmiertelni tylko słyszą o niem,
Ptaszek zaledwo je dojrzał z przelotu.
— Namiot, sklepiony wypukłością arki,
Powietrznie wsparty o srebrne filarki.
Gmach czarodziejski z puchów i jedwabiu,
Gdzie żaden odgłos miłości nie płoszy.
Cudo, co nakształt sennego korabiu,
Pływa po morzu rozkoszy.

Jakież tu dziwne światełka i ruchy!
Czy księżyc tęczę narzucił pierzchliwą?
Czy kołem tańczą pół-widzialne duchy?
Nie, — to pachnącą nalane oliwą
Lampy, na złotych zwieszone warkoczach,
Kręcą się cicho w kulistych przezroczach.
Każda innymi goreje kolory
I kręgiem innym pomrokę rozpara,
Hieroglificzne wypisując wzory,
Jakby u ścian Baltazara.

Gdzie dotkniesz, łechce mięsistość makaty,
A na niej hafty srebrem się roztrzęsły
W bajeczne ptaki, niebywałe kwiaty.
— Na głębi, dwoma przegiętemi przęsły
Obramowana ciemnieje arkada.
Gdzie doprowadza, oko nie wybada.
Wiecznie spuszczone kotary w niej wiszą.
Raz się rozchylą, jakby na przynętę,

Znowu przestraszą przepaścistą ciszą.
 Tajemne, jak drzwi zaklęte.

Dokoła namiot wydyma się w banię
Blado-różową. Na złotej estradzie,
Dywan, rozpięty w stufarbne usłanie,
Tocznymi wałki falisto się kładzie,
Po stopniach zbiega i na pana czeka.
— Przy każdym rogu, jak fontanna z mleka,
Biały dym bije ze trójnożnej skrzynki.
Kołuje górą woń szeroko-skrzydła.
A z boku siedzą karlice murzynki,
 I dokładają kadzidła.

W krągłem wklęśnięciu, naprzeciw estrady,
Smuga poduszek leży, rozsypana
Bezładnie. Na nich, niewolnice pana
Malowniczemi usiadły gromady.
Te na wpół leżą, tamte na wpół klęczą,
Wszystkie w półkole, jak niebieską tęczą.
Jedne trzymają muzyczne narzędzia,
Inne się kryją za wachlarzyk pawi.
Ta niesie dzbanek o szyjce łabędzia,
 Tamta kwiatami się bawi.

Ochmistrz haremu, Selim białko-oki,
W ten je obrazek ustawił uczenie.
Rozkoszy oczu znawca to głęboki.
Jak złotnik, umie rozmieszczać kamienie,
I do ich blasku stosować oprawę,
Tak Selim każdej odmienną postawę
I strój podszepnął. W niewidzianej zgodzie
Słucha go dzisiaj trzoda biało-szyja,
Bo doświadczyła, że rozum urodzie,
 Jak słońce kwiatkowi, sprzyja.

Więc *Białej kotce* dał zwój pióropuszy.
W kłębek zwinięta, przysiadła pieszczotka,
Opasła — rzekłbyś — paluszkiem nie ruszy;

Lecz skiń, a skoczy, jak prawdziwa kotka
Perłowy ząbek z pod futer tygrysa
Kiełkami błyska i mastyks wysysa.
Buzia z koralu zajęła się pracą:
W czarce przyprawia tajemniczy trunek
I oblizuje się słodko, a na co?
Na miód? Czy na pocałunek?

Rybka Gangesu uwięzła w purpurze.
Z uszu jej błyszczą podłużne obrączki.
Niby śpi. Drobne, jak u dziecka, rączki
Nad wązką głową zawiązała w górze;
Rozchyla rzęsy i śpiąc się uśmiecha.
Skóra jej, ciemna jak łuska orzecha,
W centki złotawe lśni z poza osłonek
Indyjskiej tkanki, która tak jest miękką,
Że całą suknię tylko ściśnij ręką,
Przesuniesz ją przez pierścionek.

Gwiazda pustyni płaszczem się osłania.
Stoi oparta o filar wysmukły,
Jakby o palmę. Huragan kochania
Dyszy w jej piersi westchnieniem wypukłej.
Kiść jaśminowa skroń na ramię kłoni,
Jakby od mglącej upiła się woni.
— Któż je policzy? Cisną się pod ścianą,
Niby sny szczęścia. Niekiedy w pomroce
Srebrny śmiech zdradzi postać niedojrzaną,
Lub dwoje óczu zamigoce.

Wszystkie tak cudne, patrzące tak jasno,
Że na ich widok, ach! sama niewola
Zdaje się piękną. Ale wszystkie gasną
Przy dwóch, co siadły pośrodku półkola;
Umiał je dobrać ów znawca urody.
Jak perły grube i najczystszej wody
Kładą się z prawa na szczycie dyademu,
Tak tutaj siadły, na wprost pańskich oczu,

Wabnie ukryte w rąbkowem przezroczu:
Różyczka i *Łza haremu*,

Widno, że tylko przymusem złączone.
Jak darty orzeł, odwróciły głowę,
Każda się patrzy w inną świata stronę —
Istne Zachodu i Wschodu królowe.
Piękność ich dzisiaj bije takim czarem,
Że aż posmutniał od niej cały harem.
Ach, bo dla tamtych stracona już prawie
Nadzieja walki! Drżą i coraz ciężej
Wzdychając, szepcąc, pytają ciekawie:
„Która z *dwóch* dzisiaj zwycięży?“

Wszystko przygasa przy stroju *Różyczki*,
Całą też nad nim pracowała duszą.
— Grożą dziobami zaczepne trzewiczki,
Nad niemi żółte jedwabie się puszą,
I smuga szalu, bledziuteńko-modra,
Palmami siana, opasuje biodra.
Po rękach pełzną emaliowe płazy.
Na piersiach łańcuch — filigran stuwzory —
Cieknie w beryle, goreje w topazy.
A wszędzie brzęczą wisiory:

Z blach i turkusów rznięte amulety,
Gdzie złotnik skreślił arabskim figlasem
Słowa Koranu, lub wiersze poety.
Wśród nich podzwania i zapachnie czasem
Pełna wyskoku różanego kulka.
— Z poza wisiorów przegląda koszulka
Zielona, miększa od przędzy pająka.
Czasem rozchyli fałdziki zazdrosne,
Jak rozchylają się nagle na wiosnę
Majowe łuszczki u pąka.

Krągły kaftanik z wiśniowego sukna
Cały się w złote arabeski snowa;
Turban płomienne i czarne ma włókna,

Jak goździk. Nad nim kitka brylantowa,
Przepięta krwawem z rubinu serduszkiem,
Skrzy się i kiwa ognistym paluszkiem.
Z boku, przy kitce (tu korona dzieła —)
Niby swą pieczęć, herb swojej potęgi,
Rajska Różyczka w zawojowe kręgi
Pączek różany zatknęła.

A teraz, dumna, łamie sobie głowę,
Jaką się odciąć od innych oazą?
I czem podrażnić oczy Wezyrowe?
Więc pozłocistą spowija się gazą.
Posłuszny rąbek, jakby kropla wielka,
Wydął się nad nią. I tak, łudzicielka
W złotej łupinie zamknięta z osobna,
Kraśną zagadką nęcąca przechodnia,
Rozmajaczona, nieprawdopodobna,
Przyświeca, jak bajka wschodnia.

Lecz gdy już, pewna miłosnej korony,
Miejsce naczelne zabrała przemocą,
Selim, — czy na nią rozgniewany o co?
Czy tylko długą jej władzą znudzony?
Dziewkom służebnym szepnął po swojemu,
I posadziły przy niej *Łzę haremu.*
Ta była w bieli, jakby do ołtarzy
Ślubnych iść miała, bo służba jej, biegła
W doborze strojów, dawno już dostrzegła,
Że jej z białością do twarzy.

Próżno długimi broniła się jęki:
„Tego nie włożę... tamto niepotrzebne..."
Gwałtem ją zwinne ubrały służebne
I aż się dziwią nad dziełem swej ręki.
— Na ciżmach puszek łabędzi porasta;
Rzekłbyś, że wzleci ta nóżka pierzasta.
Zewsząd muśliny marszczą się leciuchno,
Jak mlecznej muszli zwoje karbowane.

Strach o nią bierze: niech wietrzyki dmuchną,
Cała rozpryśnie się w pianę.

Perły uryańskie, zwieszone wspaniale,
Tworzą napierśnik ruchomy i ślizki.
W ich klamrach długie, jak oczy, opale,
Poglądające tęczowemi błyski,
Perłom coś szepcą w rozełkanym chrzęście.
(Jest wieść, że opal przynosi nieszczęście).
Odkąd perłowa obciąża ją zbroja,
Łza się schyliła i szeptów jej słucha.
„Ach, ona biała, jak niewinność moja,
„Lecz jak niewinność i krucha!"

Jeszcze nie koniec. O ciężki przymusie!
Włos przypieczono w pukle i obwiązki;
Do włosów pióra powpinano strusie,
Co jakby wiotkie zwisają gałązki.
— A gdy jej dziewki podały zwierciadło,
Gdzie się dostrzegła, westchnienie wypadło
Z jej ust, bo sobie przypomniała drzewa
Rodzinnej ziemi, brzozę biało-korą,
Co przy jej domu płacząca powiewa
I patrzy w polskie jezioro.

Teraz już tylko zasłonę jej kładą,
A wnet się oba zrównają obrazy.
Oto strumienie księżycowej gazy
Lunęły na nią. Pod srebrną kaskadą
Przepadła, w konsze zamknięta głęboko.
Tylko podłużne przebłyskuje oko
I szemrzą pereł pokłócone rzędy.
— A ona drżąca, żałosna, powiewna,
Tai się, jakby zaklęta królewna
Ze średniowiecznej legendy.

Już dawno siedzi martwo zadumana.
Inne niewiasty śmiechem i rozmową
Skracają długie godziny, a głową

Ku drzwiom zwrócone, wypatrują pana.
Serce im bije w piersi niespokojnej.
Może nie przyjdzie? Ach, zły to czas wojny!
Ten strach, ten nieład już mają w ohydzie.
— Murzynki z wieścią biegały sto razy:
„Już wyszedł z rady.“ — „Już daje rozkazy.“
— „Już przeszedł kratę.“ — „Już idzie!“

Gdy Wezyr stanął u wejścia namiotu,
Zlękła, olśniona, zamilkła gromada.
Ale jak szybko uderzenie grzmotu
Po błyskawicy z obłoku wypada,
Tak nagle z niemej wyłoniony trwogi
Jęk roztęsknienia runął mu pod nogi.
Wszystkie na piersiach ręce skrzyżowały
I drogę jego zamiotły pokłonem.
On szedł, jak idzie orkan wybujały
Nad morzem w fale schylonem.

Gdy nogę kształtną, w purpurę obutą,
Podniósł na stopień, — zabrzękły cymbałki,
Wstrząsły się dzwonki, gwiznęły piszczałki,
I wraz wystrzelił, jeszcze wyższą nutą,
Okrzyk miłosny, — jak granat, ognisty, —
Drżący, jak stali damasceńskiej świsty.
— Siadł. — Ku estradzie idzie odaliska.
Dźwiga nalewkę o złocistym dzióbku,
Gdzie woda w igłach zamrożonych błyska.
Przy złotym ją stawia kubku.

Druga na tacce o marszczonym brzegu
Niesie ostrożnie podobną do kwiatu,
Pstrą, jak nasturcya, czareczkę z agatu,
W niej sorbet nakształt różowego śniegu.
— Trzecia nadchodzi aż wyprostowana
Z dumy; nie dziwno, niesie dar Sułtana:
Fajkę, pieścidło stambulskiego zbytku.
Przy jej olbrzymiem, bursztynowem jaju

Świecą szafiry; korale przy sitku.
— Takie dla świętych są w raju!

Ręką nurtuje aksamit kapciucha,
Klękła. Schylona ponad kadzielnicą,
Bierze wegielek i na listki dmucha.
Obłokiem zaszło Wezyrowe lico.
— Czwarta nadchodzi ze spuszczoną głową,
Nieśmiało trzyma chustkę bisiorową.
Chustka cudowna, światłem obryzgana,
Życiem trzech nurków okupiona drogo.
— Spuszcza ją lekko na pańskie kolana,
Lekko... z uśmieszkiem i trwogą.

I znów milczenie. Wszystkie niewolnice
(Wszystkie, prócz jednej, siedzącej bez duszy)
Patrzą się w pana, jakby w tajemnicę
Życia i śmierci, uciech i katuszy.
Składają ręce, chwalą go po cichu:
„Piękny! przepiękny! Podobny z przepychu
„Do seraskiera klejnotów: dyamentu
„I do lwa także, sułtana pustyni.
„Ach, i do słońca, szacha firmamentu.
„Kalif miłosnej świątyni!“

Wezyr przewrócił głowę w tył i oczy
Utkwił w różowe namiotu podniebie.
Teraz dopiero uczuł się u siebie.
Sam nawet Sułtan tych drzwi nie przekroczy.
Tu nietykalność, szanowana święcie,
Kładzie na ściany i serca pieczęcie.
Oto już niebios prawdziwy przedsionek.
Ach, nic milszego nad córy niewoli!
Tak, — on je lubi, — on je nawet woli
Od swoich czterech małżonek.

Tamtym zostało imię i rodzina,
I wpływ u dworu. Obrażone, mogą
Stawić się hardo i zemścić się srogo.

A niewolnice? To rozkosz jedyna.
Pod jego ręką, jak banieczki z mydła,
Wschodzą i giną, znikome bawidła.
Nad wypalonem ich przeszłości zgliszczem
Kwiat jeden tylko już rośnie; tym kwiatem
Jest jego łaska. On całym ich światem —
Prawem — wyrocznią — bożyszczem...

Jak to go bawi, gdy wzajem się kolą
Wzrokiem żmijowym! Gdy znagła, na jedno
Jego spojrzenie, płoną albo bledną!
Tu istna magia, zbrojna samowolą,
Stwarza natychmiast, co serce zamarzy.
Tu nikt zdąsanej nie odwraca twarzy;
Słówek nie daje — chyba na zaliczkę!
Ustek nie cofa — chyba dla podniety.
Dobry jest Allach, że stworzył kobiety,
A zwłaszcza *Rajską Różyczkę*.

Onaż to świeci z poza złotej gazy,
Co ją obwiła w półkuliste węzły?
Ach tak, to ona; malownemi skazy
Miga, jak motyl w bursztynie ugrzęzły.
Rusza się, — świetlne rozsunęła rąbki, —
Wyjrzała karczkiem toczonym gołąbki.
Spogląda pysznie, pewna, że zachwyca.
Z uśmiechu bije zalotna pogróżka.
Ona dziś patrzy, nie jak niewolnica,
Lecz jakby wszechwładna wróżka.

Dopóki cała nie wyszła z przezroczów,
Mustafa szeptał: „O wyjdź-że mi prędko!“
I śledził chciwie, jak rybak za wędką.
Nagle uderzył go wyraz jej oczów
Rozkazujący. Wnet pan się nachmurza.
„Oho!“ — pomyślał — „psuje mi się *Róża*.
„Czy, uwiedziona podszeptem zwierciadła,
„Sądzi, że inne bez walki odeprze?

„I że swym panem na zawsze zawładła?
„I że go nie stać na lepsze?

„Nie wie, że krótkie już jej panowanie.
„Kiedy chrześciańskie pozabieram ziemie,
„Tylko chrześcianki będę miał w haremie.
„A najprzód Niemki. Same wielkie panie.
„Wszystkie aż dotąd po drodze zabrane
„Cisnąłem Baszom. Ja większych dostanę.
„Oddacie córki, Hercogi i Grafy!
„Arcyksiężniczki staną się łaskawe.
„Cesarską rączką dla Kara-Mustafy
„Przyrządzą fajkę i kawę.

„Te Niemki z dobrej przychodzą nam szkoły.
„Jak wół cierpliwe, nie wierzgną pod batem,
„A gospodarne i słodkie, jak pszczoły.
„Dla nich mężczyzna Allachem, dom światem.
„Znam jeszcze inne... o dziwnem nazwisku...
„Aha! Flamandki. Raz, na targowisku
„Widziałem jedną. Rozkoszne stworzonko!
„Schludne to, gładkie, jak błam gronostaju;
„Twarz obciągnięta brzoskwiniową błonką.
„Pójdziemy i do ich kraju.

„Później mój harem Włoszkami zakwitnie.
„Pyszne Rzymianki pochylą kolana,
„Aby mi w oczy patrzeć aksamitnie.
„Dla nich w Seraju *Rzymskiego Sułtana*
„Przypadnie z prawa dostojność Sułtanek.
— „Przywieźć też każę i kilka Hiszpanek,
„O których tyle gadają Maurowie.
„Wpół Afrykanki, na wpół z Europy —
„Oko, jak gwiazda — nóżka antylopy —
„I nic tylko miłość w głowie.

„Pójdę i dalej, ażeby ten wielki
„Ich krzyż nie wisiał już nigdzie nade mną.
„Na północ. Wezmę i ową tajemną

„Wyspę za mgłami, co kryje Angielki.
„Kto wie, czy przy nich i tamte nie zbledną?
„Niegdyś korsarze przywieźli mi jedną.
„Nosiła pukle słoneczne, ogromne.
„A była biała! Nieledwie za biała.
„Białem się czasem, by mi nie stopniała,
„Jak śnieg. Ach, tej nie zapomnę!"

Dał znak. Nie ręką, tylko migiem oczu,
Jak iskrą, sparzył Nubijkę bronzową,
Co się trzymała czujnie na uboczu.
Przywykła nieme odgadywać słowo,
Skoczyła, — gazy obłoczne roztula
Pęka nad Laszką srebrzysta półkula —
Zaczarowana muszla się rozwarła.
Na tle z opalu i strusiego puchu
Wybłyska perła. Lecz jaka? Bez ruchu
I bez krwi. — Czy to umarła?

Jeszcze nie. W chwili gdy spadła zasłona,
Mdławy rumieniec przesunął się po niej.
Spuściła głowę, na śmierć zawstydzona,
Oczy przymknęła i ukryła w dłoni.
Przecudna była z tem czołem na ręku,
W alabastrowym zamrożona lęku.
— Mustafa sądził (o prostoto pychy!),
Że to jest zachwyt, — że nie strach mocarza,
Lecz jego piękność i blask ją poraża.
Więc posłał jej uśmiech cichy.

Różyczka zbladła... Ach, wszak on i do niej
Tak się uśmiechnął (dobrze to pamięta!),
Gdy po raz pierwszy spotkał jej oczęta?
— Zmienności męska! Niesyta w pogoni!
Czemże ci przyciąć wybujałych skrzydeł?
Trzeba się uciec do największych sideł.
— Od muzykantki pochwyciła zele.
(Ich dźwięk, podobny stopionemu złotu,

Dziwnie krew smaga). — Chwyciła i śmiele
Wyszła na środek namiotu.

Nad głową trzykroć klasnęła w talerze,
Potem je spuszcza, przyciska do łona,
Jakby dwa srebrne, maleńkie puklerze;
Roziskrza oczy, i tak uzbrojona,
Idzie do szturmu Wezyrskiego serca.
Nie idzie, płynie po włosie kobierca.
Przed panem staje, lecz boczkiem. Nieśmiała,
Zdala ku niemu wysuwa policzek,
Jakby się róża słońca przymawiała.
— „Ach, najpiękniejsza z różyczek!

„Ależ i druga także — na Allacha!
„Warta spojrzenia, lilia nieruchoma!
„Tak jest prześliczna, że już się nie waha,
„Tamta piękniejsza, że jeszcze się sroma."
— Więc Wezyr patrzy tu i tam na obie. —
Róża brew ściąga. — „Oho!" — myśli sobie. —
„Poczekaj, Laszko!" — Pod boki się bierze,
Kształtuje ręce, jak uszka od urny —
Z kitki potrząsa brylantowe pierze —
Kiwa się pączek czupurny.

Znagła... stanęła; — nie poznaje pana.
Krwawe mu światło w źrenicach zagrało,
Twarz ze śpiżowej stała się miedziana.
On ciągle patrzy, ale w tamtą, białą.
Próżno tancerka, pokornie złośliwa,
Oczom się wprasza, a tamtą zakrywa.
On szuka tamtej. Brew marszczy z uporu.
Na czoło pręga wystąpiła sina.
— *Różyczko*, baczność! Już dotknął bisioru,
Już w ręku miąć go zaczyna.

Jak on w nią patrzy! Strach, czy przez te oczy,
Coraz pieściwsze lecz i coraz krwawsze,
Drzemiący w piersiach, dziki zwierz nie skoczy?

— Dwa czucia sprzeczne, a jednak na zawsze
Sprzężone węzłem starego przekleństwa,
Hydra rozkoszy i smok okrucieństwa,
Tak się zwikłały w gnieździe jego serca,
Że nikt nie zgadnie z tych oczów połysku,
Czy to kochanek patrzy, czy morderca?
Czego chce: krwi, czy uścisku?

Spojrzenie ludzkie jest płomienną chłostą,
Której bicz budzi. — On patrzył dopóty,
Aż *Łza haremu*, jak łabędź ukłuty,
Podniosła głowę i Mustafie prosto
W oczy spojrzała. A wzrok jej był hardy,
Pełen dziewiczej zgrozy i pogardy.
— Patrząc, w zawzięciu, czy też mimowiednie,
Chwyciła drobną rękojeść z kryształu
Od świecącego za paskiem kindżału.
Wezyr się wzdrygnął — i blednie.

Skąd mu wzdrygnienie? Wszak mąż tej powagi
Panieńsko-piórych nie boi się strzałek,
Ni go zastraszy dziecinny kindżałek?
— Mustafa słynął ze ślepej odwagi.
Szedł całą piersią na wrogów pociski,
Śmiejąc się deptał zazdrośników spiski,
Pogróżki Muftych i gniewy Cezarów.
— A jednak były rzeczy tajemnicze,
Na których widok bledło mu oblicze...
Mustafa lękał się — czarów.

Znał magię. Wiedział, jak losy człowieka
Płączą się w rudym komety warkoczu, —
Jak śmierć przez filtry miłosne przecieka
I jak okropnym jest urok „złych oczu,"
Co zieje strachem, obłędem i klęską.
— A teraz... dojrzał tę moc czarnoksięską!
— „Mnie się zdawało... Ach, wątpić nie mogę...

„Ona się we mnie wpatrzyła „złem okiem.“
„Nie próżno *Róża* szeptała przestrogę!
„To czarownica z urokiem.

„Ona? Ta biała? Ach tak, ani słowa —
„Jest coś w jej oczach... to *Oczy uroczne.*
„Biada! Nieszczęście przynieść mi gotowa,
„I to dziś jeszcze, przed bitwą! Co pocznę,
„Jeśli szaleńcem obudzę się rano,
„Z ręką bezwładną, myślą pomieszaną?
„O, ta chrześcianka! Nim wyruszę w pole,
„Chciała mię urzec. Może już urzekła?
„Nie! — Jeszcze mocną mam rękę i wolę.
„Nie trafił we mnie grot piekła.

„Może z tych oczów nie zajadłość czarta,
„Lecz tylko prosta złość Ewy prześwieca?
„To jedno! Czary, czy krnąbrność kobieca,
„Zawsze już ona mej łaski nie warta.
„A jednak szkoda! Mnie drażni ta dziewa,
„Nęci a drażni, jak myśliwca gniewa
„Orzeł, wiszący zawsze za wysoko.
„O! gdyby nie to spojrzenie złowieszcze,
„Cobym ja nie dał, ażeby raz jeszcze
„Popatrzeć jej oko w oko!

„Popatrzeć — olśnić — i porwać w ramiona.
„Precz! Niech się żądza na dzisiaj zatrzyma.
„Jutro ze swoich czarów rozbrojona
„Orliczka spojrzy innemi oczyma.
„Jutro i miłość i zemstę nasycę.
„Gdy jedną ręką zabiorę stolicę
„Niemiec, a drugą dokonam rozbicia
„Chrześciańskiej armii, wtedy, spokorniała,
„Będziesz ty piękna u nóg mych żebrała,
„Już nie miłości, lecz życia.“

Teraz, *Różyczko!* taniec haremowy
Najtajemniejsze niech rozwinie sztuki,
Na zawrócenie muzułmańskiej głowy.
— Ręce podniosła, zaokrągla w łuki.
Z pod rąk tych patrzy wejrzeniem figlarki.
Mdlejącą głowę przerzuca na barki,
I gdy tak cała za siebie schylona,
W górę gołębią wyprężyła szyję,
Patrzcie! Z pod rzeźby wygiętego łona
Widać, jak serce jej bije.

Kręci się, zelę o zelę potrąca.
— Wezyr w nią patrzy oczami tygrysa,
Syknął z lubości i szepnął: „Hurysa!"
Ach, dosłyszała. Wpół tryumfująca,
Podbiega, coraz to bliżej Dywanu.
Ręką sięgnęła do zwojów turbanu,
Wyrwala z niego różany pączuszek,
Do ust zbliżyła, i zanim się zetrze
Niepochwytliwy pocałunku puszek,
Cisnęła go przez powietrze.

Mądry kwiat! Upadł na pańskie kolana.
Wezyr, porwany przez igraszki puste,
Chciał coś odrzucić, i cisnął jej chustę.
— Wnet szmer się rozszedł. *Różyczka* zmieszana
Strachem i szczęściem, pokorą i pychą,
Do nóg Wezyra zsunęła się cicho.
Mustafa, nagłym ogarnięty szałem,
Usta na szyi gołąbkowej kładzie.
Potem ją podniósł, ramieniem wspaniałem
Objął, — i nikną w arkadzie.

Po licach Polki przemknęła się krasa.
— Rzuciwszy niebu dziękczynne spojrzenie,
Pierzchła — i cały tłum, niepostrzeżenie
Odpłynął. — Lampa ostatnia dogasa.

— Śmierci podobnym bezszelestnym lotem
Geniusz milczenia stanął przed namiotem.
Z progów odpędził groźne widmo Wojny,
Siadł na tym progu i usty blademi
Rzekł: „Śnij, Wezyrze! Oto już na ziemi
„Ostatni twój sen spokojny.“

ALEKSANDER KRAUSHAR.

Ur. w Warszawie, r. 1843.

DZIEWCZĘ.

I.

Tam, na polu, bój wre krwawy,
Mkną hussarze...
Wśród nich rycerz srebrno-biały
Na sztandarze
Lśni...

A na kłosach polnej trawy
Świeżo ściętej
Skrzą się perły ludzkiej sławy:
Krople świętej
Krwi...

II.

Słońce patrzy krwawym wzrokiem
I na wzgórze
Rzuca promień swój ostatni...
Lecz już w chórze
Gwiazd

Płynie księżyc za obłokiem
I w jutrznianych

Srebrzy w błyskach hufiec bratni
Wśród bojowych
Jazd...

III.

Tam na progu nizkiej chaty
Dziewczę stoi...
I w barwiste pól bławaty
Płowy stroi
Włos...

Łzą dziewczęcia lśnią powieki,
Na bój żwawy —
Dwojgu sercom już na wieki
Zadał krwawy
Cios...

PROROCTWO.

Głoszą od wieków mędrce, proroki,
Że czas nam krzywdy zabliźni,
Że nienawiści wyschną potoki,
A miłość serca użyźni...

Kiedyż się, kiedy ta prawda ziści,
Że miłość zmartwychpowstanie?
Ach! zniknie wszelki ślad nienawiści,
Gdy powód do niej — ustanie.

SECESYA.

Szukacie nowych dla piękna wzorów,
Wy, poprawiacze natury!

Zamiast odmiennych prostoty tworów
Sztuczne tworzycie kontury...

Nie ten horyzont nowy odkrywa,
Kto na nieszczerość się sadzi.
W sztuce ta tylko droga prawdziwa,
Która do prawdy prowadzi.

JÓZEF KOŚCIELSKI.

Ur. r. 1845 w Służewie (Poznańskie).

»Poezye« (1883).

MOŻE.

O zrąb okrętu wygnany przez nędzę
Wsparł się wędrowiec,
I tęsknie posłał gorzkich myśli przędzę
Nad fal pokrowiec,
I myślał: znajdęż za świata połową
Chleb dla mych dziatek, dla matki ich łoże,
I strzechę ponad spracowaną głową?
Może!

A na pokładzie w wygodnym fotelu
Zasiadł turysta,
I wodził okiem po fali bez celu,
Jak dal się mglista
W coraz to inne przekształca ułudy
I coraz szersze roztacza bezdroże,
I myślał: znajdęż lekarstwo na nudy?
Może!

Wtem zawył orkan i piętrzą się fale...
Wysiłki próżne:
Wspólny grobowiec pokrył różne żale
I cele różne.

Ten chleba łaknął — ten gonił wrażenie,
Obu już serca tęsknota nie porze.
Lecz czyż jednakie jest ich ukojenie?
Może!

PIEŚŃ WIECZORNA PIELGRZYMA.

Górą i dołem, jak drogi się wiją,
Czy liść nade mną, czyli skwarne słońce,
Idę w kraj, w którym ideały żyją:
Tam drogi końce.

Choć ścieżka często i stroma, i wązka,
Zawsze dla ducha zdobycze znachodzę:
Czy kwiat, czy owoc, czy wrażeń gałązka,
Uszczknę po drodze.

Noc mię nie trwoży, pielgrzymki nie wstrzyma;
Bo i zmrok nowem mię światłem zbogaca:
To nie spoczynek natury olbrzyma,
Lecz cichsza praca.

Gdy ujrzę w ciemni gwiazdę spadającą,
Myślę: to ziarno, co na ziemię zlata;
Z kosturem w dłoni idę za niknącą
Choć na kraj świata.

Idei, która z niebios się wykradła,
Szukam wśród puszczy, czy na niw kobiercu,
Czy to śród ludzi, — bo może upadła
W ludzkiem gdzie sercu.

Dzisiaj czy jutro odnajdę ją snadnie,
Czy w myśli — kwiecie, czy w owocu — czynie,
Czy na gór szczycie, czy w przepaści na dnie...
Bo nic nie ginie.

Niczem nie gardzić, a wszystko miłować,
I w prawdę wierzyć, choć na chwilę zgasła,
Z prawdy i z piękna złotą tkankę snować —
To moje hasła!

ZŁUDZENIE.

Cicho tu, błogo! — gdy stanę u szczytu,
Czuję się lepszym, silniejszym na górach;
Pierś moja niby kowana z granitu
A czoło w chmurach.

Bóstwo mię poi prawd swoich szelestem,
Przed duszą widzę wszystkich tajni głębie
I z dumą kreślę me zuchwałe: jestem!
Na skały zrębie.

Mojej wielkości przed sobą nie taję,
W piersi mi biją jakieś tętna Boże;
Zda się, że mało mi już niedostaje
A światy stworzę! —

Cóż to? — tam w dole, gdzie strzecha ta nizka,
Jakiż to pyłek mozolnie się roi? —
Nie, to nie złuda, to ludzkie siedliska,
To bracia moi.

I serce do nich zabiło mi łzawie,
Z dumnych przed chwilą łza błysnęła powiek...
Ach, na tak wielkiej stał tylko podstawie
Pył marny — człowiek!

Ten, co ujmuje ginącym od głodu,
A mnoży skarby możnego od rodu
I przeciw słabym umacnia mur grodu...

Ten, co niziny zatapia wylewem,
Co płód niedoszły powala wraz z drzewem,
Co groby karmi żywota posiewem...

Jam ten, co patrzy bez błysku i gromu
Na znieważony cichego próg domu,
Na głowy zwiędłe wśród krzywdy i sromu...

Jam ten, co słońcem ozłaca blask mieczy,
Co kłamiącemu moc Bożą — nie przeczy...
— A niech się uczy ze mnie syn człowieczy!

B.

GDYBYM...

Gdybym ze srebra powstał, mógłbym się tem smucić,
Żę w proch i glinę ziemi mam się zaś obrócić,
Mógłbym, nakrywszy głowę, ze skargą siąść w progu,
Przeciw śmierci głos podnieść i przeciwko Bogu.

I gdybym z złota powstał, mógłbym mieć za zmianę,
Że w popiół się rozsypię i prochem się stanę.
Że zgasną moje blaski i jasność się zetrze,
Kiedy rosa mię zgryzie i zczeznę na wietrze.

Alem ja z prochu tego, z tej wzięty jest ziemi,
Dokąd się zaś powrócę za laty mojemi,
Po co mi skargi szerzyć, że stanę się pyłem?
Do domu mego wrócę i będę, czem byłem.

— —

SCLAVUS SALTANS.

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczora niewolnicy

Na zgniłej słomie, wpółnadzy i bladzi,
Wypoczywają zamknięci w piwnicy.
Maro — to znawca! on swoje obole
Wie na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak Amor każde u niego pacholę,
A mąż — gladyator! choć dzisiaj w arenę!
Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały!
Tors, jakby z bronzu, a włos jak lwie grzywy,
Rzut oka, zda się, przekuć? można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!
Przepyszny towar! Gdy Maro go nogą
Kopnął, wołając: „Wstań, bydlę!" twarz dzika
Spłonęła jakąś ognistą pożogą
I ryknął wściekle: „Nie budź niewolnika!"
Co za głos! wstrząsła się podziemna cisza,
Lentulus w strachu zgubił wieniec róży...
Wielcy bogowie!... Na brodę Jowisza,
Zda się, jak gdyby wołał: „Nie budź burzy!"
Słychać, jak kędyś powstaje bezładnie
Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie...
Warczącą przepaść zgrozy słychać zdala...
Drżyjcie! to Romę niewolnik obala!
Oto powstają wraz z klątwy tej echem
Gromy strasznego stuleciom wybuchu...
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: „Przez Herkula, wszak on na łańcuchu!"
Lecz biesiadnicy cofali się żywo.
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie jak łuk zgięty w pyszną linię krzywą,
Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz w dłonie,
I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!
Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada.
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczającym niewolnikom — biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba,
Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,
Rzuconej ręką gibkiego efeba...
Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!

Łzy — to zbyt wiele, i łzy — to zbyt mało.
Goście milczeli; z zapałem artysty
Wskazywał Maro, jak piękne to ciało
Określa kontur pogodny i czysty.
Wtem z boku nuta wesoła dolata...
To „sclavus saltans“, Słowianin pół-dziki;
Wszędy mu dobrze — i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki.
Z młodzieńczej wierzby naciąwszy gałęzi,
Uczynił sobie grające narzędzie,
Skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi...
— Och! niewolnikiem ten był, jest i — będzie!

PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi,
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: „Matko!“
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne sieroty
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: „Gdzie rodzice?“
„Nieznani“ — odrzekł pan pisarz z powagą.

Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: „Czy w wiosce jest szkoła?“
— „Nie“. — Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle.
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główkę, gdzie myśl, głucho śpiąca,
Nie znała światła innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy
I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten — to siła, stracona
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości.

I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miliona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony — posłyszał w przestrzeni
Sądy nad sprawą chłopczyny...
Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: „Pójdź, dziecię! ja cię uczyć każę!"

LIST*).

Abgar Edessy, król Mezopotamii,
Śle pozdrowienie dla Galilejczyka,
A list ten pisząc, oblewa go łzami
I do Judei śle przez powiernika,
Który go w chustkę jedwabną owinie
I nieść na sercu będzie, iż nie zginie.

Przyszła tu do nas powieść, że w Judei
Wielki się lekarz objawił wśród ludu;

---

*) Abgar, ogólna nazwa królów Edessy w Mezopotamii, między którymi Uchomo, dotknięty trądem, prosił piśmiennie Chrystusa, współczesnego sobie, aby go uleczył. List ten i odpowiedź, również na piśmie jakoby udzieloną, Synod Rzymski w roku 494-tym uznał za apokryfy.

Więc drżący jestem i pełen nadziei,
I czekający jestem Twego cudu,
Bowiem ta powieść tajemna a błoga
Mówi, żeś Ty jest Syn mocnego Boga.

Lecz ja, król chociem, w nędzy wielkiej żyję,
A drwal, co topór grzmi w cedrowym lesie,
I ten kamieniarz, co w głaz twardy bije,
I najuboższy żebrak w mej Edessie,
Szczęśliwszy dzień ma, niż ja, i noc cichszą,
Kiedy mnie bóle a jęki rozwichrzą.

Czarny ja jestem, spalony od słońca,
Lecz mnie osypał trąd biały, jak rosy,
Kiedy po wzgórzach, od końca do końca,
Perły rozsują poranne niebiosy;
Czarny ja jestem, spalony od słońca,
Lecz miłościwie mojego przyjm gońca.

Trzeci raz pełnia w dolinach się bieli,
Trzeci raz księżyc sierp na górach kładzie,
Jak powalony na mojej pościeli
Berła nie imam i nie siadam w radzie.
Trzeci raz miesiąc patrzy na mnie cichy,
Kiedy się wiję tak, jak robak lichy.

Dworzanie moi, chociaż się przybliżą,
Z oczu im widzę, że truchleją z trwogi,
I tylko wierne legawce mi liżą
Zeskorupiałe, w ranach żywych nogi.
Nawet kochanie moje mnie unika...
Więc ślę do Ciebie mojego wiernika.

I tu, w Edessie, mędrce w górach siedzą,
I gwiazdy mierzą od nocy do nocy,
Lecz na mą nędzę sposobu nie wiedzą:
Dużo mądrości w nich, a mało mocy.
O Tobie wieść jest, żeś prosty i cichy,
A siłę wielką masz, bo nie masz pychy.

Ktoby więc dał mi, iżbym na tym brzegu
Oglądać mógł Cię oczyma własnemi,
A iżbyś z trądu omiótł mnie, jak z śniegu
Wiośniany powiew omiata łan ziemi,
Iżbyś mi słońcem był, co suszy rosy!...
Choć mówią, chodzisz ubogi i bosy.

I ktoby dał mi, bym powstać mógł z łoża
I dać się ponieść mym sługom do Ciebie!
Bo Cię tak czuję, jak gdybyś wskróś morza
Chodzić mógł, z toni ratując w potrzebie,
I tak Cię czuję, jak gdybyś z powicia
Zgła śmiertelnego mógł wskrzeszać do życia.

Więc pełen wiary jestem i otuchy,
I łez, co w sobie nie mają goryczy,
I jakieś jasne bieleją mi duchy,
Gdy w noc bezsenną kość w bólach mi krzyczy.
I wiem, że Ty masz ręce mocne, czyste,
Że się zlitujesz, że zleczysz mnie, Chryste!

Cokolwiek każesz, rad wszystko uczynię,
I gdybyś żądał najmilszej mi głowy,
I gdybyś kazał iść w dziką pustynię,
I gdybyś pragnął królestwa połowy,
Dam, a dłużnikiem zostanę do końca,
Król trądem biały, a czarny od słońca.

Ale iż mówią, że matka twa przędzie
Wełnę, by żyła z niespania i pracy,
Że ani siewasz, ni kopiesz w swej grzędzie,
A gniazda nie masz, choć mają je ptacy,
I nie masz, gdziebyś przykłonił swej głowy,
Choć liszka jamkę ma, i zwierz borowy, —

Przeto się w myślach i gubię i ważę,
Czembym się z Tobą podzielił jak z bratem —
I moim pięciu wielbłądom nieść każę
Juki z bisiorem i juki z bławatem,

A zaś każdemu przydawam do garbu
Skrzynkę cedrową i nieco w niej skarbu.

Więc Ci się moje uniżą wielbłądy,
Hołd Ci niosące ze złota i srebra,
A Ty mnie ratuj, i zmyj ze mnie trądy,
I zamknij rany, co toczą mi żebra.
A wiem, iż zrobisz to nie darom gwoli,
Lecz iż Cię ludzki ból, jak własny, boli.

I o to błagam, byś piórko wziął w ręce,
Z onych skowronków, co lecą w lazury,
Zgubione w słońcu i w własnej piosence,
I słówko skreślił i przysłał tu w góry...
Iżbym Twe pismo na sercu położył,
I dyszał mocą Twoją, i tak ożył.

A teraz list ten mój, oblany łzami,
Co z oczu lecą, jak deszcze rzęsiste,
Abgar Edessy, król Mezopotamii,
Razem z mą duszą do Ciebie ślę, Chryste!
I pozdrowienie Świętemu Judei
Dawam, i cudu czekam, drżąc z nadziei.

ELEKTRA.

. . . .

Biała Elektra płótno tka
I piosnkę nuci z cicha.
To jej na krosnach błyśnie łza,
To cewka, zda się, wzdycha.

Piosnka jak ranny wzdycha ptak,
Łza ciężką perłą pada,
A z łez i z pieśni dziwny szlak
Na płótnie się układa.

I przez lekuchnej przędzy tło,
Przez cienkich lnów osnowę,
Dziwne z pod cewki cienie mkną,
Żałosne a surowe.

Jeden za drugim idą wzdłuż,
Posępnych lic mąż w męża:
A każdy niesie czarny kruż,
Miast tarczy i oręża.

A każdy w piersiach ranę swą
Wskróś jasnej niesie zbroi,
I widać, jak ociekłe krwią
Serce mu cicho stoi.

Pod Salaminą zwiedli bój,
I pod Messeną sławną,
Teraz na pogrzeb idą swój
Tak dawno już, tak dawno.

Pod Leuktrami kędyś tam
Pod Mantyneą padli,
A teraz idą z śmierci bram
Surowi i pobladli.

Pod Cheroneą zbił ich wróg,
U Termopilów legli,
A teraz idą z długich dróg,
Z wąwozów, skalnych regli.

Dawno już dali krew i kość,
Lecz wszyscy dzisiaj spieszą,
A każdy blady, cichy gość
Łączy się z smętną rzeszą.

A każdy idąc kwapi się,
W tę drogę swą pokutną,
I twarz surową, martwą tchnie
Na to przejrzyste płótno.

Wskróś izby cichy płynie śpiew,
A cewka warczy gniewnie,
Na białem czole ściągła brew
Schylonej drży królewnie.

I cięźej coraz pada łza
Na wątek pod jej ręką,
I coraz smętniej echo łka,
Zbudzone jej piosenką.

Bo nie zasłona ślubna to
Na piersi jej łabędzie,
Ale śmiertelne Grecyi żgło,
Lecz całun Grecyi będzie...

Bo za nią stoi Fatum złe
I mglistem okiem patrzy,
Jak coraz wolniej, wolniej mknie
Mar orszak coraz bladszy...

Aż gdy ostatni przejdzie mąż,
Z tych, co za Grecyę giną,
Przez wieki istnień wciąż a wciąż
Pod sławy Salaminą.

Wyciągnie Fatum mglistą dłoń,
I wątłą nitkę utnie
I złoży Grecya martwą skroń
Na tem śmiertelnem płótnie.

. . . .

Jak liść na wietrze cewka drży,
Królewna śpiewa blada,
Z spuszczonych oczu lecą łzy,
Jedna za drugą pada.

URYWEK.

Nie wam, słowiki, wtórzyć przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku...
Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną — czy w walce gasną,
Lecz z tobą płakać—człowieku!

PRZY OKNIE SIEDZĘ...

Przy oknie siedzę w cichą noc,
W gwiaździstą noc majową,
I czuję dziwnych czarów moc,
Jak lecą mi nad głową.

I słyszę szum i słyszę jęk,
Łkające ciche głosy,
I serce moje chwyta lęk,
A oczy pełne rosy.

I nie wiem, czy to górski zdrój
Tak skarży się a dyszy,
Czy las tak śpiewa psałterz swój
Przy srebrnej harfy ciszy.

I nie wiem, czy to błędny ptak
Do swego tęskni gniazda,
Czy przez lazurów ciemnych szlak
Strącona leci gwiazda.

I nie wiem, czy to z pąków kwiat
Tak ciśnie się do życia.
Czy śmierć tak cicho tchnie na świat
I gasi serca bicia.

I patrzę w cień, i patrzę w dal,
I słucham dumająca,
Jak głos ten każdą z swoich fal
O piersi moje trąca...

Ach, to nie strumień szumi tak,
Nie wicher to kołacze,
Nie nocny skrzydłem bije ptak,
Lecz dusza moja płacze.

WEZWANIE.

Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
W poranek róż majowy,
Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
Bo ci na drogę padnie cień
Mej cichej smętnej głowy.

Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
W jesienne mroczne rano,
Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
Niech blade niebo skryje nas
W swą płachtę z mgły utkaną.

Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
W jutrzenne życia zorze,
Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
Gdy dłoń i serce kwiaty rwie,
A ust puharem — morze.

Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Gdy rosa pada chłodna,
Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Kiedy się życia wytli moc,
A dusza wyschnie do dna.

Ale przyjdź do mnie wpośród dum,
W rozmyślań wielką ciszę,
Ale przyjdź do mnie wpośród dum,
Gdzie czarnych sosen szmer i szum
Mogiłę mą kołysze.

NA FUJARCE.

I.

A czemuż wy, chłodne rosy,
Padacie,
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,
Głód w chacie?
Czy nie dosyć, że człek płacze
Na ziemi,
Co ta nocka sypie łzami
Srebrnemi?

Oj żebym ja poszedł ino
Przez pole
I policzył łzy, co płyną
Na rolę,
Strachby było z tego siewu
Żąć żniwo,
Boby snopy były krwawe
Na dziwo!

Przyjdzie słonko na niebiosy
Wschodzące
I wypije bujne rosy
Na łące...
Ale żeby wyschło naszych
Łez morze,
Chyba cały świat zapalisz,
Mój Boże!

II.

Rozlegnijże się,
Głosie, po lesie,
Po zielonej, szumiącej dąbrowie!
Otrząśnij z rosy
Trawy i kłosy
I te głogi, co kwitną w parowie.

Przez pole, przez wieś,
Rozgłosem się nieś,
Aż do drogi, co idzie w kraj świata...
Niech się zasłucha
Moja dziewucha,
Wodna trzcina — i łąka — i chata...

Hej! głos dokoła!
Cości mnie woła,
Cości z piersi zabiera mi duszę...
Żebym jeno chciał,
Pół świata-bym miał,
Tylko tyle, że konie paść muszę...

Jasność miesiąca
W strudze odtrąca
Płatki srebrne, i złote, i sine...
Żebym jeno chciał,
To złoto-bym miał!
Tylko sięgnąć w tę modrą krainę...

I żal, i miło,
Jakby się śniło...
Po gałęziach coś szepce, coś gada...
W sercu kołacze,
Śmieje się, płacze,
I chce porwać — i samo przepada!

Hej! dziwnaż to noc!
Jakiś dech i moc

Idzie na mnie od nieba, od ziemi...
Żebym jeno chciał,
W górę-bym się rwał,
Jak skowronek skrzydłami szaremi!

OBIELIŁ NAM...

Obielił nam nasze chaty
Nowy dzionek złoty,
Widniej, widniej teraz ludziom,
Co w niej do roboty.

Do roboty — grodzić płoty,
Okopywać rowy,
Strzedz na siłę, co nam miłe,
Na ten roczek nowy!

Do roboty — lepić ściany,
Gdzie się która pada,
Boć ta chata stoi lata,
Jeszcze od pradziada!

Do roboty — bić wyloty
Na słoneczną stronę,
Niech uderzy dzionek świeży
W te ściany omszone!

Do roboty — przede wroty
Umieść czysto progi,
Wyrwać chwasty, cierń kolczasty,
Co nam rani nogi!

Do roboty — walić w młoty,
O kowadło życia!
W huku, w trzasku, w iskier blasku,
Krzesać serca bicia!

Do roboty -- trząść wymłoty,
Co plewa, co ziarno,
Mieć na chleby z własnej gleby
Mąkę choćby czarną!

Do roboty — na kłopoty
Mieć pociechę w sobie;
Zdarzy dola, co jej wola,
Ja, com winien — robię!

A JAK POSZEDŁ KRÓL NA WOJNĘ.

A jak poszedł król na wojnę,
Grały jemu surmy zbrojne,
Grały jemu surmy złote,
Na zwycięstwo, na ochotę...

A jak poszedł Stach na boje,
Zaszumiały jasne zdroje,
Zaszumiało kłosów pole,
Na tęsknotę, na niedolę...

A na wojnie świszczą kule,
Lud się wali jako snopy,
A najdzielniej biją króle,
A najgęściej giną chłopy.

Szumią orły chorągwiane,
Skrzypi kędyś krzyż wioskowy,
Stach śmiertelną dostał ranę,
Król na zamek wracał zdrowy.

A jak wjeżdżał w jasne wrota,
Wyszła przeciw zorza złota,
I zagrały wszystkie dzwony,
Na słoneczne świata strony.

A jak chłopu dół kopali,
Zaszumiały drzewa w dali,
Zadzwoniły przez dąbrowę
Te dzwoneczki, te liliowe...

RANEK W WENECYI.

Rajski ptak słońca wzleciał, roztrząsnął swe pióra,
Zapalił pół niebiosów, zaiskrzył pół morza,
I pieśń światła wyrzucił w niezmierne przestworza,
I zgłuszył śpiew księżyca, nocy trubadura.

Ziemia-Danae leży w perłach ros. U łoża,
Odchylona już rąbków mgły srebrzy się chmura,
A na złotem wezgłowiu dogasa purpura
Jutrzennych róż, zaledwie rzuciła je zorza.

Italio! Dzień kochankiem pośpiesza do ciebie.
Na ogromnych twych wodach, na szerokiem niebie,
Skrzydlate słońce twoje nie wschodzi, lecz wzlata!

Ale ja z krain idę, kędy na dnia progu
Świt, we łzach cały, długo wyprasza się Bogu,
By mu patrzyć nie kazał na stary ból świata.

WILLA WOŁKOŃSKICH.

Tu był, tu czuł, tu marzył. Tędy jego oko,
Zapalone tęsknotą, przez sabińskie szczyty
Biegło pod sine gwiazdy, w świat mgłami nakryty,
I pierś ku mrocznym borom dyszała głęboko.

Tu śpiewał. Rozkochane słowiki tej wiosny
Ucichły w mirtach, w jego wsłuchując się pienie,
Bo był głos — nad ich głosy — gorący, miłosny,
A z pieśni biły szumy zbóż i gajów drżenie.

Tu czuł. Stąd duch napięty piorunowym łukiem
Natchnienia, strzałą leciał przez włoskie lazury,
I szum swój zlewał w akord z północnych burz hukiem,
I ciskał błyskawice i gromem bił w chmury.

Tu, na samotnej sosny patrząc czarność, smętny
Odwracał od róż oczy tęskne, gorejące...
Stąd — orzeł, gniazda swego górnego pamiętny,
Wzniósł loty, wzbił nad ziemię i uleciał — w słońce.

DO WIERZBY W PRATO.

Wierzbo moja, płaczko moja,
Wspólne nasze łzy!
U jednego tęsknot zdroja
Stoim, ja i ty...

Na rozdrożu, na tułaczem,
Gdzie nas rzucił los,
Przeminionej wiosny płaczem
W jeden szum i głos...

Płaczem zorzy tej liliowej,
I słowiczych dni,
I tej nocy księżycowej,
Co o szczęściu śni...

Płaczem doli i kochania
Tych umarłych róż,
Co na pogrzeb im podzwania
Złota fala zbóż...

I dalekiej płaczem chaty,
Gdzie zawarty próg,
Gdzie wyrwane leżą kwiaty
U pielgrzyma nóg...

Idą ranki i wieczory,
Tęskność w sercu trwa,
Łkają twoje śpiewne kory,
Piosnka moja łka...

Co tu po mnie? Co po tobie?
Gdzie nasz bratni chór?
Zabłąkane my tu obie
W czarny, ludzki bór...

Zabłąkane my rowieśnie
W obcą, cudzą dal...
Jedne w sercu brzmią nam pieśnie,
Jeden w piersiach żal!...

Jedno po nas też zostanie,
Gdy się skończym już:
Fujarkowe, ciche granie,
W echach pól i dusz!

WIDZENIE MORZA.

Szmat nieba się oderwał z kraju widnokręga,
Zadrgał, zalśnił, zamarszczył łusk świetnych tysiące,
Wklęsnął, zamodrzał, ziemię opasał, jak wstęga,
I w głębokie mgły wnurzył obadwa jej końce.

Już na kraniec zachodu i wschodu przesięga,
Rozkrysztala powietrza kopuły wiszące,
Już tchnął, już poszła z niego świeżość jakaś tęga,
Zakołychał się z szumem i odstrzelił słońce.

Już otwarł się w niezmierność ogromną i siną,
Pół globu uczyniwszy lazurów łupiną,
Srebrem orzeźbia brzegi po ciemnej jej korze.

Już porwał oczy. Oczy moje we mgłach giną...
Już myśl porwał. Myśl w otchłań zapada szczeliną
I pierwszą perłą z głębin wybłyska. To morze! —

PAN BALCER W BRAZYLII.

NA MORZU.

(Wyjątki).

Więc kiedym stanął na owym pokładzie,
Na pewnych nogach i szeroko w kroku,
Tom się pocieszył, że już na zawadzie
Nie będzie teraz nic, nawet łza w oku.
Okręt był wielki, szeroki w nasadzie,
A choć wiatr tęgi zadymał mu z boku,
Ledwo się w sobie kolebał bez mała
Na linie, co się napięła i drżała.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha!
Zrobiłem święty krzyż: płynąć, to płynąć!
Człowiek nie plewa, wiatr go nie wydmucha,
Katolik przecie, Bóg nie da mu zginąć.
I teraz we mnie wstąpiła otucha.
A że mnie jeden z fajeczką chciał minąć,
Więc ognia wziąłem i czapkę-m nacisnął
Na lewe ucho; wtem sygnał zaświsnął.

Jest przeraźliwość jakaś niespodziana
W takowym świście, co jeży ci włosy,
To już waleta przez ziemię ci dana,
A ty się zbieraj i w garści dzierż losy.
Więc się pode mną ugięły kolana
I w oczach nieco zaczułem tej rosy,
Co chociaż nikt cię nie żegna z żałobą,
Samego człeka urzewnia nad sobą.

A już te czółna, te barki, te łodzie,
Co tam latały do portu od brzega,
Tak się zwijając i goniąc po wodzie,
Jak stado rybitw, gdy płocia dostrzega,
Cała ta luza zbyteczna w pochodzie
Już nam umyka, już od nas odbiega.
Wtem działo w hafie ryknęło co gardła...
Głos poszedł duży, lecz woda go zżarła.

Znak to był, jako na grzbiecie nas swoim
Morze już samo trzyma bez kotwicy;
Załopotały po boku oboim
Skrzydliska nakształt młyńskiej śmigownicy;
Nie czułem zrazu, czy płyniem, czy stoim,
Dym buchał ogniem, jak w czarciej kuźnicy,
Okręt, choć trzeszczał, lecz mocny się zdawał,
I, jak rak, wodę łapami rozkrawał.

Tuż za nim, jako kiedy na nowinie
Pług zajmie krojem skibę a odwali,
Taka się połać skróś morza odwinie
I szerszym ogniem po strzępach się pali;
Bo już się słońce nurzało w głębinie
Kolory dając za siebie tej fali,
Co się waliła w żar, brózda po bróździe,
Łódź czarną ciągnąc za sobą na uździe.

Na statku wrzawa, komenda, tłok, krzyki;
Po ludziach depcą, jak w boru po chróście.
Człek się tu robi przemyślny a dziki:
Ustąp się krokiem, to chybniesz w czeluście.
Nie tak się niedźwiedź pilnuje muzyki,
Gdy mu na drumli gra Cygan w odpuście,
Jak tu człek prawa morskiego i rządu,
Bo apelować daleko do lądu.

Zrazu tam byłem, jak w ostęp wpędzony,
Wprost na naganką, w sam kocieł obławy,

Jako ten szarak, co nie wie, gdzie w strony
Słuchy ma wytknąć, by nie dał odprawy;
Świst wiatru w uszach i rozpęd szalony
Mało mnie z onej nie wymiótł przez nawy,
Razem z magierką, z butami i z pasem;
Więcem się skulił, jak zając pod lasem.

Ale powoli cichło. Czym ja zwykał,
Czy też tak woda po sobie rozniosła...
A com rozumiał, że każdy wykrzykał,
Jeden drugiego ganiając za posła,
Nieprawda! tuman już z oczu mi znikał:
Różny tu urząd i różne rzemiosła;
Najwyżej stoi kapitan w honorze
I w rozkazaniu, a nad nim zaś — morze.

To pan największy nad wszystkie burmistrze,
A każdy przy nim kiep i staje frontem.
Gdy ono huknie, a porwie się bystrze,
To jakbyś właśnie na działo szedł z lontem.
A gdy zwolnieje, gdy toczy się czystsze,
Pod drobną falą, jak gdyby pod gontem,
To ci od miru tego, od tej łaski,
Naokół bije świt i srebrne blaski.

Ale nim sobie rozbierzesz to, człecze,
Jużeś poczęstnem szturchańców wziął siła,
Już ci tu za kark coś pleszcze i ciecze,
Już cię tu lina skrobnęła, jak piła;
Tuś w łańcuch stąpnął, więc z sobą cię wlecze,
Tu pompa chlusła i gębę ci zmyła;
Gdzie spojrzysz, wszędzie srogość i zawziątek,
A morze kipi i bryzga, jak wrzątek.

To i nie dziwo, żem zrazu w tym warze
Nie wiedział nawet, co z naszą gromadą.
Stalić tam w dymach kotłowych i w parze,
Zbici na kupę, jak owiec tych stado,

Gdy je zapłoszy wilk; pojrzałem w twarze:
Te jedne sino mienią się, te blado;
W oczach błąd jakiś, kolana dygocą,
Stoją, jak gdyby ujęci złą mocą.

Każdy to wiedział, że morze nie łacha,
Poły nie ugnie, nie przejdzie go brodem;
Alić dopiero tu poznał on stracha,
Tutaj na grzbiecie pot ściął mu się lodem,
I widać było, jak tłum ten się waha,
Oblany krwawym, ogromnym zachodem,
Jako łan żytni, gdy wiatry nim chwieją,
Między żałością i między nadzieją.

To kiedym spojrzał znagła w sukmany.
Na owem wielkiem, rozłożystem morzu,
Na ten len siwy, wełnami przetkany,
Co zwyczkiem siedzi schowany we zbożu,
W opolnych ziemiach, pod dach swój słomiany,
A teraz — patrzcież! — po takiem przestworzu
Z wiatrem się błędnym unosi po świecie,
To mnie mróz przeszedł i ciarki po grzbiecie.

Boć ze rzemiosłem to jeszcze pół licha:
Człek jest światowy i luźny sam w sobie.
Kunszt go prowadzi i naprzód popycha:
Źle mi, poprawię; straciłem, zarobię;
Ale kto w sochę swój żywot wydycha,
Kto ziemię tylko przewraca a skrobie,
Kiedy chce od niej, nie puszcza go, stęka,
I tak, czy owak, a zawsze jest męka.

Więc gdy tak patrzą na one to brzegi,
Choć im i cudze były i nielube,
Na one wody pieniste, by śniegi,
Co się chybocą i kręcą we śrubę,
Podobni ptactwu, co miewa noclegi
W śródniebnych drogach, a podczas i zgubę,

Od skrawku ziemi, niknącej w oddali,
Oczu nie mogli odjąć, i tak stali.

A już te łuny ugasły na wodzie,
Z zachodnich ogniów, kolorów i z słońca;
Niebo się miało ku cichej pogodzie,
Otchnione parą od końca do końca.
Lekkuchna modrość szła po niem na wschodzie,
Aż nagle gwiazda wybłysła z niej drżąca
I liczko swoje złociste a blade
Prosto na naszą zwróciła gromadę.

I patrz, jak dziwne są moce i siły
W owych to światłach litosnych na ziemię!
Wszystkie się głowy podniosły i wzbiły,
Jakoby tchnięte ognistym tchem w ciemię;
Wszystkie się oczy rosami zaszkliły,
A choć nikt znaku nie dał, lud, jak brzemię,
Z jękiem padł głośnym na oba kolana:
— „O gwiazdo morza! O karmiąca Pana!“

. . . .
. . . .
. . . .

A już i niebo spuściło się nizko,
Ciężkie chmurami, i mąt po niem chodził,
Rwąc na kawały to szare płachcisko,
Którem się od nas dzień cały przegrodził.
Chwyciłem masztu, bo stać było ślizko,
A wtem mnie bałwan jeden tak ugodził,
Jak chłop, gdy nogi podbije kłonicą,
I uciekł, cały siny błyskawicą.

Jakże nie rykną wichry! jak po niebie
Nie naczną trzaskać z okrutnym gruchotem!
Jak się nie porwą, nie wpadną na siebie,
Jak się nie cisną o morze pokotem!
To koń takiego dołu nie wygrzebie,

Kiedy go jezdnik uwiąże za płotem,
Jak one wodę skopały kopytem,
W błyski kowanem i w gromy podbitem.

Znam ci ja burze tęgie, bom od dziecka
Po leśniczówkach, jak wilczę, chowany;
Wiem, jak Kampinos grzmi, jak Myszyniecka,
Jak i Zielona, aż het, za Prużany,
Owa ta sławna puszcza Białowieska,
Gdzie się żubr ukrył, potopem zagnany,
W taki gąszcz, że sam Bóg drogi nie wiedział,
Poniechać musiał, a zwierz się osiedział.

Jest ci tam przestrach, gdy wicher uderzy
W róg krętych sosen lub puści ze smyczy
Ogary wietrzne po pustej trzebieży,
A tur go ciągnie w chrap mokry i ryczy...
Lecz przecie się to do morza nie mierzy!
Tu lęk osobny jest, co kości liczy,
Tak, że ci każda, jak w zimnie, dygota,
Lęk ogromniejszy niż w końcu żywota.

Tu szpicem na dół przód się okręciska
Sunie, ze wszystkiem chcący grzęznąć do dna,
Tu trzask, tu łomot, tu gardziel ci ściska
Śmierć, której ręka jest mokra i chłodna;
Aż nagle w górę, jak chybnięta miska,
Jedziemy, przez łby wali góra wodna,
Do suchej nitki mocząc szmat na grzbiecie,
A puść się ręką, to cię, jak źdźbło, zmiecie.

A tuż dopiero jak się zaczną toczyć
Beczki, łańcuchy, — to z taką szło siłą,
Że drugi, trzeci, nie zdążył uskoczyć,
Już nim, jak kulą, o pomost rzuciło.
Ludzie zaczęli krzyczeć, pchać się, tłoczyć,
Niemało chłopstwu guzów tam nabiło,
Nie licząc tego, że się Italiańska
Dziewka przez poręcz spławiła do Gdańska.

Nie tak się w sobie rozszumi, rozwieje
Bór, gdy się sośnie zamiotą od burzy,
I nie tak ugór zorany czernieje,
I nie tak żyto za wiatrem się kurzy,
Jako więc morze pod ową zawieją
Wał na wał pędzi, dogania go, nurzy,
Zatapia, ryczy, jako byk do stada,
Zrywa się, leci i w otchłań przepada.

Huknęły teraz niebieskie harmaty,
Które sam Michał Archanioł nabija.
Mrok upadł gęsty, i tylko się szaty
Anielskiej czerwień skróś chmury przewija.
Pękły nad światem ogniste granaty,
Świszczą, żądłami kręcą, jako żmija,
Lecą do morza pobite czcrepy,
A deszczu strugi tak walą, jak cepy.

Jeszcześ to chłopu mniejsza; chłop dostoi
Choć się w nim życia ruszą fundamenty.
A drugi taki, im więcej się boi,
Tem twardszy bywa w śmiertelne momenty;
I za trzech zuchów tchórz w strachu obstoi...
Lecz baby srogie czyniły lamenty,
Od których, gdy nam ciężko uszy puchły,
Kapitan kija podniósł, i tak zgłuchły.

Zaraz też okręt lżej zaczął sterować.
Bo już nad wszystko wrzask babi nie służy,
Gdy się kto bierze po morzach żeglować.
Rzecz to jest mocna i pomiar jej duży...
Już się tam nie lża po tynfie targować
Z śmiercią, gdy nawa pod wodę się nurzy;
Co masz, to dawaj, czy miedzią, czy złotem,
Wypłyniesz? będziesz rachował się potem.

Tymczasem owe to morskie załogi,
W świstach, w błyskaniach migają się ino,

Skróś ognia onej niebieskiej pożogi
Świecąc twarzami piekielnie a sino,
Kapitan, blady w obliczu i srogi,
W rozpiętej kurcie, przewzięty w pół liną,
Okiem obiegał morze i pod reją
Komendę trzymał na przebój z zawieją.

Nie łatwo było! Co okręt dał nura,
Strząchnął się z piany i na wierzch wypłynął,
To znów się wody waliła nań góra...
Tak on łbem pod nią, i znów się wychynął!
Na hak-by go ta wpędziła wichura,
I byłby pewno, jak ruda mysz, zginął,
Ale się morze w tej bitwie zmachało
I w setne trąby na odwrót grać dało.

Do samej nocy goniły nas sine
Oczy błyskawic i grzmot łajał z warkiem.
Aż my się, w wichrów wcisnąwszy szczelinę,
Przebili z tuczy. Tak skrzydłam ptak szparkiem
Kraje na ukos powietrzną głębinę,
Kiedy mu kania zakrąży nad karkiem...
Lecz piorun jeden dognał nas, wypalił
I sążeń drzazgi od masztu odwalił.

Zaraz też, jakby na to tylko czekał,
Jął się wichr ciszyć i składać po sobie
Zjeżone grzywy; a grzmot tak uciekał,
Jak gończy z troka, gdy w kniei przeskrobie.
Raz jeszcze, drugi, wskróś mroków zaszczekał,
Zacichł, znów drogę obwarknął na globie,
Aż ciszej, dalej, z ostatnim skowytem
Schował się w niebie, chmurami nakrytem.

Z WIECZORNYCH PIEŚNI.

Wieczór już, Panie! Oto leśni ptacy
Skłaniają skrzydła ku gniazdom w polocie,

Oto pól twoich umilkli śpiewacy,
Oto dzień cały przetrwałam już w pracy,
We łzach, w tęsknocie...

Z blasków poranku, i dnia, i ze słońca,
Nie miałeś dla mnie żadnego promienia.
Oto się czas mój nachyla do końca,
Oto już gwiazda wieczorna i drżąca
Błyska wśród cienia...

Innym oddałeś zórz jasnych kolory,
Nad cichą strzechą rzucone w lazurze,
I zapach łąki, i ciszę w naturze,
Bocianie gniazda, topole i róże,
I ciemne bory...

Lecz ja ze świata całego ogromu
Jedno jedyne serce wzięłam sobie.
Gniazdo me spadło strącone od gromu,
Nie było dla mnie ogniska ni domu,
Żyłam w żałobie...

Po cząstkę moją, na boku stojąca,
Nie wyciągnęłam przez dzień cały ręki.
Życie przechodzi, pomija, potrąca,
Myślałam — wspomni! — czekając tak końca
Nucąc piosenki...

Lecz oto kwiaty posnęły majowe,
I kruk samotny znajduje posłanie...
Czuję chłód ros tych, co lecą perłowe,
Na wiernej piersi daj skłonić mi głowę.
— Wieczór już, Panie!...

WŁADYSŁAW BEŁZA.

Ur. r. 1847 w Warszawie.

»Pieśni liryczne« (1868), »Poezye« (1874) »Poezye« (1892).

DROGA DO NIEBA.

Mateńko moja! powiedzcie jeno,
Jaką do nieba trafić drożyną?
Czy ta jest droga żywota wieczna,
Co lśni na niebie, jak wstęga mleczna?
Czy jaka inna ukryta może,
Która prowadzi w królestwo Boże?

Och, mój najmilszy aniołku mały!
Ten promienisty gościniec biały,
Na którym jasną, wiosenną nocą,
Srebrne gwiazdeczki światłem migocą,
To tylko dla nas jako wzór święty,
Na lazurowem niebie napięty,
By droga nasza była tak biała,
Jak ta w błękitach wstęga wspaniała!

Kto chce do nieba trafić, o dziecię!
Ten drogę znajdzie i tu na świecie!
Miłość mu wrota raju otworzy,
A litość w kraj go nawiedza Boży!

Och, mój aniołku! przed Tobą droga
Leży wiodąca do Pana Boga!

Nie zbaczaj jeno na ścieżki kręte,
Lecz powinności wypełniaj święte!
A gdy kres życia padnie na ciebie,
I ty gwiazdeczką zalśnisz na niebie!

PIEŚŃ O KOSZULI.

W izbie mroźno, krzepną dłonie,
Słychać głuchy szum zamieci,
Bladem światłem lampka płonie,
Bladą twarzą dziewczę świeci.

Coraz bardziej pierś ostyga,
Coraz słabiej serce bije,
W pilnych palcach igła miga,
I wciąż szyje... szyje... szyje...

Zorza łuną tleje jasną,
Ona szyje do ostatka.
Tam, na niebie gwiazdy gasną,
Tu, na ziemi kona matka.

O miej ufność, matko biedna,
Pan Bóg wejrzy, łzy utuli!
Jeszcze tylko wstawka jedna
W batystowej tej koszuli!

Ot, już praca niedaleka,
Mocy Bożej ufać trzeba!
Ja ci, matko, kupię mleka,
I białego kupię chleba!

Cicho... cicho... ani jęku,
Słońce wschodzi, pomrok kona,
Igła szybko miga w ręku,
I... koszula już skończona!

Och, radości tu niemało,
Aż weselsze serca bicie!
Ciszej, mała!... słońce wstało,
Lecz zagasło matki życie!

Dwie męczeńskie blade głowy
Anioł śmierci cicho tuli...
Za tę powieść batystowej
Pokłoniłem się koszuli.

JULIAN OCHOROWICZ.

Ur. r. 1850 w Radzyniu.

NAPRZÓD.

Nie ten zna burzę, kto miotan wichrami
Na pełnem morzu napotykał gromy.
Nie ten zna walkę, kto zbratan z działami
I z hukiem boju znajomy!
Lecz kto bez chleba i bez łzy bratniej,
Przez tłumy ludów, sam siłą własną
Szedł — i zdobywał w życiowej matni
Każdy kęs chleba, każdą myśl jasną;
Kto bez promienia rodzinnej wiary
Rzucony w otchłań przeszedł przez piekło
I nie spalony ogniem ofiary
Szedł wciąż, choć szczęście przed nim uciekło.
O, ten zna walkę!.. Bracia! przed nami
Taka dziś walka stoi otworem;
Naprzód. — Kto padnie, wspomnim ze łzami,
Kto wytrwa — będzie nam wzorem!
Naprzód! przed nami świat do zdobycia,
Nadziei tysiąc, zawodów tysiąc.
Lecz nim przebędziem pierwszy próg życia,
Pierwej z nas każdy musi tu przysiądz,
Przysiądz na wszystkie świętości ziemi,
Że póki serce w piersiach bić będzie,

Do walki życia pójdzie z innemi
I chwałę siłą zdobędzie!
My chcemy walki, lecz nie tej krwawej,
Co świat napełnia zwierzęcym wrzaskiem,
Co w liczbie morderstw szuka swej sławy
I krwawym dumna oklaskiem!
Nie tej, co pośród dzikiej zamieci
Ogniem i mieczem burzy i straszy;
My chcemy walki, co kraj oświeci
Od piwnic aż do poddaszy!
Co kraj oświeci wiary światłością,
Walki, dla której świat jest miłością,
Zimna rozwaga — nadzieją!
Chcemy los własną kierować dłonią
W walce, wśród której wodzem jest stałość,
W walce, dla której praca jest bronią,
A sprzymierzeńcem — wytrwałość!
O, bo pieśń nasza, to nie ta łzawa,
Słodka melodya niebieskich ptaszyn,
O, bo pieśń nasza, to fabryk wrzawa,
Stuk młotów i turkot maszyn!
Nasza modlitwa, to nie te mgliste
Tęskne za lepszym światem wzdychanie,
Nasza modlitwa, to wiekuiste,
Łączne z miłością wiedzy działanie;
To myśl, co tęskni w ludzkości sercu
I nad znikome życie ulata;
To głos, co w bliźnim i różnowiercu
Znajdzie człowieka, druha i brata!
Więc nim się krótki sen życia prześni,
Nim drogę trudów przebędziem ślizką,
Chowajmy w duszy dźwięk bratniej pieśni
I bratnich uczuć ognisko!
A gdy czas, spieszmy zagnani wiedzą,
Sokolim lotem do pragnień szczytu,
Niech o nas przyszłe wieki powiedzą:
Żeśmy zbliżyli promienie świtu!
Żeśmy nad ludów zburzone fale,

Łódź naszych losów kierując myślą,
Wznieśli i wiedli w dłoni zuchwale
Tam, gdzie w oddali ponad głów tłumem
Na wielkim drzewcu z wszechwiedzy drzewa,
Okryty chwałą, z tajemnym szumem,
Sztandar postępu powiewał
Lecz nim go nasze dłonie pochwycą
I wzniosą w górze u snów zenitu,
Bądźmy dla wieków złotą skarbnicą,
Dla gromów — skałą granitu.

— - —

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

Ur. r. 1850 w Wasylówce (gub. Kijowska, pow. Skwirski).
«Wspomnienie Tatrów« (1891), »Poezye« (1893).

PIEŚŃ SZCZĘŚCIA.

Chcecie, bym śpiewał? — może nawet chcecie,
Żebym uderzył w ton pieśni wesoły?
Ach! tak rozkosznie, tak dobrze na świecie,
Ziemia — raj prawie, ludzie — pół-anioły,
Sklep lazurowy nad nami rozbity —
Tylko się unieść i lecieć w błękity.

Gdzie rzucisz okiem, poprzez niw kobierce,
Widzisz motyli gon wśród tęcz powodzi—
Gdzie serce zwrócisz — uderzy ci w serce
Ta pieśń swobodna, którą szczęście rodzi.
Westchnieniem wznosi pierś, potrąca duszę,
Że choćbym nie chciał śmiać się, śmiać się muszę!

Tak! pełną piersią oddycham dziś z wami —
Szczęśliwy jestem — i nic mi nie trzeba;
Czego zapragnę, wnet los dobry da mi,
Choćbym zażądał złotej gwiazdy z nieba,
Choćby szalone przyszło mi pragnienie
Na kołowrotku zwijać gwiazd promienie.

Rozkosznie cicho!... Żaden grom, ni burza
Snów czarodziejskich z powiek mi nie spędza —
Kwiaty i kwiaty!... Woń róż mnie odurza,
Czarownych marzeń rozsnuwa się przędza,
Splata się w wieńce złote, w świateł koło,
Brzmi pieśnią rajską... och, jak mi wesoło!

Zbliża się wielka rocznica narodzin:
Przedwieczne Słowo żywem ciałem stanie —
I patrzcie! patrzcie! za niewiele godzin
Z anielskim chlebem spłynie pojednanie
Tych, którzy w sercu gniew zawzięty mieli, —
I od Wigilii wstaną już — anieli!

Do pląsów za mną!... Zbliża się rocznica,
Przed którą w sercach nie rodzi się trwoga.
Płomieniem wielkim rozjaśnijmy lica,
Wznieśmy puhary i pijmy w cześć Boga,
Który zapalił gwiazd jasnych promienie,
Na ziemię zstąpił i przyniósł zbawienie!

Ach, z wigilijną ową gwiazdą złotą
Ileż radości w domy nasze spłynie!
Zbierzem się wszyscy — i dłonie się splotą
W uścisk braterski, czar serca owinie —
I, niosąc cichą modlitwę do nieba,
Powiemy Bogu: „Nam już nic nie trzeba!..."

Zbierzem się wszyscy — my i nasze sługi —
I zamienimy z sobą życzeń krocie:
Daj, Boże! taki rok doczekać drugi,
W tej ciszy świętej, w marzeń szczerem złocie,
Wśród róż, snów, czarów!... Daj nam, Panie Boże!
Przy morzu łask tych, drugie takie morze.

Rocznica święta! w ten dzień uroczysty
Żadna ku niebu nie popłynie skarga,
Z niczyich oczu nie padnie rzęsisty

Deszcz nagłem łkaniem, sercem nie zatarga
Ból żaden... o, nie! — w tej wielkiej godzinie
Hymn dziękczynienia do Boga popłynie:

Za dobro wszelkie, które tak obficie
Złotym promieniem zlał pod nasze strzechy —
Za to rozkoszne, pełne kwiatów życie,
Za nieustanny jeden zdrój pociechy,
Za obietnicę... po naszym pogrzebie,
Szczęścia wiecznego i królestwa w niebie!

ZE WSPOMNIEŃ GRECKICH.

Grek mię prowadził. — Pod stopami memi
Spalone skwarem szeleściały zioła;
Krzewy mirtowe przyległy do ziemi;
Wiatr gdzieś w szczelinie skał drzemał — gór czoła
Patrzyły w słońce, co z monarszą pychą
Przez cichy obszar błękitów szło cicho.

W słonecznych blaskach Tajgetu wyżyny
Purpurowemi świeciły barwami;
W skalistych głębiach leżały muśliny
Mgieł nieruchome, a dalej — przed nami
Widniało głazów omszonych bezładzie...
W podobne kształty czas ruiny kładzie.

Na piaszczystego wszedłem wierzch pagórka
Prastarej Grecyi owionięty duchem.
U nóg mych żółta pierzchnęła jaszczurka
I gdzieś się skryła w piasku morzu suchem.
Cisza... W dolinie szemrał tylko wązki
Eurotas, laurów trącając gałązki.

W połyskliwego zdroju idąc ślady,
Szelestem swoich stóp drażniłem ciszę;

Lecz echa spały na górach Hellady,
W powietrzu żaden ptak się nie kołysze —
Patrzyła w przestrzeń źrenica otwarta...
Wtem Grek się wstrzymał i powiedział: „Sparta!"

Stanąłem... Chciwie wytężyłem ucho:
Na ono słowo wszak się echa zerwą,
W wąwozach skał tych odezwą się głucho
Leonidasa imieniem i przerwą
Tę martwą ciszę... Okrzyk się rozszerzy,
Poleci wichrem i gromem uderzy.

Słucham... Milczenie! — Nawet wązka struga
Szemrzeć przestała i zwolniała w biegu,
Leniwem światłem cicha fala mruga.

NIE TAK! – NIE TAM!

Miał jeno kawał sukmany
I silne dłonie —
Pracował nieraz o głodzie,
Rąbał drwa w lesie — pasł konie,
Gdy księżyc świecił rumiany,
Na ziemi sypiał wznak,
Nie tak, jak pany —
Nie tak!

Obsiewał nie swoje łany,
Orał nie swoje —
A wczesnym rankiem brał kosę,
A nocką bydląt gnał troje
Na zarośnięte kurhany —
Szedł z długim batem sam...
Nie tam, gdzie pany,
Nie tam!

A gdy włos biedą stargany
Błysnął siwizną;
Gdy chude barki się zgięły,
Na żebry ruszaj, starzyzno!..
I szedł przed siebie, jak gnany,
Z obwisłem skrzydłem ptak —
Nie tak, jak pany,
Nie tak!

Wsunął w żebracze łachmany
Wychudłe członki,
Umarł na progu kościelnym,
Gdy w niebie grały skowronki...
Nic mu już smutki, nic rany!
Do rajskich poszedł bram —
Nie tam, gdzie pany,
Nie tam!

BAJKI.

DOBRA ZAMIANA.

Rzekł Marcin do Jakóba: — „Zamieniajmy żony.“
Na to odpowie Jakób, wcale niezdziwiony:
—Zamieniać?... a to po co?... Ot, jak skończę z tobą:
Swoją zostaw u siebie, a moją — weź z sobą!“

LEPSZE CZASY.

Nie sprzeczam się—jest postęp! — Lepsze czasy padły.
Dawniej, pośród przyjaciół psy zająca jadły...

Teraz co krok, to widzę zmian poważnych wiele
I zająca zjadają sami przyjaciele.

PADYSZACH.

Padyszach, dziad zszarzany, z przewiędłą urodą,
W zamczysku swojem chował odaliskę młodą —
Nawiedzał ją codziennie z pełną pereł czarą,
Sypał złoto, klejnoty — iście pańską miarą.

Młody janczar... nie perły, to rzecz oczywista,
Lecz dawał jej ukradkiem pocałunków trzysta.
Nie wiem, co chętniej brano — powiem jednak śmiało:
Pocałunki paliły, złoto — chłodem wiało.
—„Królu królów!—raz krzyknął zbladły stróż zamczyska—
Z pułku janczar, z haremu pierzchła odaliska!“
Padyszach się zamyślił... Wzdłuż, wszerz przeszedł harem:
—„Dziwne!—rzekł—Miała króla—uciekła z janczarem!“

JACENTY.

Dziwnym był ten pan Jacenty, —
Wszystkim się podobać umiał:
Chwalił stare fundamenty,
Nowych gmachów głos rozumiał.
Idąc z chromym, sam utykał —
Nawet kozła z nim wywróci...
W dźwięk słowiczej pieśni wnikał
I uwielbiał głos koguci.
To też, gdy się z życiem zgniewał
I na lepszy świat poskakał:
Ksiądz nad ciałem rzewnie śpiewał,
A nad trumną dyabeł płakał.

SZWAGIER.

— „Za co mię kąsasz? — spytał krytyka poemat —
Czy myśl mam nadto błahą lub wiersz bez zalety?“
Na to krytyk: — „Wiersz dobry masz, podniosły temat,
Lecz wrogiem mym śmiertelnym jest szwagier poety“.

SAMOBÓJSTWO.

Życie ci męką, własna myśl — cierpieniem;
Pragniesz żywota zagasić pochodnię...
Ja ci przebaczę samobójstwa zbrodnię:
Zabij się pracą, trudem, poświęceniem.

DO BRACI PIEŚNIARZY.

W przeczuciu śmierci.

Dlaczego stoję pośród was, pieśniarze!
Którzy wiosenne opiewacie wdzięki?...
Ani marzeniem waszem nie zamarzę,
Ni kwiatu róży nie wezmę do ręki,
Ni myśl wybiegnie za graniczne kopce,
Gdzie ludzie obcy, gdzie róże mi obce.

Jako dąb, wrosłem w bryłę ziemi szarą,
Z niej krew swą wziąłem, myśl, ciało i ducha —
Żyłem jej szczęściem, wierzyłem jej wiarą,
Otuchą moją była jej otucha.
Ot, człek się dla niej rozdrabiał w kawały,
I — przyjdzie chwila — jej odda się cały.

Nie o urokach wiosennych mi śpiewać —
To wasze pieśni, lutniści najszczersi!

Nie krwią stygnącą mnie już dziś rozgrzewać —
Ogień ten z waszej musi trysnąć piersi!
Nie dźwięcznym rytmom tłum ma się pokłonić:
Pieśń — gdy jest żywa — musi w czyn zadzwonić.

Niech mi przebaczą ci, co przyjdą po mnie,
Że się nie wzniosłem nad wysokość płotu.
Nizko-m szybował, choć chciałem ogromnie
Rozwinąć skrzydła do wyższego lotu;
Nieraz ku gwiazdom zakręciłem drogę
I czułem dobrze, że dolecieć mogę.

Lecz, choć nie ożył żaden posąg z głazu,
Na który-m rzucał zaklęcia i czary...
Do błota-m piersi nie schylił ni razu,
Nie odebrałem jednej duszy wiary —
Mojego cienia ludzie się nie zlękną:
Kochałem piękno — i wierzyłem w piękno!

O! nie pytajcie: czemu lot się skrzywił
I tak się zwęził rozmach orlich skrzydeł?
Czemu się żaden posąg nie ożywił?
Dlaczego zbrakło barw do malowideł?...
Nie! tej spowiedzi nie chciejcie ode mnie:
Jeżeli-m wydał jęk — już skonał we mnie!

W sercu i głowie ból czuję i zamęt —
Lecz wiem, że oto jestem w kole bratniem
A każdy prawo ma spisać testament,
Do świata z słowem zwrócić się ostatniem —
Zwracam się do was, coście nie otrzęśli
Złudzeń z serc młodych, ni ze strun swych gęśli.

Spójnym łańcuchem przybliżcie się ku mnie,
Niech, jak śpichrz pszenny, będzie orszak tłumny.
Siedząc, pomyślcie: Siedzimy przy trumnie!
Słysząc mnie, mówcie: To mówi głos z trumny!

Patrzcie!... krzyż stoi... Na to znamię krzyża
Przysięgam: Czujcie! bo się śmierć przybliża.
Sto arf niech zagrzmi potężnie, donośnie...
Tylko nie wiążcie rytmów w splot zmysłowy;
W natchnieniach wyższych niech w piersi duch rośnie,
Nie w bluszcz lubieżny, lecz w słup granitowy:
Pryskają szybko wizye Oceanid,
Czernieje nagość ciał — zostaje granit.

Granitu, dźwięków ze śpiżu i miedzi
Pieśni tej trzeba!... Niechaj grzmi i świeci!
O echo żadna niech pierś się nie biedzi:
Zaczarowany ptak szybko przyleci —
Narzędzie pieśni — to cudów narzędzie,
Gdy czystem złotem przepojone będzie.

Skąpcie się w złocie!... Niech pieśni odwtórzy
Wzniosłego życia nieskalona czystość,
Bo nic wierzących wam tak serc nie wzburzy,
Jak słów rzuconych i czynów dwoistość —
Pomiędzy ludem wieszcz nie staje co rok,
Mesyasz jego, przewódca i prorok!

Dziś obniżono Derwidowej arfy
Nastrój potężny... Do wyżyn go wznieście!
Zostawcie tłumom strój miękki i szarfy,
A jeśli płonąć zechce — wy jesteście!
Przez wasze usta, w dnia zmiennej godzinie,
Błogosławieństwo i klątwa niech płynie!
Chcieć—czuć potęgę... i nie módz rozwinąć
Skrzydeł... To Piekło!... Ja znam te katusze!
I wiem, że muszę w zapomnieniu zginąć,
Że struny żadnej silniej nie poruszę —
Drętwieją palce, usuwa się lutnia,
I coraz bardziej świat mi się osmutnia.

Ale wy, piewcy życia i nadziei,
Strącicie zmorę; straszny sen się prześni!

Z pieśnią natchnioną idźcie po kolei,
Wierząc, że siła, że jest moc w tej pieśni;
Że nie zagaśnie światło u ołtarzy,
Jeśli czuwają kapłani na straży.

Pieśń — to kapłaństwo!... Nie dość ręką zdolną
Przebiedz po strunach, tłumu oklask zyskać —
Ale obniżyć akordu nie wolno.
Raz zapaliwszy słońce, stać — i błyskać,
Milion gwiazd zebrać w swoje środowisko,
Utkwić w niebiosach, a być ziemi blizko.

Bez szyderstw, śmieszków, ani drwin z mentora
Przyjmijcie słowa słyszane ode mnie.
Przecz brat wasz, mówię!... Dziś, większy niż wczora,
Lecz w sens jednaki mówi smutek ze mnie;
Nie urągajcie mi hardo i dumnie —
Pomyślcie: Oto siedzimy przy trumnie!

WIKTOR GOMULICKI.

Ur. r. 1851 w Ostrołęce.
»Poezye« (1887), »Nowe pieśni« (1896).

NA KANONII.

Mieszkałem wówczas na Kanonii,
W sąsiedztwie nieba;
Słuchałem z blizka sfer harmonii
I czciłem Feba.
Żyć mnie uczyła uśmiechnięta
Pieśń Horacego;
Kochałem książki i dziewczęta —
Cóż w tem zdrożnego?

Choć poemata moje pierwsze
Brano pod placki,
Co noc pisałem wściekłe wiersze
A la Słowacki;
I zamiast ślęczeć bez wytchnienia
Nad *Corpus juris*,
Sławiłem uśmiech i spojrzenia
Warszawskich hurys.

Raz mię opętał wzrok sąsiadki
Miłosnem lichem,
(Bo amor stawia swoje siatki
Nawet pod strychem);

Lecz miłość rzadko dla poetów
Przynosi szkodę —
Palnąłem wtenczas sześć sonetów
I jedną odę.

Życie wśród marzeń biegło cicho,
Niby idylla;
Snów mi nie truła serca pychą
Żadna Marylla;
A chociaż pieśniom wtórowało
Miauczenie kotów,
Do śpiewu przecie, jedząc mało,
Wciąż byłem gotów.

Obok mnie liczną chował dziatwę
Szewc kuternoga;
I do pułapu wznosił dratwę,
A głos do Boga;
Bez przerwy walcząc z nędzy biesem,
Szył w dzień i w nocy:
Ten szewc mnie uczył przed Smilesem
Samopomocy.

Drugi mój sąsiad był artystą
Na klarynecie;
Grywał nieczysto, a pił *czystą*,
Jak to na świecie!
Co noc mordował bez litości
Włoski „karnawał“ —
Ten znów talentów znikomości
Przykład mi dawał.

Trzeci, szczęśliwy ze swobody
(Był emerytem),
Wypijał dziesięć szklanek wody
Zaraz ze świtem;
Zielone nosił okulary,
A czarny plaster,

Chował kanarków cztery pary
I palił knaster.

Dość było figlów i pustoty
W tem kółku naszem,
I nieraz śmiechów huczne grzmoty
Trzęsły poddaszem;
Śmiał się artysta z emerytem
A szewc z poetą —
Tak się jednoczą, różne bytem,
Cienie nad Letą...

CZARY.

Zdaje mi się, że złocisciej
Palą się latarnie,
Że posągi pośród liści
Mrugają figlarnie;

Zdaje mi się, że pojazdy
Do rytmu turkoczą,
Że nie świece, ale gwiazdy
W ulicach migoczą;

Zdaje mi się, że tęczowo
Lśnią kamienne ściany,
Że mozajką marmurową
Chodnik wykładany;

Zdaje mi się, że przechodnie
W uśmiech stroją twarze,
Że ich serca biją zgodnie,
Jak młotki w zegarze;

Zdaje mi się, że krzewiną
Wstrząsa nimfa płocha;

Że z ogrodów szepty płyną:
Kocham, kochasz, kocha;

Zdaje mi się, że w lazurze
Mkną anielic wianki,
Że mnie wabią oczy duże
Z za każdej firanki...

— „Na Minerwę! na Darwina!
Bracie, ty majaczysz!
Napiłeś się pewnie wina,
Lub paliłeś *haczysz*"...

Tak! co złudzeń mych przyczyną,
Zgadliście najprościej;
Odurzyło mnie dziś wino...
Wiosny i młodości!

FRANCUZICA.

Widywałem ją w jednej cukierni
Opuszczonej i starej, jak ona.
Przychodziła zawsze sama, w czerni,
Wypłowiałym pledem otulona,
I siadała w milczeniu, gdzie siada
Emerytów kaszlących gromada.

Kawy szklankę przynosił jej chłopiec,
Oraz świeże francuskie dzienniki;
Układała wysoki z nich kopiec
I dobywszy z torby rogaliki,
Zawinięta w gazet prześcieradła,
Jednocześnie czytała i jadła.

Mumia w takiej nie drzemie martwocie,
W jakiej ona spędzała wieczory;

Przyjaciela miała tylko w kocie,
Co był brudny, mrukliwy i chory,
I biegł do niej z kąta za bufetem,
Z najeżonym fantastycznie grzbietem.

Nakształt grubej, zaściankowej szlachty,
Którą laury bismarkowe kuszą,
Tylko w wielkie, polityczne płachty
Zagłębiała się wzrokiem i duszą;
A szpon myśli wszczepiwszy w artykuł,
Ani drgnęła... jakby ją kto przykuł.

Czasem notę zrobiła ołówkiem,
Czasem w gniewie przytupnęła nogą...
Nikt jej nigdy nie zaczepiał słówkiem,
Ona również nie znała nikogo —
I samotnie, od wszystkich odcięta,
Przepędzała dnie zwykłe i święta.

Raz jej z torby na ziemię wypadła
Miniatura młodziutkiej dziewczyny...
Lecz tak chciwie czytała i jadła,
Razem z kawą łykając nowiny,
Że zupełnie nie spostrzegła zguby —
Dziewczę było śliczne, jak cheruby...

Miniaturę podniosłem ukradkiem,
By dać starej ostrożną nauczkę;
A gdym oczy nasycił tym kwiatkiem,
Rzekłem: „Pani! strzeż pilniej swą wnuczkę..."
Odwróciła się z gazet szelestem
I mruknęła: „Monsieur! to ja jestem".

Rzekłem tylko: „Ach" — lecz pomyślałem,
Że się życie obchodzi niegodnie
Z pewnych niewiast i sercem i ciałem,
I że spełnia estetyczną zbrodnię,
Kiedy z kwiatków, trwających przez chwilę,
Czyni suche, jałowe badyle.

Myśl mi widać wyczytała z twarzy,
Bo zgarnęła swe czarne woale
I z westchnieniem — jak zwyczajnie starzy —
Odszepnęła: „Nie dziwię się wcale,
Że pan zmianę widzisz we mnie wielką:
Jam trzydzieści lat — nauczycielką!“

Kiedyindziej, w wieczór wigiliowy,
Gdy na niebo wypływała „gwiazdka“,
A na ziemi chyliły się głowy...
Do cukierni wstąpiłem po ciastka,
By dzieciarnię obdarzyć — nie własną —
Wprzód nim świeczki na choince zgasną.

Pusto było w obszernej komnacie,
Głośnej zwykle od kaszlania gości;
Każdy poszedł przy synu lub bracie
Spożyć ucztę rodzinnej miłości —
Tylko w kącie samotna, jak mara,
Nad gazetą kiwała się stara.

W wielkiem mieście nie było nikogo,
Coby przed nią otworzył swój światek...
Taka nędza przejęła mię trwogą,
Więc zaniosłem staruszce opłatek
I skłoniłem się przed nią w milczeniu,
Hołd oddając latom i cierpieniu.

Ona wzięła z uśmiechem ofiarę,
Mówiąc grzecznie, że ją czyn mój wzrusza...
Lecz przez oczy przygasłe i stare
Nie wyjrzała jej zbudzona dusza;
I poznałem, że pod obcym chłodem
Już się sama stała prawie lodem.

„*Ce Gambetta quel génie*, mój panie!“
Rzekła nagle, wstrząsając gazetą. —
Przytaknąłem, i na pożegnanie,

Zostawiając ją samą z Gambettą,
Chciałem dotknąć ustami jej dłoni —
Lecz wstydliwie rzekła: „Niech Bóg broni".

Raz ostatni spotkałem ją — w trumnie.
Spała cicho na poduszce z wiórów,
Żółte czoło zmarszczywszy rozumnie;
Jakby echo gazeciarskich chórów,
Odrętwiając i duszę i ciało,
Coś o Francyi w ucho jej szeptało.

Rzekł mi jeden z pachołków szpitala,
Że ją słabą podjęto z ulicy;
Że noc całą, pełna chorych sala
Spać nie mogła z winy „Francuzicy",
Że śpiewała mimo śmierci kurcze,
Aż, śpiewając, usnęła — jak kurczę...

Byłem pewny, że dziatek gromada
Za tą lichą trumienką pobieży,
I tej swojej przewodniczce stada
Nie poskąpi kwiatów i pacierzy
A pamiętna na jej miłość długą,
Raz choć zechce być swej sługi sługą.

Lecz mnie czułość młodszych serc zawiodła —
Nikt nie stanął za wozem nędzarzy;
Dziad kościelny, niosąc śmierci godła,
Zawiódł zmarłą, gdzie się śpiąc nie marzy,
I deszcz tylko z moją łzą pospołu
Wpadły za nią — do wspólnego dołu.

Kiedy rydel pijanego dziada
Miał zasypać czarną grobu jamę,
Wśród gałęzi błysła jasność blada
I rzuciła dużą, złotą plamę
Na tę trumnę z szychami białemi;
A jam rzucił: trzy garsteczki ziemi.

I garść pierwsza, z bezdźwięcznym łoskotem,
W wielkiej Francyi upadła imieniu...
Ona dzisiaj pobrzękuje złotem,
A jej dzieci giną w opuszczeniu
I pod obce uciekają nieba,
Jakby w domu zbrakło dla nich chleba...

A garść druga, co jękła żałośnie,
Wyręczyła nieobecne dziatki —
Bo choć ciężko przy trumnach stać wiośnie,
Ze swych wieńców oddając im kwiatki,
Jednak serce dziecięce źle czyni,
Gdy się starej wypiera mistrzyni...

A garść trzecia, przesiąknięta łzami,
Padła stwierdzić naszej ziemi cnotę —
Samolubstwem ona się nie plami,
Wrogom nawet śle swe kłosy złote,
A dziś, pełniąc swych losów konieczność,
Dała starej przytułek — na wieczność!

ODPOCZYWA...

Lat pięćdziesiąt ważył pieprz i kawę —
I rwąc wszystkie serdeczne ogniwa,
Depcząc miłość, młodość i zabawę,
Zebrał milion. Dzisiaj odpoczywa.

Jego pałac — sen zmieniony w jawę,
Jego ogród — Arkadya prawdziwa,
Kwiaty przed nim gną główki jaskrawe,
Chór słowików pieśń dla niego zrywa.

Oto siedzi w swym wózku, jak w niszy;
Kurcz ma w nogach, na oczach ślepotę;
Stół odepchnął z jedzeniem — i dyszy...

Cóż więc zyskał za serca martwotę,
Za dni w mroku wleczone i ciszy? —
Do wygodnej trumny wieko złote!

NAZBYT LUBIŁ...

Nazbyt lubił lazzaronów życie,
Czarną kawę, bilard, Ogród Saski;
Latem chłodne altany nakrycie,
Zimą teatr i zapustne maski.

Nazbyt lubił, w dni swoich rozkwicie,
Drzemać, gryząc srebrną główkę laski,
Gonić chmurki białe po błękicie,
Po asfaltach zaś — żywe obrazki.

Nazbyt lubił! — i dla tej przyczyny,
Choć mu sława z Minerwy obliczem
Powtarzała: „Kocham cię jedyny...“

Choć mógł, światłem wzgardziwszy zwodniczem,
Śladem wielkich wstąpić na wyżyny
I wybrańcem zostać — został... niczem.

PESYMISTA.

Mój przyjaciel (zapewne go znacie)
W czarny kolor zawsze się ubiera,
Czyta Joba i Schoppenhauera
I ma trupią główkę przy krawacie.

Chmurnem okiem na świat on spoziera,
Jakby chadzał w manfredowej szacie,
A u kobiet, w pałacu czy w chacie,
Podziw budzi jego blada cera.

Przyjacielu o mistycznej twarzy!
Mnie nie zwiedzie smętna twa osoba...
Wiem, że puder bladością cię darzy,

A pesymizm tobie się podoba,
Nie jak cmentarz marzeniom nędzarzy,
Lecz jak ładnej blondynce — żałoba...

UKOCHANI PRZEZ BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO.

Skoszonaś, biała lilio, kwitnąca przeczyście,
Wprzód, zanim skwarne lato zwarzyło twe liście:
W majestacie dziewictwa i w kapłanek bieli
Wziętaś, kędy niebiescy królują anieli.

Rzeczywistość, co serca brylantowe kruszy,
Żadnego listka złudzeń nie strząsła z twej duszy;
Na życie twoje nie padł łez gorących ołów,
I sen, zaczęty z ludźmi, kończysz wśród aniołów.

Samolubne to jęki, co za tobą płyną!
Cóż, że się rychło z ziemską rozstałaś dziedziną.
Cóż, że ci zgon niewczesny lata przeciął młode,
Gdyś młodość wiekuistą posiadła w nagrodę!

Przez urnę przebłyskuje ofiarnicze płomię,
Przez ciebie blask poezyi przeświecał widomie;
Wiązka twoich promieni jest nam dziś ozdobą,
Choć urna i ognisko zagrzebane z tobą.

Czoło twoje gwiaździste ozdabia korona,
Bo przez śmierć i przez młodość jesteś uświęcona; —
Patrząc na cię, któż z grecką nie rzeknie pogodą:
„Ukochani przez bogów umierają młodo!“

OBRAZEK ZE STAREGO MIASTA.

Targ zapachniał — i dusznej komnatce
Śle woń jarzyn przez otwarte okno...
Wyśpiewuje tam kanarek w klatce,
Ciernie w wodzie poświęconej mokną,
Zegar szczęka i widać na ścianie
Chrystusowe wśród łotrów konanie.

Wielka cisza i wielkie ubóstwo
Wyzierają z każdego zakątka;
Całym zbytkiem: fotografii mnóstwo,
A twarz na nich każda, to pamiątka,
Dni minionych przytłumione hasło,
Łuna słońca, co we krwi zagasło...

Ta staruszka ślepa, której oczy
Wypaliły żary... nie pioruna,
Jeśli zechce, obraz wam roztoczy
Bardziej krwawy, niż pożaru łuna,
I o każdej z tych spłowiałych twarzy
Krew mrożącą opowieść wygwarzy...

Lecz nie teraz... katedralny dzwonek
Uniósł teraz jej duszą daleko,
I z cielesnych zwolniona osłonek,
Szepce — piekło mając pod powieką,
I na licach suchotnicze plamy: —
„Odpuść... jako i my odpuszczamy!...“

EL MOLE RACHMIM.

To było na podwórku żydowskiego domu
W letni wieczór. Zostałem się tam pokryjomu.
Wiara, zamiast jednoczyć, dzieli i oddala.
Wśród murów poruszała się głów czarnych fala.
Żenił się Icek, waciarz, z tandeciarki córką,

A goście i ciekawi zalegli podwórko;
I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni;
Kilka zbrudzonych gęsi gęgało przy stajni,
Na poręczach galeryi pościel się wietrzyła,
Z kuchni woń ryb smażonych płynęła niemiła,
A w kącie dwie akacye marły na suchoty,
Niebo od gwiazd błyszczało, jak — szabaśnik złoty;
Obłoków nie plamiła nawet chmurek wełna
I noc była królewskiej wspaniałości pełna.
Icek stał pod szkarłatnym starym baldachimem,
W odświętnych sukniach, światłem oblany i dymem.
Był to śniady wyrostek, pół-mąż a pół-dziecko;
Miłość u Żydów chwyta człowieka zdradziecko,
Z zamkniętemi oczyma wiedzie nad otchłanie
I w objęcia kobiety rzuca niespodzianie.
Tłum składały powszednie postacie z ulicy,
Ludzie, których się widzi w dzień na targowicy,
Tandeciarze, faktory, przekupki, tragarze.
Gorączka rozpalał brodate ich twarze,
A złociło je światło woskowych hawduli,
(Świeczek, w których się płomień do płomienia tuli,
Jak w plecionym z błyskawic mieczu archanioła).
Chwilami nakształt kłosów chyliły się czoła,
Szwargotali, lecz obrzęd nie zdał się żadnemu
„Uroczystą śmiesznością“ — jako Beaumarchais'mu.

Icek zakrył twarz chustką, a jeden z gromady,
Nie kapłan, lecz człek zwykły, bardziej tylko blady
I smutniejszy od innych, wzrokiem wodząc wkoło,
Śpiewał. Pieśń, choć weselna, nie była wesołą.
Dwóch chłopców kędzierzawych wtórzyło jej krzykiem,
A tłum cały szemraniem, pół-rzewnem, pół-dzikiem,

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
Icek, choć skryty chmurą świetlaną, oddymną,
I poważny na śmieciach, jako przed ołtarzem,
Był dla mnie tylko Ickiem — ubogim waciarzem.
I w innych nie widziałem nic poetycznego;

Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą
Z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia,
Próżno od blasku nowiu i od świec płomienia
Śniade lica ich brały tajemnicze piętno:
Żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną.

Nagle śpiew ucichł. Rzełbyś, że rozwiał się w dali.
Otwarto z trzaskiem okno od weselnej sali,
Kędy oblubienica pośród niewiast grona
Siedziała, płacząc. Chazen wzniósł nad nią ramiona —
(Chazen o skrzących oczach z patryarchy brodą)
I wspomniał o jej ojcu, który umarł młodo,
I którego dziś brakło, przy rodzinnem święcie...
Płacz na to powstał wielki, a on przy lamencie,
Przy niewieścich szlochaniach i łamaniu dłoni,
Zawiódł pieśń, która nutą pogrzebową dzwoni...
„El mole rachmim“.
Najprzód, choć łzami wezbrana
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozwagi wstrzymywany siłą;
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą...
Potem, przesiąkłszy smutkiem, który z grobów wieje,
Traciła po iskierce wiarę i nadzieję.
Rosła w moc i porwana zamętem boleści,
Topniała w łzach gorących i w skardze niewieściej.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona,
Stała się głośną płaczką i z bólu szalona,
Biegła nad cmentarzami zawodzić staremi,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna,
I nad tem, że ta siejba będzie może marna,
I nad tem, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tem, że skarlały słabe synów duchy,
I że ta noc niewoli tak długa — tak długa!
Już jej nic nie więziło; — rwała się, jak struga,
Kiedy po burzy w rzekę zmieni się spienioną; —
Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, w tył zsunąwszy czapkę,

Ciekło potem. Śpiew wzruszył nawet starą babkę,
Którą paraliż trupem uczynił i skałą:
Szkło jej źrenic na poły martwych zapotniało —
Wszyscy w izbie płakali, zdjęci wielkim żalem...

Słuchałem pieśni z łonem czułością wezbranem,
I ci ludzie skarżący się głośno przed Panem,
Dumni wielką przeszłością, bólem wielkim śmieli,
Dziwnie wzrośli w mych oczach i wyszlachetnieli!
Nie widziałem już szpetnych plam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Icka, ani Icka imię.
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych twarzy
I stałem się jak człowiek, co na jawie — marzy.

Podwórko... nie, to była już kwietna dolina,
Kędyś u stóp Libanu, co się w niebo wspina
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał;
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem
A palmy ochładzały wachlarzami z liści,
Między ziemią i niebem nie było zawiści;
Twarz Jehowy patrzała z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta.
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu płynął zapach nardu i szafranu,
Strumień, jak wąż, rozwijał srebrnołuskie sploty,
A gwiazdy tak błyszczały, jak szabaśnik złoty.

MARYAN GAWALEWICZ.

Ur. r. 1852 we Lwowie.
»P o e z y e« (1889 i 1896).

MILUSIŃSCY.

Milusińscy?!.. stara szlachta,
Od aniołów gdzieś pochodzi.
W herbie zwykle ma — bociana,
Ani poznać kto ich rodzi.

Główki płowe, oczka duże,
Pulchne nóżki i rączęta,
Rozkosz matek, duma ojców,
Milusińscy — niebożęta.

Jakie to tam skapryszone,
Jakie bywa dumne, harde!..
Z nieba idzie prostą drogą,
Więc dla ziemi ma — pogardę.

Z świata sobie nic nie robi,
Często palce w buzi trzyma,
Drwiąc ze wszystkich konwenansów —
Na to nawet rady niema.

Jakie to tam bywa śmiałe,
Jakie umie stroić dąsy!

Król nie król — niechby się schylił,
To go zaraz łap za wąsy.

Król nie król — o wielkie dziwa!
Któż-bo o tem nie pamięta,
Że od wieków Milusińscy
Co do nogi — królewięta.

Kiedy taki bobuś mały
Z swej poduszki się wychyla,
To-byś przysiągł, żeś go widział —
Przy Madonnie gdzieś Murilla...

I spoglądasz trwożnie w niebo,
Jedną prośbą wzbiera łono —
By mu stamtąd zapomnianych
Skrzydeł tylko nie zrzucono...

Gdy to zacznie gwarzyć z tobą:
„Bla-blu, bla-blu“... to rozkosze!
Kiedy wdzięcznie złoży dzióbek,
„Plosę“—mówiąc, zamiast: „proszę“,

Gdy rączkami cię obejmie,
I do ucha bez wytchnienia
W sprawie „lali“ i „pielnika“
Daje już swe polecenia,

To-byś duszę wyjął z siebie,
Każdej prośbie czyniąc zadość,
Aby tylko Milusińskim
Na chwileczkę sprawić radość.

Gdyby nie ci Milusińscy —
Człek-by nieraz skoczył w wodę,
Lub rozdeptał gorzkie życie,
Jak grzyb albo złą jagodę.

Gdyby nie ci Milusińscy,
Co nam ciernie życia złocą —

Boże, iluż sercom biednym
Pustką byłby świat sierocą!..

RONDO-SCHERZOSO.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat z okładem,
Znał się z mym ojcem, matką,
Znał nawet z moim dziadem.

Z tych względów nasz stosunek
Jest wielce poufały, —
Nazywam go: „jegomość“,
On do mnie mówi: „mały“.

— „Jegomość taki blady“ —
Mówię mu — „wielka szkoda!
„Czy to tak z niewyspania,
„Czy taka już uroda?“

— „Mój mały“ — rzecze do mnie —
„To widzisz z innej racyi:
„Patrząc na świat wasz w dole,
„Pobladłem z irytacyi.

„Gdybym się nie odwracał
„I wrażeń nie odmieniał,
„Byłbym już miał żółtaczkę,
„Lub dawno pozieleniał“.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat, a przecie
Tak źle jegomość nigdy
Nie mówił mi o świecie!

Coś jest, co mu tak humor
Psuje i chmurzy lica,

Lecz co?... Skąd ja mam wiedzieć!...
Spytajcie się księżyca.

LISTOPAD.

Płacze drzewo liściami zwiędłemi,
Łzawe niebo przygląda się ziemi,
Smutne serce, jak słonko jesienne,
W mrokach chwile wspomina promienne
I łzy roni, stęsknione nieboże —
Że kochało, zapomnieć nie może...

Płacze drzewo liściami zwiędłemi,
Wiatr je z jękiem rozprasza po ziemi,
Mgły naokół rzucają zasłonę...
Płacze serce samotne, wzgardzone —
U natury wygasłych ołtarzy,
Że nie było kochane się skarży.

Płacze drzewo liściami zwiędłemi,
Wiatr jesienny się znęca nad niemi —
Biedne serce jak listek na wietrze
Drży, nim troska na próchno je zetrze,
I marnieje wśród życia szarugi,
Że nie może pokochać raz drugi...

Z „KRÓLOWEJ NIEBIOS“.

Nie smuć się, duszo ludzka, nie narzekaj,
Bo ty sierotą nie możesz być nigdy,
Skoro masz Ojca wiecznego w niebiesiech
I matkę Jego swoją opiekunką.
Nie smuć się, duszo ludzka, nie rozpaczaj,
Bo kędy spojrzysz dookoła siebie,

Dokądbyś poszła na najdalsze krańce,
Za wszystkie morza, za najwyższe góry,
Wszędy obaczysz, jako z łaski Bożej
Ziemia się z niebem styka nieustannie...

Nie smuć się, duszo ludzka, nie wątp nigdy
I bądź jak słońce, jak księżyc, jak gwiazdy,
Jak gwiazd tych choćby najmniejsza kruszyna —
Zwierciadłem nieba; niech z jasności jego
Zawsze choć promyk w tobie się odbija,
Abyś świeciła choć drobną iskierką,
Ażeby w tobie jasno było, — duszo!..

Pomnij, że gwiazdy, zardzawiałe w górze,
Albo zmącone nadto tchnieniem ziemi,
Gdy już nie mogą blaskiem niebios płonąć,
Ani światłości niebieskiej odbijać,
Anioły Pańskie strącają z błękitów
W przepaść bezdenną, w ciemność nieskończoną,
Jako rzecz marną, martwą, nieużytą...

Taki los także duszom zardzawiałym,
Których już żadna światłość się nie ima
I żaden promyk od nich nie odstrzela,
I żadnym blaskiem niezdolne nasiąknąć.
Bo dusze ludzkie winne być gwiazdami
I jako gwiazdy świecić tu pospołu
Pośród ciemności ziemskiego padołu,
I w górę piąć się ciągle, jak powoje,
Bo z góry jasne płyną świateł zdroje,
A z dołu tylko mroczne idą cienie.

W dole śmierć czeka — w górze odrodzenie.

. . . . . . Było
Raz tak, że pod mogiłą
W trumnie leżała matka jedna,
Śmiertelnym snem zmożona wcześnie;
Sześcioro dziatek zostawiła...
Sierocy płacz słyszała we śnie
I płacz ten w grobie ją obudził.

Słucha i słyszy w jednej chwili,
Że tam najmłodsze jej dzieciątko
Po nocy coś żałośnie kwili
I że sierotki jej się żalą.

Jakże-ż to matce słuchać w grobie
I nie zapłakać choćby w trumnie!...
Więc ona, żalem wielkim zdjęta,
Dźwignie swe wyschłe martwe ręce
Z świętym obrazkiem Maryi Panny
I tak Przeczystej się Panience
Modlić zaczyna: „Panno Swięta,
Wszakżeś Ty także matką była,
Wszakżeś kochała swego Syna,
Więc męką Jego wskróś przejęta,
Wiesz, co to boleść jest matczyna.
Tam się dziateczki moje skarżą,
Aż tu ich płacz mnie w grobie budzi,
Tak lamentują w swej niedoli.
Uproś, Panienko, swego Syna,
Niech mi odwiedzić je pozwoli!...
Wszakżeś Ty dziatek mych patronką,
Ulitujże się smutku mego!
Zanim na niebo wejdzie słonko,
Znijdę do grobu znów ciemnego,
Tylko mnie puść, ach, puść do dzieci!
Niech je otulę chociaż trochę,
Niechaj upomnę złą macochę...
Tylko mnie puść, ach, puść do dzieci!“

Podparła wieko całą siłą,
Aż jej się samo otworzyło
I wyszła z grobu o północku.
Przeszła przez wioskę po ciemności;
Psy jednak wiejskie ją poczuły
I wyć zaczęły... Idzie, idzie...
Doszła pod chatę wreszcie swoją,
Gdzie pod oknami malwy stoją
I kędy stara grusza rośnie.
A z chaty dzieci jęk żałośnie
Na cichą nockę się wykrada.
Poznała chata ją mężowska,
Poznały wrota i dla zmarłej
Na ścieżaj same się rozwarły
I skrzypiąc jęły opowiadać
Nieboszczce o jej dzieci losach.
I stara grusza ją poznała,
Co stała tuż przy starych wrotach,
I także szmerem smętnym, cichym
Opowiadała o sierotach.

Weszła do izby zmarła matka,
Jakby cierniową przeszła drogą...
Spojrzy... na słomie jej sieroty
Z głodu i chłodu spać nie mogą.
Księżyc się przebił poprzez chmury
I zajął blaskiem izbę całą.
Tylko stanęła w samym progu,
Najmłodsze dziecko ją poznało
I wyciągnęło swe rączyny
I chciało do niej pełzać samo,
A inne z lękiem i nieśmiało
Wołały na nią: Mamo, mamo!...
A kiedy z nią się oswoiły,
Nuż przed nią żale swe rozwodzić...
Najmłodsze nie umiało chodzić,
Średnie dzień cały głodne były,
Najstarsze pacierz zapomniało,

A wszystkim źle, oj źle się działo!...
Wyschłe rączęta, jako wióry,
Sześcioro wzniosło ich do góry
I bose, nagie, głodne, drżące
Ku niej garnęły się płaczące.

Taki ją przejął żal okrutny
Na widok tej gromadki smutnej,
Że odwróciła oczy łzawe
I osunęła się na ławę;
I od łez nie mogła rzec i słowa.

Dopiero po niejakiej chwili
Ocknęła się w niej znowu siła;
Więc wpierw najmłodsze nakarmiła
I, jako za żywota swego,
Jadła dziateczkom nawarzyła,
Główki czesała, liczko myła,
A potem klękła z niemi razem,
By zmówić pacierz przed obrazem
I Boga pięknie przeprosiła,
Że te biedoty zapomniały
Modlić się bez niej przez rok cały.
„I odpuść Ty nam nasze winy...“
Mówiła, płacząc rozżalona,
A za nią słowa te dzieciny
Szeptały, tuląc się do łona
Matki, co przyszła w odwiedziny
Z ciemnego grobu do ich chaty...
Za męża też się pomodliła,
Aby mu winy Bóg przebaczył
I w łasce Swojej mieć go raczył.

Tak utuliwszy sierot szlochy,
Poszła do łoża złej macochy
I ze snu ją zbudziła sama.
Ta oniemiała z przerażenia.
Mówiła jej: „Patrz, to ja stoję!...
Ja, matka z grobowego cienia

Przyszłam do twego rzec sumienia:
Kobieto, szanuj dzieci moje!...“
Spojrzała smutno i surowo,
Skinęła potem ku niej głową
I w drzwiach zniknęła w ciemnej sieni. —
A na podwórku psy zawyły...

Macocha spojrzy ledwo żywa —
Patrzy, a oto przed nią spływa
W miesięcznym blasku Matka Boska
I staje sama u jej łoża
I w takie słowa się odzywa:
„Pomnij na nocy tej przestrogę,
Zmień serce, bowiem mówię tobie,
Że w dzieciach krzywdzisz matkę w grobie!...
Zmień serce!... więcej rzec nie mogę“.

Zniknęła jasność i widzenie,
Noc swoje znów zasłała cienie
I tylko psy zdaleka wyły.

Duch matki wracał do mogiły...

J. STANISŁAW WIERZBICKI.

Ur. 12 lutego 1853 r. w Henrykówce (gub. Podolska).

»Z życia« (1882), »Księga pamiątek« (1890), »Poezye« 1894), »O brzasku« (1898), »Rapsody« (1901).

O BRZASKU.

Śpi lilia na fali
W promykach miesiąca;
Toń pod nią się żali,
Jak harfa grająca.

Nie gada wiatr z echem,
Pierzchł orszak motyli;
Nad lilią z uśmiechem
Rusałka się chyli.

Słowików pobudką
Brzmią lasy srebrzyście;
A ona cichutko
Roztula jej liście

I mieni się cała
Płomieniem szkarłatu:
Zapewne dojrzała
Zranioną pierś kwiatu.

SERCE I FALA.

Patrzę na Ciebie i patrzę na falę,
Tonę w Twych oczu i wody błękicie,
Szukam Twych rysów w tym płynnym krysztale:
Równa wrażliwość, jednakie w nich życie.

Serca wesołość odbija twarz młoda,
Fala odstrzela błękitem malowna;
Mroczy się smutkiem Twej duszy pogoda,
Sępi się fala chmurkami żeglowna.

Dusza i fala są bratnim żywiołem,
Patrzą jednako na chmurę lub w słońce,
Cieszą się, smucą, jak dusze dwie, społem,
Mienią się ciągle, jak fale dwie wrzące.

Gdyby treść duszy, co kochać zniewala,
W płynny kształt odlać, to byłaby fala;
Gdyby treść fali, co wiecznie się wzrusza,
W lotną myśl zakląć, to byłaby dusza.

PIEŚŃ SAMOTNIKA.

W potężnej klatce, w pętach, lew zraniony drzemie,
Nie targa łańcuchami, z rykiem już nie skacze;
W samotnej piersi, już nie skarżąc się na ziemię,
Zranione serce śni i krwią serdeczną płacze...
Lew, serce smutne — krewne duchy dwa:
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Lew wstrząsa grzywą, wstanie z jeszcze większą siłą,
Jak na pustyni, gdzie znał wielu lwów pokrewnych;
Zabije serce znowu, jak w młodości biło
Wśród bliźnich serc potężnych i jak burza gniewnych.
Bo lwu i sercu duchów bratnich trza...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Lew skruszy klatkę, pójdzie skonać w wielkiej puszczy,
I pojrzy w niebo, tocząc z piersi krwi ostatki.
Tęsknemu sercu pośród obłudników tłuszczy
Tak duszno, jak w żelaznem upowiciu klatki,
Lwiej śmierci żąda, lwia mu wolność gra...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Świsnęły strzał podstępnych zcicha mknące groty,
Lew zjeżył grzywę, stawi wrogom czoło harde;
Potężne serce, wulkan ognia i tęsknoty,
Szyderczej śmieszków zgrai ciska w twarz pogardę.
Lwią dumę tylko takie serce zna...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Ostatni raz już lew uderza w głos olbrzymi,
Pustynia drży, budzą się bracia lwy — rówieśni;
Samotne serce, jak ofiarny ołtarz, dymi,
Zbudziło świat, ostatnie sercem nucąc pieśni.
Bo lew i serce — krewne duchy dwa:
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

MODLITWA.

Jako ołtarze Twoje, góry mgłami dymią,
Szmer ciemnych sosen kona, jako pieśń duchów w niebie,
Westchnęła ziemia cała piersią swą olbrzymią
Do Ciebie.

I taki wielki spokój, jak po dnia rozterce,
I taka cichość dolin, które mrok już grzebie,
Że słychać, jak z otchłani zapłakało serce
Do Ciebie.

Z poematu „HANKA“.

ŚMIERĆ HRYCIA.

Sierpniowe słońce z błękitów spojrzało
Na niwę zboża wieśniaczego małą,
Którą poranek obmył świeżą rosą,
Kędy, srebrnemi najeżony strzały,
Z szelestem owies kołysze się biały,
Gdzie lekkim wiatrem kołysane proso
Gnie ciemne kity pod brzemieniem ziarna,
A każde ziarnko, jak paciorka czarna,
Zwisa z długiego, zielonego włosa.
Tam pośród owych pól owsa i prosa,
W jarze, wieśniacze dzielącym zagony,
Leżał Hryć na wznak, o twarzy zmienionej
Bladością śmierci. Całe jego ciało
Kurczami bólu przedśmiertnego drgało,
Twarz się mieniła, usta toczą pianę,
A oczy straszne, dzikie, obłąkane.
Czasem mu z gardła wypadały jęki
Głuche, chrapliwe, czasem dziwne słowa,
Niezrozumiałe jakieś szeptał dźwięki,
Może ostatnie opowiadał męki;
Przerażająca przedśmiertna rozmowa,
Która w tej chwili ostatniej odsłania
Straszne nad wyraz męczarnie konania.
Z piersi wieśniaczej uchodziło życie,
Pot śmierci spływał z wieśniaczego czoła;
A obok wrzało, tętniło dokoła,
Życie natury w jesiennym rozkwicie,
Wrzało, tętniło siłami i zdrowiem.
Trawa, burzany i jesienne kwiaty
Były Hryciowi śmiertelnem wezgłowiem.
Groszek strączkami suchemi bogaty
Wił się i wdzięcznie mu oplatał łoże.
Hryć konał, mając obok łan i zboże,
Jak wieśniakowi przystało na roli.
Ojczysta ziemia, jak matka rodzona,

Biednego kmiotka bez szczęścia i doli
Już przygarnęła do swojego łona,
Ona nie odda go teraz nikomu;
W ciasnej mogiłce, w łachman przyodziane,
Przez dobrych ludzi, znajomych litośnie,
Spocznie to ciało chłopskie, skołatane,
Garsteczka prochu wśród świata ogromu,
I nikt nie powie, że pod tą mogiłą,
Co się zapadnie i chwastem zarośnie,
Serce wieśniacze pełne bólu biło.
Hryć konał, ludzkiej nie znając opieki,
Jak jej już nie znał w długich dniach żywota,
Wydziedziczona przez losy istota,
I jękiem żegnał piękny świat na wieki,
Choć świat ten pełen był życia i troski:
To nad nim pszczółka przeleciała złota,
Zbierać na kwiatach słodki miód i woski,
To motyl z lekkim wietrzykiem, co dmucha,
Podleciał w górę, to brzęczała mucha,
Musnąwszy skrzydłem kąkolu makówkę,
To obok głośno świerszcz zaćwierkał w trawie
I spłoszył z drogi pracowitą mrówkę,
To z norki czarny żuk wyjrzał ciekawie.
Ustał jęk chłopski, tylko większym cieniem
Oblicze chłopa powoli się mroczy,
Pierś coraz rzadszem wzbierała westchnieniem:
W końcu rozwarte obłąkane oczy
Straszna mgła śmierci na wieki przyćmiła.
I Hryć już nie żył. Jedna chłopska siła
Cicho, bez gwaru ze świata ubyła.
Duch jego lekki, jak tchnienie wietrzyka,
Lata w powietrzu nad szumiącym łanem,
Kąpie się w słońcu ciepłem i świetlanem
I spływa w blasku drżącego promyka
Na rolę własną, na łany pachnące,
Wiecznie z ojczystą ożeniony ziemią,
Dysze wśród kwiatów, co kwitną na łące,
Wśród zbóż szumiących, co się w polach plemią.

Uprawne kmiotków pracą i mozołem.
Stał się tej ziemi cząstką i żywiołem.
Zaszeleściły nad Hryciem burzany
I bodyak siwy z wysoką mietlicą
Obok kołysał się, jak zadumany
Nad wielką śmierci ludzkiej tajemnicą.
Gorzkie, jak życie Hryciowe, piołuny
Szemrały nad nim listkami srebrnemi
Niby nad dzieckiem uśpionem piastuny,
A kiedy dmuchnął lekki wiatr z przestworza,
To zaszumiały nad nim łany zboża,
Niby ostatnie pożegnanie ziemi.
I nikt nie wiedział, co się w polu stało...
Ludzie o Hrycia troskali się mało,
I tylko słońce śmierć chłopską widziało.

ANTONI PILECKI.

Ur. r. 1853 w Dobrzyniu nad Drwęcą (gub. Płocka).

»Poezye« r. 1880 — »Poezye« r. 1884 — »Poezye« r. 1891.

Z DUMAŃ PESYMISTY.

Dawniej miłość była różą białą,
Miała barwy urocze i wonie,
Szczęście siostrę serdeczną w niej miało
I w cnót wzniosłych chodziła koronie.

Dziś gdzie znikły wiosenne jej czary?
Gdzie jej blaski i barwy godowe?
Porzuciła już dyadem swój stary,
Co godnością promienił jej głowę...

Z kwiatów żywych odarła swą szatę,
I młodości zamiera w niej siła,
A uniesień jej skarby bogate
Na popioły namiętność spaliła!

Miłość dawniej — to była otucha:
Myśl krzepiła, upajała serce;
Dziś — to zamęt wichrzący nam ducha,
W ciągłej myśli i uczuć rozterce.

Dawniej miłość — to był chleb żywota,
Chleb codzienny — to promień był słońca —

Nić serdeczna promienna i złota,
Co przez życie snuła się do końca.

Dziś — to zbytek, co ciało nam pieści,
Kaprys duszy schorzałej zwodniczy —
Pełna mętów i zwątpień goryczy,
A odarta z zachwytów i cześci.

Dawniej miłość była gwiazdą jasną,
Odrodzeniem, jak wiosna w naturze;
Dziś jest nocą, w której światła gasną
I szaleją rozigrane burze.

Dawniej była kapłaństwem i wiarą,
Więc do serca pukała najszczerzej;
Dziś obleka się zwątpień mgłą szarą,
Bo w swe własne istnienie nie wierzy,

I wrażeniem niewiary tej swojej
Wszystkie czary młodzieńcze rozproszy...
Ona usta, spragnione rozkoszy,
Narkotykiem niezdrowym napoi.

W uciech nikłych powiedzie nas kraje...
Na dni szczęścia zbyt długie nie starczy...
Ona serca na własność nie daje,
Lecz rozkoszą chwilową frymarczy.

W mętnych uczuć burzliwym potoku
Czystość uczuć wydziera kobiecie.
Ona wieku swojego jest dziecię:
Wieku zwątpień, niemocy i mroku.

MEMENTO.

Widziałem wcześnie potargane siły,
Dziewicze dusze, co nigdy nie marzą,

Widziałem serca, co nigdy nie biły,
Widziałem także dzieci z trupią twarzą...
Widziałem ducha pozłacane groby,
Co nawet pieśni nie znały żałoby;
Widziałem pustkę w sercu odrętwiałem
I myśli nicość bezdenną widziałem.

Więc duch mój pytał: gdzie młodości loty?
Gdzie jej pragnienia, gdzie marzeń świt złoty?
Gdzie jej potęgi piorunowe ramię?
Gdzie krzyk zapału, co nigdy nie kłamie?
Gdzie kwiaty wiosny, gdzie jej cudne wonie?
Gdzie niezrównanych czarów jej ponęty?
Gdzie krew młodzieńcza, która ogniem płonie?
Gdzie głos zachwytu, jak modlitwa święty?

Ponuro, zimno i pusto dokoła...
Daremnie dusza-samotnica woła;
Na krzyk bolesny nikt jej nie odpowie
W prostem, serdecznem i gorącem słowie...
Cisza dokoła, obojętność głucha...
Cóż nam ozłoci nędzę życia biedną?
Za ile na tem targowisku ducha
Możnaby kupić żywe serce jedno?!

O duchy trupie! wy żyć nie umiecie!
Rozkoszy życia pierś odczuć nie zdoła!
Cóż wiekom przyszłym o sobie powiecie?
Czy osromione wskażecie im czoła?

Gonicie tylko szczęścia błędne mary,
Użycie, które zmysły wam przynoszą...
Śnicie bez marzeń, kochacie bez wiary...
Na widok złota pierś wam drga rozkoszą...
Nawet na wiedzy i sztuki biesiadę
Idziecie w strojnej sybaryty szacie...
Nie znoszą słońca czoła wasze blade,
I wielkich ducha zachwytów nie znacie.

Z piersią wystygłą, skalaną,
Młodości święte ukradliście miano...
Dziecięcym sercom, gdy się przy was skupią,
Niesiecie zimno i zgniliznę trupią.

Młodości! życia ty niegdyś strażnico!
Kapłanie prawdy! przyszłych dni proroku!
Rzucałaś w mroki gromów błyskawicą,
Kipiałaś życiem, jak piana potoku.
Wstań! niech się wzniesie dłoń twa archanielska!
Strąć niecne bogi! pozłacane cielska
Niech runą w gruzy!.. Przyszłe pokolenia
Wyrzekną na nie wyrok zatracenia.

CZESŁAW JANKOWSKI.

(CZESŁAW).

Ur. 9 Grudnia 1857 r. w Polanach (gub. Wileńska).

»Poezye« I, II, i III (1879—1884), »Capriccio« (1889), »Rymów nieco« (1892), »Wybór poezyi« (1897).

PAŹ KRÓLOWEJ.

— Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Mój paziu, mój ty mały,
Graj mi, wciąż jeszcze graj,
Co ci podszepnie maj.
        Najświeższą oto z róż,
        Co ranne mgły owiały,
        Najświeższą oto z róż
        Dla ciebie zrywam już...
— O pani, nie każ mi
Tknąć srebrnostrunnej lutni,
O pani, nie każ mi
Wiosennych śpiewać dni.
        Dość mi tych piosnek mdłych,
        Wciąż tęskniej mi, wciąż smutniej,
        Dość mi tych piosnek mdłych
        Śpiewanych u nóg twych.
Królowo, w duszy mej
Przedziwne zaszły zmiany,
Królowo, w duszy mej
Wyczytać prawdę chciej.

Rwie mi się serce w świat,
W szeroki świat nieznany,
Rwie mi się serce w świat
Po plon młodzieńczych lat.
Bojowa surma gra,
Grzmią, wrą i kipią boje,
Bojowa surma gra,
Czem przy niej lutnia ma?
Tam, pani, daj mi iść,
Weź wszystkie kwiaty swoje,
Tam, pani, daj mi iść
Po krwawy lauru liść!...

*

O zorzy hufce szły
Ordynkiem z zamku bramy,
O zorzy hufce szły
Hen, z gór w poranne mgły.
W narożnej izbie tam
Królowa w oknie stoi,
W narożnej izbie tam,
Od dworskich zdala dam.
I duma, patrząc w dal,
I własnych dum się boi,
I duma, patrząc w dal,
Serdeczny tłumiąc żal.
U stóp królowej tuż
Milcząca lutnia leży,
U stóp królowej tuż
Najświeższa więdnie z róż.
A tam z podleśnej mgły
Wiatr niesie pieśń ku wieży,
Hen, tam, w podleśne mgły
Królowej płyną łzy...

NAD LEMANEM.

Zwolna coraz niżej schodzą śniegi
Z gór w winnice zżółkłe, obumarłe,
Na bezlistne szkielety platanów,
Na jesiennych wichrów uroczyska.
Spójrz! Wśród szarzyzn, śniegiem przytrząśnięte,
Jak trwałości wieczystej symbole,
Zielenieją jeszcze laur i cyprys...
Laur i cyprys tylko: — *śmierć i sława.*

NA ODLOCIE.

„O matko moja, o siostry moje,
Po co łez tyle?...
Wnet ja się w wiecznym śnie uspokoję,
W cichej mogile.

Ani tu pustka po mnie zostanie
Na życia drodze,
Ani dla kogo moje kochanie —
Przeto odchodzę.

A gdyby kiedy wrócił w te strony
Z drogi dalekiej,
Niech mu zakwitną kalin korony
Hen, tam, u rzeki.

Niech się tam ozwą w pogodne rano
Nasze ptaszęta;
Odnajdzie ścieżkę dobrze mu znaną —
Jeśli pamięta...

Zwykłą gościnę niech ma we dworze
Tak, jak bywało.
Może przypomni, zapyta może:
Co się tu stało?

Na cmentarz odejść dajcie gościowi
Niepostrzeżenie
I uszanujcie wy, ludzie nowi,
Dawne wspomnienie.

Może zatęskni wśród mogił głuszy,
W przeszłość zbłąkany,
Do tej śmiertelnie znużonej duszy —
Niepożegnanej...“

PAŹ I RYCERZE.

Był sobie paź. O takich już
Dzisiejsze damy nie śnią!
W okna bukiety rzucał róż
I, tkliwiąc wiele tkliwych dusz,
Ci-di-ri-bim,
Ci-di-ri-bam,
Dla pięknych dam
Przygrywał pieśń za pieśnią
Na wdzięcznej mandolinie,
Ach!
Na mandolinie...

☆

Niewielki sens był pieśni słów,
Lecz nastrój był potężny.
Co skończy grać, zaczyna znów,
Że aż słuchając ten i ów,
Ci-di-ri-bim
Ci-di-ri-bam,
Do pięknych dam
Przysiada mąż orężny —
Nie zawsze ku dziewczynie,

Ach!
Nie ku dziewczynie...

☆

Wiadomo, że jak świat ten trwa,
Animusz męże zdobi.
Całuje rycerz, a paź gra
I przenajsłodszą rozkosz ma --
Ci-di-ri-bim,
Ci-di-ri-bam,
Że serca dam
Do marzeń tak sposobi
Tą swoją madoliną,
Ach!
Tą mandoliną...

☆

Poeci młodzi! również wy
Grajkowie im rówieśni!
O dzięki wam za cudne sny,
Zachwyty, szały, tęskne łzy,
Ci-di-ri-bim,
Ci-di-ri-bam,
Tych pięknych dam,
Co, słysząc wasze pieśni,
Z miłości ku nam giną,
Ach!
Z miłości giną...

Z „ARABESEK".

Hej wspomnień miraże, hej złote me sny,
Wyśnione sercem młodem,
Tam drogą gdzieś mleczną, w dal siną i w mgły
Mkną długim korowodem.

Ach! ręce wyciągam i leciałbym rad
Tam w siną dal za niemi...
O duchy! powiedzcie, azali wasz ślad
Pozostał gdzie na ziemi?

Czy jeśli tam pójdę, gdziem niegdyś znał was,
To dla mnie znów wskrześniecie?
Czy tego, co zniknie niewrotnie, jak czas,
Nie szukać już po świecie?

O sny mej młodości! to wy tam, to wy,
Tłum jasnych widm ów w górze!...
Do oczu mi nagle cisnęły się łzy,
Wypadły z rąk mi róże, —

I serce mi dziwny, bezmierny zdjął żal,
Gdym patrzał tak z tęsknotą
Na widm tych szeregi, płynące gdzieś w dal
Po niebie smugą złotą...

JAN NITOWSKI.

Ur. w r. 1859 w Mormolówce (pow. Skwirski).
»Poezye« (1899).

PIOSNKA.

Do życia, odważnie, wesoło!
Młodości wysnujmy nić,
W promienne wszechświatów wprzęgnijmy się koło,
Uczmy się kochać i żyć!

Do życia, do życia! Nad nami lazury,
Nadziei i wiary moc,
Pod nami gromowe skłębiły się chmury
I straszna zapadła noc.

Jednością i wiarą zwyciężym demony
I cały przebieżym świat,
A potem otworzym raj boski, wyśniony
Za błogich, chłopięcych lat.

Po laury, po laury odważnie a śmiało!
Rozbijmy ciemności mgły.
Choć wielu przed nami swe piersi strzaskało,
Próbujmy zwyciężyć my!

Hej, orły, orlemi wzbijajmy się skrzydły
Za krańce wichrowych jazd!

Niech dołem wciąż pełznie gad zimny, obrzydły,
My pędźmy drogami gwiazd!

Do życia, do życia! i życie wlewajmy
Do wnętrza umarłych brył!
A temu hymn chwały w tryumfie zagrajmy,
Kto bogów myślami żył.

NAD GROBAMI.

Jeżeli kiedy opuszczą cię siły
I wpośród walki ogarnie zwątpienie,
Pójdź tam, gdzie leżą wiekowe mogiły,
I z nich wywołaj bohaterów cienie.
Zbudzone twojej wyobraźni siłą,
Wstaną postaci z popiołów przeszłości
I dawnym blaskiem błysną nad mogiłą
I tchną tą myślą, co w nich wiecznie gości,
Duch wielkich czynów i duch wielkich ludzi
Stanie w promieniach swojej dawnej chwały;
Wówczas się w tobie zacna myśl obudzi;
Wobec przeszłości poznasz, jakeś mały,
Wobec przyszłości — jak dumny.
W popiołach, zgliszczach i ruinach świata
Są nieśmiertelne iskry zagrzebane;
Od nich zapłonie twa pierś lodowata,
Nanowo skupisz swe siły stargane
I dźwigniesz światów kolumny.

Cześć dla przeszłości zacne myśli zrodzi,
A wiara w przyszłość myśli w czyn zamieni;
Gdy zginą w trwodze słabi, upodleni,
Ty, z człowieczeństwa znakiem na swem czole,
Na falach życia spokojny w swej łodzi,
Wśród burz przepłyniesz i zwyciężysz bole.

Z CHWIL CZARNYCH.

W ruinach stoją twych marzeń świątynie,
Rzeczywistości duch twój dźwiga pęta,
Pieśń twa, jak gdyby przekleństwem dotknięta,
Jak ptak bezdomny, siada na ruinie.

Jak ptak, gdy wróg mu zabierze pisklęta,
Z piersią rozdartą ku błękitom płynie,
Tak myśl twa dąży w nieszczęścia godzinie
Tam, gdzie młodości twej kraina święta.

I ty wciąż patrzysz na sztandar żałoby,
Na stygmat śmierci widoczny dokoła,
Na krzyże czarne, na posępne groby...

A jednak w mękach nie uchylasz czoła,
I duch twój, bólem łamany Nioby,
Wpatrzony w błękit — Excelsior! — woła.

EDMUND BOGDANOWICZ.

(BOŻYDAR).

Ur. r. 1859 w Warszawie.

CAŁY ROMANS.

I.

. . . . O, ubóstwiona!
Twe imię: wieczna i wieczyście młoda...
Szepce jej wietrzyk, gdy pod lipą kona,
I może usta szepcą je: Przyroda!

O bóstwo moje!
Imię twe głosi piorunowa chmura
I wypisują je gwiazd srebrnych roje;
W noc cichą czytam na niebie: Natura!

Kochanko cicha!
Słuchaj, to echo przypada do łona,
Echo mych wyznań szepce ci i wzdycha:
Kochanko cicha, moja, ubóstwiona!...

II.

Pójdę ja przez te łany rodzące,
Złotych zbóż falą,
Gdzie krwią serdeczną maków tysiące
Ziemi twarz palą;

Gdzie woń od pola i łąk z nad rzeki
Bije do głowy,
Gdzie tak upaja srebrny, daleki
Głos skowronkowy.

Pojdę ja przez te lasy szumiące,
Podszyte mchami,
Gdzie z drzew, jak rosa, tak ciecze słońce
Złotemi łzami;

Gdzie się rozwartych miłośnie tłumy
Ramion kołysze;
Pójdę ja przez te echa i szumy
I leśną ciszę.

Pójdę i padnę w twoje ramiona,
Na mchów posłanie,
O, słodka moja, o ubóstwiona!...
Moje kochanie!...

III.

. . . .

IV.

„Kocham cię“ — Echo biegnie wśród zieleni,
Jak złota strzała, rzucona w rozpędzie;
Ślizga się w gąszczu, niby snop promieni,
Brzęczy, gdy muśnie o liści krawędzie —
Gra „kocham“ w lesie. Nagle — cisza głucha...
To echo zmilkło, przypadło i słucha.

Cicho... Nade mną rozpięte szeroko
Drzewa błękity i deszcz złota trzęsą,
Z głębi spogląda ciemne gąszczu oko,
Jasną paproci ocienione rzęsą.
Spadnie łza złota, błękitna, zielona,
I tonie w pośród mchów miękkiego łona.

Cicho... Drzew oto zadrżały konary,
Zamiotły błękit, szum poszedł po lesie.
W głębiach zbudziły się zaklęte czary...
Cyt, chyże echo odpowiedź mi niesie...
Las zmilkł... Mów teraz! O, wyraźnie słyszę
„Kocham" — I echo stopiło się w ciszę...

V.

Lecz nie zdradziło żadnej tajemnicy
Echo, to słodkie niosąc mi wyznanie;
Zdrajcami byli inni powiernicy:
Kwiaty, zdobiące me leśne posłanie.

Swawolne dzwonki, aż po lesie brzmiało,
„Kocha cię, kocha" dzwoniły w zawody;
Ba, przestraszyły tak borówkę małą,
Że zapłonione ukryła jagody...

A kiedy echo skonało w oddali,
Dzwonki się jeszcze lekko kołysały.
Widzę: jagoda borówki się pali,
Aż każdy listek zczerwienił się cały.

VI. VII.

. . . .

VIII.

Był zwyczaj ongi: Wenecya „czerwona"
Ślub zawierała z błękitami morza,
Które tuliła do marmurów łona.
Co rok z portyku purpurowy doża
Szedł i dziewicy dawał pierścień drogi;
Ta go rzucała do wód chłodnych łoża...
W noc ślubną, srebrną w oblubieńca progi
Szła ona, którą zwą lagun królową —
Fala jej perły rzucała pod nogi,
A księżyc lampę zapalał nad głową.

IX.

Ja, miast pierścienia, rzuciłem jej słowa
I oczy moje posłałem płonące.
„Kocham cię, kocham!... Patrz, jak płonie głowa,
I serce płonie, jak gwiazda, jak słońce...
O pójdź, pójdź, droga!... O pójdź w me ramiona,
Niechaj cię czuję, tu na piersi zblizka.

Bądź mi, jak róża cudna, zapłoniona,
Bądź mi, jak gwiazda, co błyska...
Bądź mi kochanką, co w objęciu kona,
Co splotem ramion jak wężami ściska...
O słodka moja, o ty... ubóstwiona!

X.

I oczy moje rozbłysły w zieleni,
Zielona fala pochłonęła słowa. —
Zachód już morze liści w krąg rumieni,
Na mchach się kładzie zorza purpurowa.

Szum idzie głębią... zerwie się, to stanie...
Ścichł, szmaragdowe zadrżały podwoje.
— „O, idziesz do mnie, luba, na wezwanie!"
Głos szepce słodki, cichy:
— „Dziecię moje!"

NASTRÓJ.

Wietrzyk skrzydlaty
O świcie
Wstrząsł, zbudził kwiaty...
Rozbłysło nagle w przestrzeni,
I na błękicie
Światło się stapia i mieni
W tysiąc barw, blasków, odcieni,
O świcie.

W drzew wierzchy drżące
O ranku
Strzeliło słońce.
Zielone wina oploty
W cienistym ganku
Na skroń mi trzęsą pył złoty
I sączą słodycz pieszczoty,
O ranku.

☆

Padły już rosy
O zmierzchu
Na wonne wrzosy,
Legł cień na krętej ścieżynie;
Tylko u wierzchu
Drzew światło błądzi i ginie
W liści szemrzącej gęstwinie,
O zmierzchu.

Błysły gwiazd oczy
O zmroku,
W niebios przezroczy.
Zgasł dzień w błękitnej głębinie;
Tylko w mem oku
Blask się ulotny przewinie
I łza cichutko popłynie,
O zmroku...

JAN KASPROWICZ.

Ur. 12 grudnia r. 1860 w Szymborzu na Kujawach (W. Ks. Poznańskie).

»Poezye« (1889), »Anima Lachrimans« (1894), »Miłość« (1895), »Krzak dzikiej róży« (1898).

BĄDŹ POZDROWIONA!

Choć ty mną miotasz po spienionej fali,
Jak burza morska resztkami okrętu,
Tutaj, gdzie chmur mi słońce nie przepali,
Gdzie każdy jęk mój ginie w głuchej dali
Zamętu;

* * *

Choć ty mi w duszę wlewasz żółci zdroje,
Że myśl tu nieraz myśli przeciwieństwem,
Że, gdy ogarną mnie twe niepokoje,
Rzucam na siebie i na blizkie swoje
Przekleństwem;

* * *

Choć ty mnie krwawym naznaczyłaś chrzestem,
Stanąwszy blada już nad mą kołyską;
Choć przez cię nieraz jako starzec jestem,
Że mi śmierć zda się z swych skrzydeł szelestem
Tak blizką;

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia,
Boleści!...

Z cyklu „Z PADOŁU WALKI“.

CHŁOPSKA DOLA.

Ona usnęła... Dziś słońce tak piekło,
Że wszystkie trawy pomiędzy ścierniskiem
Nawpół powiędły i kurzem powlekłą
Skroń swoją kryły przed słonecznym błyskiem.
Wiązaniem żyta zajęci żniwiarze
Poszli wypocząć śród cieni mędeli
I ogorzałe przysłonili twarze,
Weseli,
Gdy siły praca nadmierna im wzięła,
Że choć z południa odetchną na chwilę —
Ona usnęła.

* * *

Mąż ukochany spoczywa w mogile
Drugie już żniwo, a od syna dzieli
Ziemi ją tyle, ach! i wody tyle,
Że okiem ludzkiem nie zmierzysz topieli.
Kto wie, czy wróci? czy zamknie jej oczy?
Wczoraj mu talar posłała ostatni:
Dziś i za morzem przybysze roboczy
Nie płatni!...
Pot jej wystąpił i boleść ją zdjęła,
Rzuciła wiązkę i siadła pod snopkiem
I tak usnęła.

Ciężka to dola zawisła nad chłopkiem,
Cięższa nad wdową, gdy jej nikt nie bratni.
Krwawym z dnia na dzień żywić się zarobkiem
I tak wciąż dyszeć, jak ryba śród matni.
Dawniej to jeszcze kawał własnej schedy
I kęs własnego posiadała chleba,
Lecz pogrzeb męża — toć przecie, choć z biedy,
Grześć trzeba:
Duszaby nigdy bez świec nie spoczęła,
Bez pokropienia i bez pieśni świętej —
Ona usnęła.

* * *

O Chryste Panie! o Ty niepojęty!
Który przychylasz swoim dzieciom nieba;
Tu ciężkie snopy, a tam łan pocięty
Leży pokosem — bogactw pełna gleba,
A jednak ludzie, jak bedłki, padają
Głodem zmęczeni... Ty jednych, o Boże,
Stroisz w korale, a drudzy dźwigają
Obroże.
Jednym to dajesz, co drugim ujęła,
Ojcze, Twa ręka... Lecz któż Cię odgadnie? —
Ona usnęła...

* * *

Została chata... Bóg wie, jak wypadnie,
Jakie biednemu gotuje się łoże,
Świat wobec biednych postępuje zdradnie:
Już może jutro, lub jeszcze dziś może
Przyjdą z urzędu i na drzwiach chałupy
Za czynsz przylepią znaczki urzędowe
I nie zostawią ani śmieci kupy,
By głowę
Skłonić stroskaną... W lód się myśl jej ścięła
Na smutne jutro, na jutro lodowe,
Lecz dziś — usnęła.

Z CHAŁUPY.

I.

Chaty rzędem, na piaszczystych wzgórkach;
Za sadami krępy sad wiśniowy;
Wierzby siwe poschylały głowy
Przy stodołach, przy nizkich obórkach.

Płot się wali; piołun na podwórkach;
Tu rżą konie, ryczą chude krowy,
Tam się zwija dziewek wieniec zdrowy
W krasnych chustkach, w koralowych sznurkach.

Szare chaty! nędzne chłopskie chaty!
Jak się z wami zrosło moje życie,
Jak wy, proste, jak wy, bez rozkoszy...

Dziś wy dla mnie wspomnień skarb bogaty,
Ale wspomnień, co łzawią obficie —
Hej! czy przyjdzie czas, co łzy te spłoszy?!...

II.

Tam za wioską — przyjm, Ojcze nasz, dzięki! —
Jak pszeniczne kołyszą się ławy!
Żyto, jęczmień i owies złotawy
Jak zginają ziarniste swe pęki!

Wiatr od pola się rozgrał — czyż w jęki? —
Z dróg się mgliste podnoszą kurzawy;
Nad drogami, śród pokrzyw i trawy,
Skrzypią krzyże, godła łez i męki.

O Ty Boże! o Chryste! o Panie!
Płonny owoc ta ziemia nam płodzi —
Tłuste kłosy, bo tłuste uprawy:

Nie nadarmo ten wiatr tak zawodzi
I tak smętne poszumy na łanie —
Tu kłos każdy to chłopski pot krwawy.

III.

Święty Kaźmierz — powracają czajki;
Święty Wojciech — bociany klekocą,
Słońce grzeje, rowy w mlecz się złocą,
Brzmią skowronki, rychłe, polne grajki.

Po murawach dzieci, strzępem krajki
Podkasane, w pasy się szamocą;
Na przyzbicach baby w głos chichocą —
»Ech! kumolu! bajki, żywe bajki!«

Wiosna!... wiosna wszędzie życie budzi!
Jej błękity, słoneczne uśmiechy
I pod chłopskie wciskają się strzechy.

I tu raźniej biją serca ludzi,
Choć się troski za troskami tulą
Do tych piersi pod zgrzebną koszulą.

Z WIĘZIENIA.

O złote blaski! o blaski słoneczne!
Co jako miecze, lecz bez krwawej zmazy,
Ludzkiemu sercu zadajecie rany,
I do mnie dzisiaj schodzicie, odwieczne.

Jesteście wolne! jesteście bezpieczne:
Nie powstrzymują was żadne rozkazy,
Ni pręt żelazny ani ludzie-płazy;
Lecz dla mnie miecze wasze obosieczne

Ich ostrze, czuję, przenika opoki,
Pod które serca skryły się źródliska;
Na chwile biją z nich rozkoszy rzeki.

Ale w ślad za nią czarnymi potoki
Boleść — tęsknota z wspólnych krynic tryska.
I zdaje mi się, że tak tryska — wieki...

Z CYKLU „W CIEMNOŚCI SCHODZI MOJA DUSZA".

Modlitwo moja, cicha i bez słów,
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów.

Z głębin powstajesz, a ku wyżom mkniesz
Na skrzydłach dziwnie tajemniczej mocy;
Niema-ś, a jęczysz, jak zraniony zwierz,
Rozbrzmiewa wokół wielki płacz sierocy,
Gdy, wstawszy z głębin, ku wyżynom mkniesz.

Łowisz po drodze głuche szumy drzew,
Które wiatr bujnej pozbawił korony;
Przygnębiający, pogrzebowy śpiew,
Na strunach żałob jesiennych zrodzony,
Łowisz po drodze z serca nagich drzew.

Na brzegi idziesz spochmurniałych wód,
Na żółte łąki, na zwiędłe ścierniska,
Mgłą się opijasz, przejmuje cię chłód,
Co z ziół zeschniętych siwy szron wyciska
Ponad brzegami spochmurniałych wód.

Odlatujący ścigasz ptactwa klucz,
Śledzisz, czy bracia w drodze się nie znużą:
Żałość wyziera z twych poblakłych ócz,
Gdy spoczniesz w gnieździe, rozrzuconem burzą,
W gnieździe, skąd ptactwa precz uleciał klucz.

Porywasz szepty z spiekłych ludzkich warg,
Wnikasz do wnętrza złamanego człeka,
Niedomówionych lub przycichłych skarg
Żywisz się strawą: radości daleka,
Chłoniesz szept bólu z spiekłych ludzkich warg.

Modlitwo moja, cicha-ś i bez słów,
Choć jesteś sercem głośnych jęków świata,
Który, ścigany przez złowróżbny huf
Nędz nieodstępnych, ku gwiazdom ulata
Z tobą, modlitwo cicha i bez słów.

Na ziemię Bożą wielki upadł cień,
Widma rozpaczy po jej ścieżkach suną,
Powietrze pełne ich wymownych drżeń,
Że mrok się rozlał nad zagasłą łuną,
Że na tę ziemię wielki upadł cień.

Z wiekowych bojach zwątlał zastęp dusz,
Zgłuchły zwycięskich pochodów tententy;
Z dróg się podnosi suchy, biały kurz,
Ale z pod ciężkich stóp orkanu wszczęty,
Co w boju wieków pobił zastęp dusz...

Długie westchnienie krwawych, przeszłych lat,
Zgasłych na polu przygasłej już chwały,
Oto mój pacierz! Nie cząstka, lecz świat
W jego cichości zamyka się cały
Długiem westchnieniem krwawych, przeszłych lat.

Sil się, milcząca modlitwo, ach! sil,
Abyś w sferycznej swej drodze nie padła,
Straszną rozterką tych dzisiejszych chwil...
O jak gorzkiego potrzeba ci jadła —
Sil się, niesyta modlitwo, ach! sil!...

Beznadziejnością nadchodzących dni
Wzbieraj w ogromy skargi niebosiągłej,
Niemej, a głośnej! Dusza o tem śni,

By wzruszyć globów płomienistych węgły
Beznadziejnością nadchodzących dni.

Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból,
Który rozsadzi ziemię na atomy,
Nim szczęście zdąży wzrosnąć śród jej pól!
O ciało słabe, o duchu znikomy:
Zginąć, nie patrzeć na ten wielki ból!

Modlitwo moja, cicha i bez słów!
Ku gwiazdom płyniesz z mej znękanej duszy!
O swej tęsknicy złotym gwiazdom mów,
Niech je twój smętek do żalu poruszy,
Modlitwo moja, cicha i bez słów...

Z cyklu „Z WIRCHÓW I HAL“.

JUNGFRAU.

I.

Granitów srebrny zrąb
w przewiewnych fioletach,
Na czole mając tkań,
sprzędzoną z śniegów mlecznych,
Pnie się w niebieską głąb
po mgieł sinawych grzbietach,
By symbol wiecznych trwań
i prawd strzelistych, wiecznych.

Nie wstrząśnie żaden grom
tą Jungfrau niebopienną,
Ni halny wichr, co bór
za jednym tnie zamachem:
Zaledwie lodu złom
gdzieś strąci w toń bezdenną,

Lub zwinne elfy gór,
kozice, przejmie strachem.

Tak stoi wieków wiek
ten prawd strzelistych, wiecznych
I wiecznych symbol trwań,
choć w przepaść gdzieś bezdenną
Grom strąca lodu zwał,
las ginie, giemza kona.

Przy szumie kaskad, rzek,
w powodzi skier słonecznych
Tak przędzie sobie tkań,
ze śniegów tkań promienną,
Milczących pani skał,
ta Jungfrau niewzruszona.

Z CYKLU „NAD PRZEPAŚCIAMI.“

Waruno!...

Ręce się moje podnoszą ku tobie,
Wielki Waruno,
Porannej zorzy rozkrwawiona łuno,
Strugi promieni lejąca po globie!...
W twą stronę —
Ku twym wyżynom, o słońce,
Wzlatują myśli moje utęsknione,
A niespokojne, wciąż się poza siebie
Obracające,
Czy nie mkną za niemi
Nagie, wychudłe od dzikiej chciwości
Upiory mroków...

Kiedy na niebie
Blask twój zapłonie
Falą iskrzystych potoków

Ponad posępnem cmentarzyskiem ziemi,
Kryjących w sobie zgasłych wieków kości —
Ku twej słonecznej koronie
Ze snu rozwarte kiedy spojrzą oczy,
Czemu nie radość rozdźwięcza mą duszę
W błogosławieństwa święty hymn, w ochoczy
Wielbnych melodyi szał,
A tylko w wnętrzu wciąż przytłumiać muszę
Skryte, tajemne, natarczywe lęki?

Traw twoich pęki
Lśnią szmaragdami, zaścielając miękki,
Wonny, puszysty kobierzec dla ciał,
Zaróżowionych pragnieniem rozkoszy!
Na toś w nie ogień swego życia wlał,
Na toś je z ziemią wielką żądzą skuł,
Ażeby więdły z trawami,
By blakły z barwą ziół,
By opadały razem z liśćmi drzew,
Nim zdążył przebrzmieć rozpoczęty śpiew?
Zanim nad nami
Zdoła się stoczyć w grób czerwonych mórz
Żar twego słońca, światło twoich zórz,
Czemu nas ręka niewidzialna płoszy?
Czemu nas spycha w cień,
W chłodną, wilgotną toń,
W przygniatającą cieśń,
Nielitościwy, straszny, srogi boże,
Twa niewidzialna dłoń?
O życie!
O rytmie krótkich, urywanych tchnień,
Których największy arcymistrz nie złączy
W pełną, zamkniętą, harmonijną pieśń!

A ty, na szczycie,
Spokoju mając zgotowane łoże,
Srebrnym, przejrzystym naodzian obłokiem,
Słonecznem śmiejesz się okiem,

O płomienisty, a tak zimny boże!
Gdy oddech mięknie wśród starganych łon,
Gdy krew się sączy
Z palców, silących się uderzać w lutnie,
By z tych przez ciebie naciągniętych strun
Wydobyć ton,
Co się nie urwie, nim się z tonem zleje,
Ty z głębi cichych, przedwieczornych łun
Wychylasz cichą twarz —
Cichą okrutnie!

O wielki smutku nasz!
O wyczerpanie wszystkiej naszej siły,
O w oceanu głąb schodzące zorze!

Któż ci jest miły?
O kogo ty dbasz?
Czyje wypełniasz nadzieje,
O bezgranicznie obojętny boże?!
Mglistą świadomość człowieka
W swoim bezdennym pochłaniasz Erebie,
Jak ten ostatni blasków promień mgławy
W swe bezgraniczne zatapiasz ją morze,
Zamykające się nad nią bez wrzawy,
Bez burz, bez gromów, bez pomruku fal,
Bez rozpienionych pierścieni,
Zanim się mogła stać świadomą siebie!

W nieogarniętą, w niedosięgłą dal,
Która jest pełna ciebie,
Twych żywych ogni i twych martwych cieni,
Podnoszą ręce się moje...

Mrok na nie ścieka —
Mrok na nie zlewa swych ołowiów zdroje...
O ciemnią nocy posępny pogrzebie!
Drogo nieznana! o drogo daleka,
Ginąca w ciemni przepastnej otchłani!
Widma tułacze —

Potworne strachy, lęki i rozpacze,
Oślepłe, głuche, o piersi zapadłej,
Gęsto twe brzegi obsiadły;
Oblazłe z włosów czaszki pożółkniałe
Biją o czaszek nawałę
I pięść o pięść się rani
I z zachrypniętej krtani
Okrzyk bezdźwięczny kracze
Twą nieśmiertelną chwałę,
O słońce! o życie!
O ty gasnących zórz wieczornych boże!
O ty posępny pogrzebie!
O ty nieznana, o daleka drogo!...

Mnogo
Globów ognistych —
Ty wiesz: tak mnogo, że milion rozumów,
Lat miliony liczących, nie zdoła
Wyczerpać miary — rozsiałeś dokoła
W tym pełnym ciebie przestworze...
W błękicie
Dnia słonecznego, o promienny boże,
I w nocy roztoczach mglistych,
O ty pomroków panie,
Krążą wśród szumów,
Niedosłyszalnych dla ucha,
Te światy.
I każdy z nich ma swe zorze,
Co gasną,
Każdy blaknącą ma swą jutrznię własną,
Swych słońc zachodnich każdy ma szkarłaty
I swe przepastne otchłanie...

Życia i śmierci ty harmonio głucha!...
Na szczycie
Swoich ogromów, pomiędzy ogromy
Siadłeś, Waruno, i patrzysz na ziemię,
Na pył ten marny, na proch ten znikomy,

Na to robactwo, na te lwy, na trawy,
Na wód kropelkę, na plemię
Ptaków i ludzi,
Na krwawy,
Na nieopłatny znój...

Zabłysły zorze —
Na łan zorany spłynął blasków zdrój,
Pieśń skowrończana ze snu siewcę budzi...
Ziarna wyrosły w twoich deszczów rosie,
Kłosy dojrzały w cieple twego słońca,
Orkanny tabun twój
Przebiegł po roli i stratował siew...
O zmilkły pieśni skowrończanej głosie!
O ty zdeptany ugorze,
Na którym sterczy zwiędły, czarny krzew —
Oset żałoby...

Bez końca
Wicher uderza o wierzchołki drzew...
Czerwone liście padają na groby
Głucho, bez dźwięku...
Upiorne dusze obległy rozdroże...
Patrzą... gdzie patrzą?... Suną... dokąd suną?...

O lęku!...

O ty słoneczny, o jasny Waruno!...

ŚWIĘTY BOŻE!...

Święty Boże, święty mocny,
Święty a nieśmiertelny,
Proch gwiazd przesypuj w swej klepsydrze złotej
I płódź żywioły,
Aby tak klęły jak ja,

Aby płakały jak ja,
Aby w szarpiącej modlitwie
O zmiłowanie prosiły,
Aby się wlokły z gromnicami w dłoni
Ku tej samotnej ustroni,
Do tej ostatniej mogiły,
Aby tak wyschły jak łza,
Którą już nie oko płakać nie może,
Aby tak marły jak ja,
O święty, nieśmiertelny,
Święty, mocny Boże!
Grzech jest nieprzebaczony,
Bóg jest nieprzebłagany,
Ból jest wieczny.

ADAM M-SKI.

(Pseudonim).

Ur. około r. 1860 w gub. Mińskiej.

WIECZORNE SNY.

I.

Czy ty zatęsknisz, gdy po ciężkiej pracy
Wracasz do pustki, do swojego domu,
A nikt kochany na odgłos twych kroków
Na próg nie bieży, witać niema komu?
I kiedy troska powszednia, codzienna,
Ciężkim kamieniem piersi ci przywali,
Nikt ci nie powie: „Ciężar podziel ze mną,
O! ukochany, bądź mężnym, idź dalej“.
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz — kiedy podłość ludzi
Straszną goryczą usta twe napoi,
A nikt nie szepnie: „Ja kocham cię zawsze!
O wszystkiem wątpiąc, wierz miłości mojej“.
Czy ty zatęsknisz, że szczebiot dziecięcy,
Ni śmiech kobiety nigdy nie ożywi
Ścian twojej chaty wesołym rozgwarem,
Coby ci mówił: „My z tobą szczęśliwi!“
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz, czy w oczach ci stanie,
Że jest na świecie pokrewna ci dusza,
Krwią, sercem, duchem bezgranicznie twoja,
A którą przecież los zdala stać zmusza;
Że ona ręce ściąga przez otchłanie,
Rwąc się ku tobie sercem i oczyma,
Zdolna czuć, myśleć, działać — a bezsilna,
Bo przez tę otchłań żadnej drogi niema?
Czy ty zatęsknisz?

II.

Wiesz, jak ja marzę w kwietniowe wieczory,
Gdy już umilknie gawiedź hałaśliwa,
Co odurzała mię za dziennej pory
I gdy się dusza w błękity wyrywa?

Oto klon pęka — zielono-żółtawe
Sypią się kwiaty — a czeremchy srebrne
W świetle księżyca stoją kędzierzawe
I ślą mej piersi balsamy leczebne.

Rzechot żab, — z lasu słychać ptastwa wrzawę.
Łagodny wietrzyk po drzew wierzchach pląsa
I na świeżuchną zieloną murawę
Krople łez rosy z gałęzi otrząsa.

Tak dusza moja otrząsa ból wszelki
Na jedną krótką marzenia godzinę
I pod dotknięciem wiosny-wskrzesicielki
Odpływa w widzeń młodości krainę.

Leżąc pod oknem, piję wonie kwiatów
I uchem łowię ptaszęce szczebioty;
Pierś drży i czeka — czy z niebios bławatów
Ma zejść tu ku mnie jaki Cherub złoty?

Cicho! szmer kroków... jak mi serce bije...
Ty na pierś moją chylisz się znużony,

A ja uściskiem otaczam twą szyję,
Utęsknionemi ogarniam ramiony.

O, jak mi dobrze! słuchaj — pierś nie boli
I żadna gorycz serca mi nie truje;
Nikomu lepszej nie zazdroszczę doli,
Kiedy mię uścisk do twej piersi kuje.

Słyszysz! jak zgodnie krew nam w żyłach tętni,
Łącząc swój akord do hymnu przyrody?
Do ust mych usta twe przytul namiętniej —
Świat dziś tak piękny, kochający, młody...

Ja zapominam mojej ciężkiej troski,
Ty — że są burze i trudów ciężary,
Ukryci w ciszy naszej głuchej wioski,
Pod błękitnemi niebiosów kotary;

Myśmy dziś sami lepsi, odmłodniali,
Jakby nam wskrzesnął dzień wiosny młodzieńczej,
Dawniejszy zapał w sercach nam się pali,
A czoła myśli aureola wieńczy.

Wszystko, co piękne, dobre i szlachetne,
Co nam pochłonął smutny życia cmentarz,
Dziś przyodziewa dawne szaty świetne,
Jak za dni dawnych, dalekich — pamiętasz?...

Czyli mię kochasz? Ja nie pytam o to —
I ty nawzajem nie zadasz pytania;
Znużonych życia trudem i tęsknotą,
Chwila obecna całkiem nas pochłania.

Wiemy, że zima trwa długie półrocze,
Że jesień mrozi serca i krzewiny,
Ale też życie ma swe dni urocze,—
Za lata bólu—upojeń godziny.

Na mojej piersi głowa twoja senna,
Uspokojona, tak słabo się tuli,
A cisza niebios, gwiazdami promienna,
Pod skrzydła swoje garnie nas najczulej.

Przyroda nie zna, co praw ludzkich pęta,
Jak ten świat cały, my dla niej — jej twory,
Którym z miłością wznosi dłoń jej święta
Puhar upojeń w wiosenne wieczory...

III.

Piękny sen! Prawda? lecz ja znam piękniejszy,
Sen więdnącego lilii kielicha...
Dotknij mi ręki — puls coraz wolniejszy;
Złóż dłoń na piersi, pierś słabiej oddycha...

Dziwnym zamętem ogarnięte zmysły
Mącą się, mdleją, z niebytem się ważą;
Zda się, że z ramion jakieś więzy prysły.
A tak mi dobrze pod twej piersi strażą!

Nie trwóż się o mnie, nie drgnij, tak pozostań;
Słyszysz? młodości pieśń przepływa echem?
Ach, tyle bywa ciężkich z życiem rozstań,
A tak nie często ktoś kona z uśmiechem!

Niech mię raz jeszcze ramię twe okoli,
Gdy tajni grobu zasłonę rozdzieram;
Jam tak szczęśliwa — mnie nic, nic nie boli...
Na ustach twoich tchem kwiatu zamieram...

IV.

O, błogo marzyć w wieczory wiośniane,
Konać, jak tony zabłąkanej pieśni,
Gdzieś w nieskończoność na dźwięki rozchwiane.
Lecz, gdy się zbudzisz, kiedy sen się prześni,

Gdy nad ogniskiem, choć w piersi wybucha,
Nieugaszonym ofiarnym tym zniczem,
Wydaje wyrok moc Przeznaczeń głucha:
„Tytanie marzeń, w życiu jesteś niczem!“

O! straszną bywa godzina przebudzeń,
Niby dzwon jakiejś pogrzebowej wieści,
Co cię odziera ze wszystkich twych złudzeń,
Że już nie z marzeń mrzesz — ale z boleści.

NIE MÓDLCIE SIĘ!

Nie módlcie się wy za mną, tu modłów nie potrzeba,
Bym jeszcze młodą piersią odetchnąć mógł głęboko,
By duch mój śmiały, dzielny unosił się do Nieba
I stamtąd ku swej ziemi miłosne zwracał oko.

Jeżelim ja nie zamarł, jeżeli to możebne,
Muszę się jeszcze zbudzić, jak ogień w łonie skał,
I wulkaniczną pieśnią w krainy śląc podniebne,
Wypowiem ból wulkanu i piersi ludzkiej szał.

Życia mi tylko dajcie! Dajcie szerokie pole
I drobnych trosk codziennych zerwijcie twardą sieć;
Puśćcie w świat, gdzie na czołach myśli się skrzą sokole,
By dźwignąć trud olbrzymi, coś kochać, czegoś chcieć!..

Wtenczas ja sam powstanę i wstrząsnę mem wezgłowiem
I jak potężny mocarz dźwignę poezyi berło,
I wspomnień się przeszłości oprzędę złotogłowiem
I ku przyszłości skinę zaklętą pieśni perłą!

Gdy cierń na drogę padnie—ja cierni nie poczuję,
W śpiż twardy się zamienię od skroni aż do stóp;
Lud cały zamknę w łonie, z łez jego broń ukuję
Zwycięską, lub zwyciężon, jak głaz, zalegnę grób.

Strasznež te głazy grobów, żywych pokoleń zmora,
Choć wielbi je artysta, dla sztuki pełen czci;
Wszak znacie ból kamienny, ból straszny gladyatora,
Który przez wieki woła: „O Romo, hańba ci!“

Ja znam sam tylko jeden mej duszy głębie ciemne,
I skalę mego głosu i dźwięk mej lutni strun;
Wy znacie tylko krater, gdzie ognie wrą podziemne,
Lub granit, pokreślony znakami tajnych run.

Kędyś snem granitowym sfinksy śpią śród pustyni —
I ja śpię. O nie budźcie! bólem jest czuć, żeś pył:
Jeśli przyjdzie godzina, w duszy się cud uczyni
I orzeł moc poczuje, by się ku niebu wzbił.

Lecz jeśli ból przebyty to serce już spopielił,
Jeśli po skarbach piękna został nagrobny głaz —
Gdyby słuchano z góry, błagać bym się ośmielił:
„Zagaś skrę mego życia, zbliż wyzwolenia czas!“

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

Ur. około r. 1860 w Sandomierskiem.
»Poezye« (1902).

COMEDIA DEL'ARTE.

I.

PIEROT.

Upudrowana gęba, zawadyacka mina,
Cały w bieli, pompony na nim kraśne, duże —
Jak gdyby w miskę mleka wsypał świeże róże —
Powietrze piruetem wykrętnym przecina.

Nie wie, że jest ofiarą figlów Arlekina,
Więc namaszczony, dumny — jak doża w purpurze.
Lecz jakże nie ma nosa zadzierać ku górze,
Skoro mu ust swych chyli cudna Colombina.

Życie ludzkie—to także *comedia del'arte*,
I w niem na tytułową pcha się Pierot kartę,
A łatwego tryumfu oszukany chwilką,

Sądzi, że ten największy, kto ma giętkie kości,
Że on—to filar świata, ozdoba ludzkości,
I ani się domyśla, że jest błaznem tylko.

II.

COLOMBINA.

Uśmiechnięta, różowa, lekka Colombina
Natrętów ma bez liku.—Najgorszy niecnota
To skrzypek, co ją całą w nić melodyi mota —
Nic mu pięści Pierota, żarty Arlekina.

Inaczej sobie mądry alchemik poczyna:
Raz wraz przegarnia przed jej okiem kupy złota —
Lecz ona nie dba o nich! Ona chce Pierota!
Czarująca, rozkoszna, lekka Colombina.

Życie ludzkie— to także *comedia del'arte:*
I w niem gra serce skrzypka boleśnie rozdarte,
I w niem alchemik próżno złotem się opłaca,

Ta, która obietnicą szczęścia dusze budzi,
Przechodzi obojętnie, szyderczo śród ludzi,
Aby słodko utonąć w objęciach — pajaca.

III.

ARLEKIN.

A teraz—proszę... baczność... Wejście Arlekina:
Na twarzy czarna maska, w ręku drewna kawał,
Cały w tęczy na ustach pięknych słówek nawał,
Jednego figla skończył, wraz drugi zaczyna.

O! zna go dobrze Pierot! zna go Colombina!
Ich troski—to dla niego ucieszny karnawał:
Mądre, poczciwe rady będzie ci łotr dawał
I raz wraz kijem kąsał zdradnie, jak gadzina.

Życie ludzkie—to także *comedia del'arte:*
I w niem arlekin szczęścia—licho nic nie warte—
Kręci się między ludźmi w tęczowym kostyumie,

Każdego nęci, kusi swem bajaniem śpiewnem.
Każdego w końcu wytnie po łbie twardem drewnem—
Zdemaskować nędznika w porę — nikt nie umie.

JÓZEF WEYSSENHOFF.

Ur. 8 kwietnia 1860 r. w maj. Kolano (pow. Radzyński).

TANATOS.

OLIMPIA.

Kiedy my wszyscy, zapędzeni
W pozaświatowy kraj Hadesu,
Będziemy szli w królestwo cieni,
To rozkosz życia się przemieni
W tęsknotę wielką, żal bez kresu.

U Acherontu ciemnej fali
Musi być smutny pomrok siny,
Podziemny wiatr się głucho żali
Nad tymi, co poumierali,
Idąc z helleńskiej zórz krainy.

I ten, co doznał królowania,
I ten, co zdobył chlubne palmy,
I ten, któremu śmierć zasłania
Niewieści wzór jego kochania —
Wszyscy na krótkość dni się żalmy!

Olimpia stoi w pełnej chwale:
Zeusowy chram ma w niebie czoło,

Na stopniowanym piedestale
Spoglądą Nike w Jońskie fale
I szumi święty gaj wokoło.

Na lud posągów marmurowy
Gaj kładzie szafirowe cienie
I na atletów młode głowy
Daje swój czarny liść dębowy,
Zdobiący w setne pokolenie.

Grzmi jeszcze wieść przez całą ziemię
Że Alkimedon, syn Sfiona,
W zaszczytnym chodził dyademie —
I Blepsyadów stare plemię
Uwieńcza szósta już korona.

Gdy po zwycięstwie w walce pieszej
Wzięła go wczesna śmierć na własność,
Alkimedona cień się spieszy
Nim do podziemnej przejdzie rzeszy,
Obejść swój gród w miesięczną jasność.

I żegna grodu swego chwałę,
Stadyonu żegna chlubne szranki;
Między posągi błądząc białe,
Widzi raz jeszcze łzą nabrzmiałe,
Gwiaździste oczy swej kochanki.

Teraz mu w śmierci iść wierzeje
I dzielić losy mar tułacze?
Serdeczne rzucać swe nadzieje,
Gdy się pod niebem wszystko śmieje,
Kiedy w Hadesie wszystko płacze?

Olimpia leży w gruzach, szara,
W ciemnej zieleni dębów śpiąca,
Nie woła tu już żadna mara, —
Tylko daleki głos Pindara
Umarłe echa wspomnień trąca.

Kiedy my dzisiaj, ruin syny,
Nędznego życia dojdziem kresu,
Nie będzie nam już żal krainy
I brzmieć nie będą nasze czyny
W pozaświatowy kraj Hadesu.

Dla nas radosna olimpiada
We śpiże trąb już nie uderzy,
Nad nami nieba próżnia blada —
I nawet głośno pieśń nie gada
O zapomnianej czci rycerzy.

My pogrobowe pokolenie,
Którzyśmy dumnych dni nie znali,
My już za życia marne cienie,
Będziemy szli na zapomnienie
Do Acherontu ciemnej fali.

STANISŁAW ROSSOWSKI.

Ur. 3 maja 1861 r. w Monasterzyskach (Galicya Wschodnia).

»Poezye« 1886. – »Tempi Passati« 1892. — »Poezye« (Serya II) 1892.

RÓŻA JESIENI.

Jeszcze kwitniesz, o różo jesieni,
Jeszcze słońce podnietą cię darzy
I rozpala rumieńce na twarzy...
Jeszcze w tobie liść każdy się mieni
Złudną krasą, lecz już w głębi łona
Najcudniejszy z uroków: woń kona,
Woń—twa dusza—o różo jesieni!

Jeszcze kwitniesz, poezyo, ty różo,
Co ozdabiasz naszych czasów jesień
Kwiatem marzeń i kwiatem uniesień...
Jeszcze w tobie barw i krasy dużo,
Lecz wciąż skąpiej z zaklętego łona
Woń ulata, boś szronem zwarzona,
O poezyo, jesienna ty różo.

GORCZYCA.

Gdziem jej nie widział?
Na łanie źdźbłom z pod stóp
Najlepsze wysysała soki;

Wśród leśnych kwiatów
Błyszczała, wzbita w słup,
Podobna wiedźmie złotookiej.

Gdziem jej nie widział?
W moczarach, kędy płaz
Żeruje, kwitła z jaskrem w wiośnie;
Wśród skał, gdzie orzeł
Ma gniazdo, w późny czas,
Jesienią, ona jeszcze rośnie.

Gdziem jej nie widział?
Łan żyznym zbożom rad,
A róże bujnej grzędzie...
Ma swój czas wszystko,
Tylko gorczycy kwiat
Ten zawsze krzewi się i wszędzie...

---

* * *

Ten sam wciąż obraz staje przede mną:
Cmentarz pod nocy osłoną ciemną.
Przez poszarpane czarne chmurzyska
Ni jeden promyk gwiazd nie przebłyska.
Po blizkim łanie, po blizkim lesie
Wiatr smętne szumy niesie a niesie,
I jęk zawodząc dziwnie ponury,
Garściami sieje gęsty deszcz z góry.

Ach, widzę ciebie, jak w oną chwilę
Leżysz tam w świeżej swojej mogile...
Na poduszeczce, na atłasowej,
Z wianuszkiem mirtów wonnych u głowy;
Leżysz w śmiertelnej białej sukience,
Oczy zawarte, złożone ręce.

Z góry w schronisko twoje dolata
Zgłuszone echo ziemskiego świata.
A słysząc wszystko — choć-eś nie żywa —
Jak liść się żali, jak deszcz łzą spływa, —
Pytasz żałością wielką przejęta,
Gdzie miłość żywych, jak cię pamięta,
Skoro w posępną straszną noc oną
Tak samą jedną cię zostawiono?

SZARA RZESZA.

Ty, jako w lesie mchowe legowiska,
Dumasz posępnym zasnuta półmrokiem...
Czy w górze słońce pała, czy grom błyska,
Przed twojem one niewidoczne okiem.
Zżyłaś się z dolą mroczną, bo w pamięci
Świetlana tobie nie postała mara,
I nawet pragnień ona twych nie nęci,
O rzeszo szara!

Ofiara cicha dzieje twe opływa,
Ani jej skargą nie zamącasz żadną;
W tobie żyzności siła wiecznie żywa...
Ty, ledwie krople rosy w dół opadną,
Już je gromadzisz i mnożysz w dwójnasób,
By szczytne dęby, co się światłem cieszą,
Miały obfity wciąż pokarmu zasób,
O szara rzeszo!

I nikt nie widzi, że twą mrówczą pracą
Przemieniasz skały na rodzajną ziemię;
Że gdy się kwieciem gałęzie bogacą,
W tobie rodząca kwiaty siła drzemie.
I nikt nie zważa, że bez twej pomocy
Nie mógłby owoc dojrzeć u konara;

— Nagroda obcą doli twej sierocej,
O rzeszo szara!

W dziejowej księdze, gdzie wielkie imiona
Złotemi głoski wpisują potomni,
Nad tobą zwisa ta sama zasłona...
Kto twe ofiary uzna, kto je wspomni?
Ty bezimienna idziesz w smutne życie
Nakształt rzek owych, co do morza spieszą;
I bezimienna giniesz także skrycie,
O szara rzeszo!

ZENON PRZESMYCKI.

(Miriam).

Ur. 22 grudnia 1861 r. w Radzyniu.

»Z czary młodości.« — »Liryczny pamiętnik duszy« (1893).—
»Z czary miłości« (1893).

ROMANZA.

Na morskiem dnie, siostrzyczkom wkrąg
Skarży się muszla, wije z mąk;
Nieznany czerw jej łono rwie,
        Aż z bolu mrze.
I szepce jej gwar cichy wód:
        O szczęsna, ciesz się, ciesz!
Z męczarni twych—piękności cud,
Z boleści twych—słodyczy miód,
        Choć cóż ty o tem wiesz!

I mija czas, jak myśli gon
W muszli drży perła, mąk jej plon;
Lecz ona o tem nie wie, nie,
        I w bolu mrze.
A nad jej trupem brzmi, jak wprzód:
        O szczęsna, ciesz się, ciesz!
Z męczarni twych — piękności cud,
Z boleści twych — słodyczy miód,
        Choć cóż ty o tem wiesz!

W otchłanną głąb, ze śmiercią w bój,
Rzuca się śmiało nurków rój,
Tej muszli szuka na fal dnie,
Co w bolu mrze.
Kto znajdzie, sławi cny jej płód:
O szczęsna, ciesz się, ciesz!
Z męczarni twych — piękności cud,
Z boleści twych — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

Idealnego piękna kwiat,
Perłę wydziera sobie świat;
Lecz czyliż muszla o tem wie,
Gdy w bolu mrze?
Czyż wiesz, że zmarłą czci dziś lud:
O szczęsna, ciesz się, ciesz!
Z męczarni twych — piękności cud,
Z boleści twych — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

Tak człowiek też, ów nędzarz-król;
Perłą snadź jest i jego ból,
Snadź czerw mu pierś niepróżno żre,
Aż z bolu mrze;
Snadź przeczuć szept — nie złudą złud:
O szczęsny, ciesz się, ciesz!
Z twych zwątpień, mąk —piękności cud,
Z twych tęsknot, snów — słodyczy miód,
Choć cóż ty o tem wiesz!

NAPIS NA GROBIE.

„Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...“
— O wiejskich dzwonów dalekie lamenty!
O ciszy skrytych pośród niw cmentarzy! —

Nieboskłon ogniem zachodu się żarzy,
W szafir ciemnieją blade firmamenty.

— O aromaty macierzanek, mięty! —
W dal cicho płyną srebrną chmur okręty,
Dusza w woń cała roztapia się, marzy,
Jako kwiat...

„Jako kwiat wzrasta, jak kwiat pada ścięty...“
Bezbrzeżny spokój bez żądz, bez ponęty...
O nędzo lśniących żywota miraży!
— Cicho! coś w grobie, czy we mnie się skarży,
Coś, mrąc, trwa jeszcze w woli nieugiętej,
Jako kwiat.

TWÓRCY.

W marzenia świat gdyś zbłądził raz,
W ten czarodziejski wonny las,
Gdzie śpiącą się królewnę budzi, —
Nie wracaj już pomiędzy ludzi,
Pod grobu raczej skryj się głaz!

Po arabeskach greckich waz
Płaz przemknie ci, ślad ujrzysz skaz...
O, precz! (za-ż wiesz, co bardziej łudzi?)
W marzenia świat!

Tyś dał, coś miał. Tyś krasę kras
Z bezkresów stargnął w przestrzeń, czas,
Dał kształt, którego kał nie zbrudzi,
Tchnął żar, że mróz go nie wystudzi.
Tyś ducha pchnął, co gasł śród mas,
W marzenia świat!

JESZCZE RONDO.

Rondo, jak brylant pod słońcem, błyska,
Jak święta Gralu z opali miska,
Tęcz, barw i świateł mieni się zorzą,
A nie jest piewcy ciężką obrożą,
Lecz płodem tajnych mocy igrzyska.

Rzucam rym nakształt greckiego dyska:
Sam wraca, w myśli gwałtem się wciska,
Składa się w strofy, a strofy tworzą
Rondo.

Eolska gędźba! dla dum kołyska!
Cóż mi symplistów urągowiska?
W krągłe kielichy kwiaty się mnożą,
Kolisto usta w całus się złożą,
Kolistym rytmem samo wytryska
Rondo.

ŚWIĘTY OGIEŃ.

Ubogi z głazów ołtarz ich
Pośród olbrzymich stał menhirów,
A śpiew ich smętny miał za wtór
Oceanowych łoskot wirów.
Z zielonych swych szumiących puszcz
Przynieśli tu, nad mórz odmęty,
Praojców wiarę w głębi serc —
I niegasnący ogień święty.
Gdy padł ostatni czczony dąb,
Liściastą swą powiawszy szatą,
Odeszli precz, bo oczy ich
Nie mogły dłużej patrzeć na to,
Jak dawnych bóstw skrzydlaty rój
W dal gdzieś odpływał widm orszakiem

A lud pokornie chylił skroń
Przed nowej wiary obcym znakiem.
W najdalszy cichy kraju kąt
Unieśli swe najdroższe skarby
I, pielęgnując święty żar,
Między skalnymi żyli garby.
Wierzyli tak, iż żadna moc
Nie mogła złamać tej ich wiary:
Że przyjdzie dzień, gdy w łonach puszcz
Odżyje znów świat bogów stary,
Gnomy i Elfy w dziuplach drzew,
Straszne w pieczarach gór olbrzymy,
Że znów zaszumi dębów gaj,
W niebo się objat wzbiją dymy,
I lud porzuci obce sny,
Ukocha znowu przeszłość jasną, —
Jeśli tak ognia będą strzedz,
Że święte żary nie zagasną.
Bo w tem zarzewiu siła tkwi,
Pewniejszą wiele od oręży,
Ci przerwie sen, oświeci błąd,—
Nieufność, opór przezwycięży;
Moc cicha w niem zaklęta śpi,
Moc święta ducha wszego ludu;
Póki w niem jedna skra się tli,
Można z ufnością czekać cudu.

*

Mijały dnie, szeregi lat. W skwarne południa, mgliste noce
Druidów orszak czuwał wciąż nad świętym ogniem na opoce.
Oblicza im poczernił dym, zgrubiały dłonie od mozołów,
Bo trzeba było nosić drwa—het—z oddalonych gór wierzchołów.
Pot lał się z czół, z óczu krwawe łzy płynęły, w brózdy krająć [lice,
Gdy własną piersią święty żar trza było chronić w nawałnicę
Lecz mężnie trwali w pracy swej, wiara krzepiła ich, że strzegą
Ogniska myśli, uczuć cnót, przyszłości całej ludu swego.

Marzyli wciąż, że ujrzą dnie przeszłości się odradzające —
I widział wokół lud co noc ich ogień, jako krwawe słońce.

*

Lecz przyszła chwila, kiedy stróż,
Co stał z kolei ołtarza,
Krzyk trwogi wydał, że brak drew,
A ogień święty się dożarza.
Druidów grono zbiegło się,
Aby usłyszeć wieść straszliwą,
Że nastrojony wrogo lud
Broni im z lasów brać paliwo.
Zgroza! więc ogień zgasnąć ma?
Ból im szalony zmysły miesza!
Nadzieja złudną była więc?—
Z rozpaczą szepce cała rzesza.
Lecz arcykapłan woła: Nie!
Ta ostateczna klęska wieści,
Że już się zbliża koniec zła,
I trudów naszych, i boleści.
Odwagi, bracia! Blizko świt!
Aby nam zorza zajaśniała,
Wytrwania tylko kilka chwil!
Paliwa brak? — A nasze ciała?...
Jeden po drugim szli na stos,
A każdy pośród mąk konania
Pytał, czy z dali nie brzmi głos,
Głos odrodzenia, zmartwychwstania?
Czy już nie szumi dębów gaj, czy objat się nie wznoszą dymy,
Czy nie odżywa świat ich bóstw?... I w ogniu marli tak, olbrzymy.
Aż arcykapłan został sam... Widział męczeńską śmierć współbraci,
A nie miał dotąd żadnych wróżb, że ich ofiarę los odpłaci,
Że się marzony spełni cud. Jednak nie wahał się ni chwili.
Może tam już się budzi lud? Może śmierć jego — los przesili?
I wstąpił na ofiarny głaz...

KAZIMIERZ LASKOWSKI.

Ur. r. 1861 w Tokarni (gub. Kielecka).
»Z chłopskiej piersi« (1901); Serya druga (1902).

ZRĘKOWINY.

Przed Kubową,
Poprzed chatą
Dziwnie strojno
I bogato.
Ściany zdobne w modre cętki —
W oknach róże i nagiętki —
Sień pełniuśka tataraku,
Wymieciona po cielaku —
Izba z nowa pobielana
I podłoga szorowana,
A na progu Maryś stoi —
Warkocz plecie—wyjść się boi...
Jeno ku wsi
Chyłkiem zerka —
Jak kot, gdy mu
Pachnie szperka.

*

Przed Kubową,
Przed chałupą

Przystanęli
Ludzie kupą —
Przystanęli nie na gadki,
Bo w pośrodku swaty, swatki!
Bo na przedziu wiejski grajek,
Bo w koszyku kopa jajek.
I flaszczyny są z siwuchą,
I kogutek pod pazuchą,
Cały lśniący, grzebieniasty,
Jak na „wywód“ dla niewiasty.
Ani chybi!
Widzi mi się —
Zrękowiny
Do Marysie!

*

„Dudu!... dudu!“
Smyk po basach...
Stanął Kuba
Przy balasach,
Jak na święto wygolony...
„Niechże będzie pochwalony!
„Witajcież mi, moi ludzie!
„Szczerem sercem! nie w obłudzie!
„Komu wola i ochota!“
Rzekł — uchylił przednie wrota —
I z pokłonem prosi do się
Swatów, swachy i kumosie.
A tak mu coś
Patrzy z miny,
Że rad widzi
Zrękowiny.

*

„Dudu — dudu!“
Bas z skrzypkami...
Idą ludy
Za ludami.

Pełno w sieni i na przyźbie.
Nie pomieścić w jednej izbie!
Gwarno, rojno, jak w pasiece...
A najstarsza swatka *rzece*,
Co *pedała* jej kumoszka,
Że u Kuby jest jałoszka —
Jałowiczka swego chowu,
Przez przygany, *przez* narowu.
„Właśnie wiedziem
„Kupca do niéj —
„Pieniążkami
„W trzosie dzwoni.“

*

Na *dowścipną*,
Na przemowę —
Podrapał się
Kuba w głowę.
Chciał się zrazu potargować,
By popóźniej nie żałować.
Ale swacha uprzedziła,
Gorzałeczki doń przepiła...
„Życzcież nam jej, gospodarzu!
„Po Bożemu, przy ołtarzu!
„Nie poskąpim piwa, jadła,
„By z ambony rychlej spadła.
„Życzcież nam jej,
„Ojcze, matko!
„Aby kupno
„Poszło gładko.“

*

Spojrzał Kuba
Na Kubową...
— „Jakże, matka?
„Rzeknij słowo!“
A Kubina do komina
Woła: — „Kajżeś ty, Maryna?“

A z Marysie z za przypiecka
Jeno buty, jeno kiecka!
Próżno swacha prosi, łechce:
Wlazła w kątek i wyjść nie chce.
I choć jej się śmieją oczy,
Niby źli się, niby *boczy*...
Niby broni
Się i spiera,
A za Jankiem
Wciąż spoziera!

*

Grają skrzypki
Z mazowiecka...
Przypadł Janek
Do przypiecka —
Jak *podważy* pod Marysie!
A Maryśka nie broni się...
Idzie z Jankiem, jako trusia,
Do matuli, do tatusia.
Idzie sama, samowita —
Za kolana ojców chwyta.
Przyklękają obydwoje...
Kuba szepce:—„Dzieci moje!"
A Kubina
Oczy duchem —
Dla zwyczaju —
Trze fartuchem

*

Grają skrzypki
Z mazowiecka...
— „Nie ukrzywdzę
„Swego dziecka!
„Nie pojmiesz jej samej z chaty:
„Weźmie krowę, weźmie szmaty,
„Dwa stajonka—przed rejentem —

„Wymierzone nowym prętem!
„Dam jej setne dwa prosiaki,
„Babski statek dam wszelaki,
„Matka zładzi wam do ślubu
„Pierza z nowego podskubu...
„I wesele
„Takie sprawię,
„Że je głosić
„Choć w Warsiawie!“

WESELE.

. . . .

Chałupeczka nizka –
Na kominie błyska —
Starszyzna za stołem —
Tanecznicy kołem.
W pierwszą parę—czapka z ucha!
Starszy drużba i młoducha.
Za Maryśką z drużką Janek,
Że wiatr idzie z pod falbanek,
A drzazgi z podłogi!
Przytupują z nogi!
Podkóweczka dzwoni!
Śpiewka śpiewkę goni!

*

W chałupeczce nizkiéj
Każden sercu blizki —
Sukmanie sukmana...
Danać moja, dana!
Za „młodymi“, za drużbami
Walą pary za parami...
Kiej ochota, to ochota!
Nie rozegnać kołkiem z płota —

Taka moc gromady,
Że nijakiej rady!
Jeno zawdy ławą—
Z troską czy zabawą.

*

W chałupeczce nizkiej
Polewane miski
Kubina roznosi,
Na częstunek prosi...
Są różności: moc mięsiwa,
Pszenny kołacz swego mléwa,
Są flaszczyny, z piwem bania,
Masło, serek z podśmietania.
Jest *harak*, *arbata!*
Czem chata bogata,
Tem od serca rada
Dla gościa — *somsiada.*

*

W chałupeczce nizkiéj
Śmiechy a uściski —
„Poczęstne“ na stole —
Kwatereczka w kole.
Jaki taki nie mitręży,
Wypił — pas mu w biodrach cięży...
Odpuścił se — do koszuli
I dziewuchę do się tuli.
Janek do Marysie
Rad przymila jéj się.
Swatki bronią, trzepią:
„*Poczkaj*, aż *ocepią*“.

*

Drą się swatki — drą...
„Cepić“ Maryś chcą.

Ale drużki zagrodziły,
Bo im jeszcze taniec miły.
    Jeszcze nóżki drżą pod niemi,
        Jeszcze nóżki drżą!

*

Za drużkami—wtór...
Starszy drużba — w spór!
Podparł boków przed swachami.
Chociaż grożą mu pięściami,
    Stoi jako mur—nie pyta,
        Stoi jako mur.

*

„Dalej, skrzypku, grać!
„Na zapłatę stać!
„Moje rządy! (wykrzykuje)
„Bo smyk łojem wysmaruję!
    „Abo zacznę prać—na dobre!
        „Abo zacznę prać!“

*

Ruszył z basem smyk...
Znowu taniec w mig.
Suną pary—kiej obręczą—
Przyodziewek błyska tęczą —
    Z piersi idzie krzyk—śpiewanie,
        Z piersi idzie krzyk.

*

Wszyćkim tany w smak!
Że i miejsca brak...
Idą starsi za młodemi.
Janek ledwie tyka ziemi,
    Przyśpiewując tak Marysi,
        Przyśpiewując tak:

*

„W powiecie na rynku
„Zegary gadajom:
„Wszystkie panny szelmy,
„Za nic nas nie majom!
„Ino ta nie szelma,
„Co ja *ś niom* tańcuję;
„Co się raz obrócę,
„To *jom* pocałuję!“

*

A Marysia zaś –
Choć to już jej Jaś —
Niby broni się a boczy
Kryje rąbkiem modre oczy —
A lgnie, jak na *maź*, z gębuchą!
A lgnie, jak na *maź!*

*

Sunął Janek w tłok
I co *chwilka:* cmok!
Dobiera się nie na kpiny
Do gębusie, do maliny!
Czekał na to rok — bez mała,
Czekał na to rok.

*

Za „młodymi“ w ślad...
Kużden sobie swat.
Stach z Ulisią, Walek z Jagną
To zakręcą się, to nagną —
Nikiej wiatrem kwiat plątany
Nikiej wiatrem kwiat.

*

Ojże moja! hop!
Zawdy górą chłop!

Czy Antośce, czy to Kachnie,
Kuždej chłopska czapka pachnie —
Jak koniowi snop owsiany,
Jak koniowi snop.

*

Jaka taka w lot —
Kiej do szperki kot!
Byle wspomnieć o pierścieniu,
Już ci siedzi przy ramieniu —
Rada oddać splot panieński,
Rada oddać splot.

*

Idzie taniec — wir!
Choć wróbelki: *ćwir!*
Bo gdy w sercu jest kochanie,
To czy nocka, czy zaranie,
Jeden świat i mir — dokoła!
Jeden świat i mir!

*

Już słoneczny dzień
Spędził nocy cień...
Już się grajkom głowa kiwa
I od smyka i od piwa —
Jak chwiejący pień wierzbiny,
Jak chwiejący pień.

*

Wszyćko ma swój czas:
Ścichły skrzypki, bas...
Zakrystyjon po urzędzie
Wstaje z ławy, mówić będzie—
Chrząka raz po raz — a patrzy,
Chrząka raz po raz.

*

Zakrystyjon wstał —
Jakby makiem siał!
A on czeka, nic nie głosi,
Jeno okiem ku gosposi...
Próżną szklankę miał do cała,
Próżną szklankę miał.

*

Woła Kuba: „Hej!
„Matka, słodkiej *dej!*“
Przepłukali podniebienie —
Zaczęło się przemówienie —
Że choć łzami lej z rzewności,
Że choć łzami lej!

ŚPIEWKA.

Założyłem sobie
W myślach cztery siwe.
Jechałem, jechałem
Przez lata szczęśliwe.

Przez lata szczęśliwe,
Przez owo zaranie —
Kiedy mi świeciło
Najpierwsze kochanie.

Jechałem, jechałem
W słonecznej obręczy —
Kiedy mi się życie
Malowało w tęczy.

Toczył się wasążek
Zorzanym rumieńcem —
Po rucianych dróżkach,
Serdecznym gościeńcem.

Toczył się wasążek—
Wykowane kółka—
Szybowały siwe,
Jak wiosną jaskółka.

Toczył się wasążek,
Ładowny wspomnieniem...
Póki rzeczywistość
Nie siadła kamieniem.

Przystanęły siwki,
Podkówka nie dźwięczy.
. . . .
Oj, ciężko dojechać
Do wiośnianej tęczy!

OBEREK.

Ej! gdybym znał taką śpiewkę,
Co to ludziom na rozgrzewkę,
Na pogodę! na ochotę!
Co to myśli przędzie złote,
Co to wiedzie drogą mleczną...
Gdybym taką znał serdeczną,
Gdybym taką znał!
Zarusieńko
W kolusieńko
Świat-by cały brzmiał weselem,
Na okolic brzmiał!

Ej, gdybym miał taką nutę,
Co to słonkiem sieje w plutę,
Co to miodem gorycz słodzi,
Co maj niesie, kwieciem wschodzi,

Co na dolę, czy niedolę
Pada chlebem w żyzne pole —
Gdybym taką miał!
Zarusieńko
W kolusieńko
Świat-by cały brzmiał weselem,
Na okolic brzmiał!

Cóż, kiej u mnie takie granie...
Jeno smykiem—już łza wstanie!
Cóż, kiej u mnie z każdą nutą
Tęskniej w duszy, w sercu luto!
Cosik płacze, coś zawodzi,
Coś po strunach smętkiem chodzi...
Choćbym skocznie chciał,
Zarusieńko
W kolusieńko
Jakby rosą siał—perlistą,
Jakby rosą siał!

WYRWAS.

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
Zalecał się Grześ Teresce.
A że chłop był od „Kalisa",
Buty ze psa, czapka z lisa.
Czapka z lisa, łeb kudłaty,
Na gardzielu szalik w kraty.
Żupan na nim na pętlice,
Z „jaźwiem" futrem rękawice,
Pas włóczkowy, talar w „kiesce".
Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
Zaleca się Grześ Teresce
Ciągle w „uną" wraża ślépie,
To ją łechtnie, to uszczypie,

To jej łokciem „ziebra“ zmierzy.
A Tereska zęby szczerzy.
Zęby szczerzy, a radaby
Wleźć co rychlej między baby.
Bo i czegóż czekać „jesce?...“
Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
Zaleca się Grześ Teresce,
Wieczną miłość jej ślubuje
I co trocha przyśpiewuje:
— Bądźże moją, los ustalisz!
Niema miasta, jak nasz Kalisz!
Boć wszystkiego tu dostanie —
Będziem mieli używanie,
Póki jeszcze talar w „kiesce“!
Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

W WIELKI CZWARTEK.

W Wielki Czwartek we dworze
Ruch od rana—kiej taniec—
Na piechotę i konno
Za posłańcem posłaniec!

Świtkiem Kuba poleciał,
Aż par szkapie szedł z nozdrzy,
(Bo do ciasta zabrakło)
Kupić cukru i drożdży.

Potem Jagna skoczyła
Do gospodyń po jaja...
Potem wózkiem do miasta
Wyprawili lokaja.

Sama pani do sklepu
Napisała mu kartkę...
Potem Janek do Mośka
Gnał cielęcą wziąć ćwiartkę.

Potem (pono psy zjadły)
Pchnęli Kaśkę po masło...
I tak prawie do zmierzchu,
Póki słońce nie zgasło.

W Wielki czwartek we dworze
Kto żyw, ładzi na Święta.
Dziedzic mruczy pod nosem —
A dziedziczka kontenta.

Tłuką, wiercą, łomocą,
Aż oddaje w pokojach!
Naznosili różności
W faskach, garnkach i słojach.

Pełno w kuchni, w „jadalnym“...
Zastawili dwór cały.
Tu się mąka wygrzewa,
Tam siekają migdały.

Ówdzie dzieci zajęte
Przebieraniem rodzynek,
Gospodyni ser wierci,
Kuchta chrzan trze do szynek.

Nigdzie krokiem nie stąpić!
Tego nie rusz! nie tykaj!
W święta babskie są rządy —
Lepiej z domu umykaj!

Lepiej z domu umykaj —
Za dziesiątą za bramę!
Niechaj baby z „babami“
Radzą sobie już same!

„ZIELNA".

Od Wisełki do Odry
Idzie polem kwiat modry —
Niby oczy dziewczyny
Z mazowieckiej równiny.
Jakbyś garstką niebiosów
Wśród pszenicznych siał kłosów.

A za kwiatem „bławatem"
Gonią „maki" szkarłatem,
Gonią społem, drużyną,
Żadnej brózdy nie miną...
Jeno czapka na ucho,
Kiej weselnik z młoduchą!

A za makiem modrakiem
Pnie się „sroczka" okrakiem
I kąkole w te hopki,
Kiej za służbą parobki,
I „ognicha" starucha
Jako może się rucha.

Od Wisełki po morze,
Jak te kwiaty przez zboże,
Spieszy ludu moc cała,
Co go socha chowała,
Popod lipę, pod pszczelną —
Na Maryją, na „Zielną".

Więc dziewuchy—modraki,
Więc chłopaki kiej maki,
Gospodarze, gosposie
Idą z pieśnią po rosie —
Idą z nutą weselną
Na Maryją, na „Zielną".

Idą miedzą przez pole,
Niosą dolę, niedolę,

Niosą pacierz gorący
I wianuszek pachnący.
Niosą chmury i zorze...
Od Wisełki po morze!
Od Wisełki srebrzystej
Do Maryi Przeczystej!

NA GROMNICZNĄ.

Na „Gromniczną“, na „Maryją“,
W mojej wiosce wichry wyją.
Śnieżny tuman za tumanem
Miecie polem pobielanem.
To zagędźbi w krzu wierzbiny,
To się zerwie na drożyny —
To w opłotkach zaspy spiętrza.
„Panieneczko! Przenajświętsza!“

Na „Gromniczną“, na „Maryją“,
W mojej wiosce dzwony biją —
W mojej wiosce płoną woski
Przed obrazem „Częstochowskiéj“ —
Płyną pieśni—pieśni śliczne!
Ponad lasy okoliczne.
Z kościelnego dzwoni wnętrza:
„Panieneczko! Przenajświętsza!“

Na „Gromniczną“, na „Maryją“,
Idą ludzie z „procesyją...“
Cała wioska! swoi sami!
Połyskują gromnicami...
Tylko w ławce u ołtarzy
Jedno światło się nie jarzy...
. . . .
Za to świeci łza goretsza...
„Panieneczko! Przenajświętsza!“

GRUSZE.

Za stodołą, za Maćkową,
Szumią grusze miedzą płową,
Miedzą płową, w pola czyste
Szumią grusze gałęziste.

A na polu, za gruszami,
Chodzą pługi za pługami —
Czarna skiba, gdyby wstęga,
Od stajania w staje sięga.

A za pługiem, za stodołą,
Świeci Maciek piersią gołą,
Gołą piersią w one pola,
Skąd mu dola i niedola!

Skąd mu chlebuś, chlebuś czarny,
Skąd mu statek gospodarny —
Skąd mu ojce, jak tym gruszom —
Świeci piersią, patrzy duszą.

Za stodołą, za Maćkową,
Leci zamieć miedzą płową —
Miedzą płową, w pola czyste,
Bije w grusze gałęziste.

Za Maćkową, za stodołą,
Bije zamieć o pierś gołą,
O pierś chłopską, chłopską duszę,
Jak o stare polne grusze.

ZAPACHNIAŁO WIOSNĄ O JESIENI.

Zapachniało wiosną o jesieni...
Przymrużone podniósł oczy kwiat.
Leci echem śpiew ptaszyn w przestrzeni.

W spławie ciepłych słonecznych promieni
Zda się majem zmartwychwstawać świat.

Grają wierzby bezlistne, a grają,
Obnażony gędźbi olchy czub,
Płową miedzą łączne zioła wstają,
Kmiece pługi matkę-ziemię krają,
Rozorując tylu bytów grób.

Zapachniało majem o jesieni...
Poszło życie smugiem rdzawych rżysk.
Wszystko barwą nadziei się mieni...
Czemuż szczęścia z mogilnych kamieni
Nie rozbudzi żaden słońca błysk?!

TĘSKNOTA.

Ej! dajcież mi kute sanie!
Czwórkę siwych! bicz krakowski!
A nim zorza ranna wstanie,
Wpadnę wichrem do swej wioski!
Będę strzelał! będę hukał!
I dawnego szczęścia szukał!
Jeno... nie wiem, gdzie jest ono...
Bom *zabaczył* od tęsknicy,
Czy pod sosną pochyloną?
Czy u stoku? u krynicy?
Czy w chałupie pod kominem?
Czyli w sercu Marysinem?
Jeno... nie wiem, gdzie jest ono...
Bom zatopił pamięć łzami.
Czy pod brzózką operloną
Nad wiejskiemi mogiłkami?
Czy u krzyża nad rozłogiem?
Czy za swoich ludzi progiem?

*

Ej! dajcież mi kute sanie!
Pod dzwonkami!... Jezu słodki!...
A nim słonko z za gór wstanie,
Wpadnę wichrem przez opłotki!
Będę strzelał! będę hukał!
Choćbym szczęścia... nie odszukał!
Choćbym szczęścia nie dogonił...
Pocwałuję przez zawieję,
Gołą piersią będę dzwonił!
W kurnym dymie ją ogrzeję,
A co z bicza się zamierzę —
To i sercem w takt uderzę!
Choćbym szczęścia nie odnalazł...
Bom... przepomniał, kędy gości...
Stanę chwilkę wedle balas,
Gdziem się bawiał z maleńkości —
I powitam rodne strony:
„Niechże będzie pochwalony!"

*

Ej! użyczcież choć *sanicy*!
Pary szkapiąt... bo nie wstrzymać!
Wicher hula po śnieżycy —
Gotów drogi pozadymać —
Gotów zaspą świat zasłonić!
A mnie trzeba szczęścia gonić!
A mnie trzeba do mej wioski,
Między chaty! popod strzechy!
Przed obrazik „Częstochowskiéj" —
Po *krztę* raju! skrę pociechy!
Do granicznych trzeba kopcy —
Gdzie poznają, żem nie obcy.
Gdzie poznają ci z podstrzesza —
Żem od sochy, im rodzony.
Że się głębiej od lemiesza
Wryłem duszą w pól zagony.
Że mi każden proch tu miły —
Od kołyski do mogiły!

IGNACY BALIŃSKI.

(J. B. Aksel.)

Ur. 31 Lipca 1862 w Reginowie (gub. Grodzieńska).

NIECH BIELEJE PŁÓTNO SZARE!...

Położyły płótno szare na murawie
Gospodynie: — Niech bieleje, powiedziały,
Niech bieleje!—I zaczęło złote strzały
Ciskać słońce w płótno szare, co jaskrawie
Odbijało od zieleni,—nowej strawie
Niosąc grotów swoich żary i upały.
Niech bieleje płótno szare, na słońcu niech bieleje!

I zaczęła płótno szare w wieczór, z rana,
Srebrzyć rosa, srebrna rosa, co wyjada
Smutne, łzawe biednych oczy, zanim blada
Wzejdzie zorza nadaremnie wyglądana. —
Bić zaczęła w płótno szare karawana
Wichrów,—mknąca obojętnie w dal gromada...
Niech bieleje płótno szare, na rosie niech bieleje!

I zbielało płótno szare i zbielało
Od słonecznych grotów złotych i od rosy
Pocałunków i od wichrów, które z włosy
Rozwianymi w dal nieznaną pędzą strzałą.

Teraz mogą gospodynie brać je śmiało,
Wiernym sługą dzielić będzie ludzkie losy.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

Teraz mogą płótno szare kroić w szmaty
Cienkie, długie,—na pieluszki, na koszule,
Co niemowląt drobne członki tkliwie, czule
Osłaniają, — i na dziewic ślubne szaty,—
I na obrus, który kryje stół bogaty,—
I na całun, który koi wszystkie bóle.
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!

* * *

I wywlekła dola-matka serce moje
Na życiowe ostre szlaki, twarde drogi,
Między ludzi zastęp wielki, zastęp mnogi,—
Moje serce, w którem uczuć wrzały roje,
Krwi gorącej, krwi czerwonej biły zdroje,—
I cisnęła ludziom-braciom je pod nogi.
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I owionął serce moje nienawiści
I zawiści żar — gorętszy, niźli słońce;
Bić zaczęły w nie zawodów wichry rwące,
Co z nadziei duszę smutną, jak dąb z liści,
Obrywają;—coraz silniej i rzęsiściej
Jęły zraszać je łzy skryte, łzy piekące...
Niech bieleje serce moje, dla ludzi niech bieleje!

I zbielało serce moje i zbielało,
Jak to płótno, — w życia pęta i obroże
Wparte, wkute... Odtąd ludziom w każdej porze,
Z rezygnacyi twarzą zimną, twarzą białą
Służyć będzie, — lecz już sercem być przestało,
I już tylko tak jak serce pęknąć może...
Niech bieleje płótno szare, dla ludzi niech bieleje!
Niech bieleje serce moje, dla ludzi-braci niech bieleje!

Z NOCNYCH GWARÓW.

— „Czyżby to był świt, matulu,
Czyżby to był świt?
Czarna noc zagląda w okno,
Straszy wichru zgrzyt.
A tam słychać tentent koni,
Jakby z łąki już
Powracali nocleżnicy
Z wieścią rannych zórz.
Słychać głosy, zda się—swoje,
Wołają u wrót: —
Gaście ognie, pójdźcie w pole,
Już bieleje wschód! —
A tu noc zagląda w okno,
Straszy wichru zgrzyt...
Czyżby to był świt, matulu?
Czyżby to był świt?"

Wyszła matka na próg chaty,
Na zmurszały próg;
Wypatruje... nasłuchuje
Echa z pól i dróg,
I wróciła.—„Jacyś ludzie
Chodzą tu po wsi,
Powiadają, że za borem
Pono zorza lśni.
A tu ciemno, wiatru tylko
Słychać jęk i zgrzyt.
Nie! to nie jest świt, dziecino,
Nie! to nie jest świt."

———

H. J. BOGUSKA.

(Hajota).

Ur. r. 1862 w Sandomierzu.

»Poezye« (1884).

O! GDYBYŚ WIEDZIAŁ...

O! gdybyś wiedział, jak mało potrzeba,
By z pączka kwiat się wywinął wspaniały,
By z omglonego na świtaniu nieba
Złocistym deszczem padły słońca strzały,

By jednym skokiem znalazł się u mety,
Co się z pozoru niedościgłą zdaje!
Jak mało trzeba, by duszę poety
Zawieść w natchnienia nieśmiertelne kraje,

By przeistoczyć kobietę w anioła,
Aby z mężczyzny stworzyć bohatera,
By u bladego marzyciela czoła
Płomienna czynu zabłysła litera,

By posiąść szczęście i dawać je wzajem,
By niewiędnącym stroić skroń uplotem,
Jak mało trzeba, by świat stał się rajem...
O! gdybyś wiedział... Lecz ty nie wiesz o tem!

* * *

O! gdybyś wiedział, jak mało potrzeba,
By wdzięczną wiosnę w smutną zmienić jesień,
By zjałowiała najżyźniejsza gleba
I wyschło źródło najczystszych uniesień,

By marzeń tkankę potargać świetlaną,
W niewinnej piersi zbudzić zgubne chucie
I aby wiecznie jątrzącą się raną
Stało się jedno niebaczne ukłucie.

Jak mało trzeba, by w zwątpień topieli
Prastare prawdy zwalczył rój miraży,
By się znalazły pod stopą czcicieli
Bóstwa z wczorajszych zwleczone ołtarzy,

Aby w wierzącym zrodził się szyderca,
By zaczął pełzać ten, co wzbił się lotem;
Jak mało trzeba dla zabicia serca...
O! gdybyś wiedział... Lecz ty nie wiesz o tem!

KONSTANTY M. GÓRSKI.

Ur. r. 1862 w Woli Pękoszewskiej (pow. Skierniewicki).

TRANSKRYPCYE Z HORACEGO.

I.

Widzisz, jak biało
Na stromych skał szczycie,
Jak się Soracte
Srebrzy na błękicie!
Śnieg z obarczonych
Sypie się gałęzi,
Mróz chwycił rzeki
I w lodach je więzi.

Dorzuć suchego
Drewna do ogniska,
Niech syczy, bucha
Płomieniem i pryska.
A masz gdzie wina
Dobrego dzban stary,
Dobądź go z lochu
I nalewaj czary!

II.

Resztę na bogów
Zdaj; gdy skiną bogi.
Po wszystkich ziemiach
Wścieka się wiatr srogi,
A zechcą potem
Świat ukoić ciszą,
Wiotkie cyprysy
Już się nie kołyszą.

Wszystko na bogów
Zdaj, nie pytaj losów.
Dopóki starość
Nie ubieli włosów,
Ciesz się radosną
Chwilą, żyj nadzieją,
I kiedyś młody,
Szalej, gdzie szaleją.

Z PODRÓŻNEJ TEKI.

I.

Już z mórz głębokich dla mnie Afrodyta
Nie wstaje złota,
I za kochaniem wiecznem mię nie chwyta
Nagła tęsknota.
Morze się do mnie nie wyrywa z szałem,
Nie łasi pianą.
Już przekochałem, lecz już przecierpiałem,
Co mi pisano.

II.

Z masztu urwana czarna szmata,
Sponiewierana szmata płótna;

Jako liść, którym wiatr pomiata,
Jak opuszczony sztandar smutna,
Rzucona burzą na wybrzeże,
Nie ufna w ciche jutro — leżę.

Chyba mię kiedy w głąb pochwyci
Łakomą falą morze słone
I gorzką solą tak przesyci,
Że pójdę na dno i zatonę,
Nie cierpiąc zmiennie a bez końca
Od chłodu wód, od żaru słońca.

III.

Ta, o której wieczyście się marzy,
Nagle, nocą, we śnie przyszła do mnie.
Przyszła cicho, radośnie i skromnie
Młode usta zbliżyć do mej twarzy.

Nie mówiła próżnych słów miłości,
Gdzie się tylko chęć pochlebstwa kryje,
Odsłoniła ustom moim szyję,
Jakby obcą, piękną rzecz — najprościej.

Rzekła: Szczęście jest, gdy dusza spotka
Swoją duszę i czar jej spamięta.
Niech ci moja pamięć będzie święta,
Niech ci moja piękność będzie słodka.

Daj dni kilka — dni to będą moje —
Na ramieniu ciebie ukołyszę.
Zechcesz szału, dam szał, ciszy — ciszę
I ukoję, na zawsze ukoję.

Lecz się nie bój, że nadto przywyknę
Do twych pieszczot i nie myśl o jutrze.

Sam się zdziwisz, jak prędko ci zniknę,
Bo najlepsze szały są najkrótsze.

IV.

Nieruchomą cię widzę w teatrze,
Na tle loży czerwonej, zdaleka,
I podobnaś mi jest Kleopatrze,
Gdy w pałacu się nudzi — i czeka.

Na ramionach masz złote obręcze,
A dyamenty, w pomroku świecące,
To rozprysną się w gwiazdy i w tęcze,
To się skupią i palą, jak słońce.

Takie blaski ci biją od głowy,
Gdy ją oprzesz złocistą i rudą,
Żeś jak bóstwo jest z kości słoniowej,
Wyzłacane tybetańskie cudo.

Ale takaś jest piękna i biała,
Jako grecka Wenus kuta w głazie,
I tak jasność cię w mroku oblała,
Jak na złotym Rembrandta obrazie.

I muzyka cię ludzka nie wzrusza,
Oczy twoje lśnią w mrocznym teatrze;
Ja nie pytam, czy świeci w nich dusza,
Ja się jeszcze nie kocham ja — patrzę.

V.

Sprzykrzyły mi się biedne słowa,
Które się w twarde wiersze kowa.
Znużyły mię te dźwięki cudze,
W których drgnień moich nie obudzę.

Tak mi obrzydła mowa pusta,
Że mi się od niej pienią usta,
Że hańbą sercu jest szalona
Pieśń, co się rwie, jak potok, z łona,
A wpada w zwykłe rytmów łoże —
I żadnej duszy nie pomoże.

VI.

Powracam tutaj po latach
Z duszą, jak gdyby nie swoją,
Gdzie bogi w fałdzistych szatach
Niezmienne stoją.

Pierś moją bóle i troski,
Jak pługi, stokroć zorały,
A trwa posągów sen boski,
Kamiennie biały.

I naraz czuję się niczem
Z uczuć, łez, pragnień mych światem
Przed niemem bogów obliczem
I majestatem.

VII.

Oto mi widny rodzinnego boru
Rąbek sinawy.
Za borem wschodzi miesiąc w mgłach wieczoru
Wielki i krwawy.

Pierwsza się gwiazda wśród mgławicy budzi,
Drobna i złota,
I w sercu wstaje do dalekich ludzi
Dziwna tęsknota...

Patrzę ku stronie, gdzie światło za chwilę
Z okien mi błyśnie.
Bolesnych wspomnień naraz mi się tyle
Do duszy ciśnie...

Patrzę, jak gdybym się tych okien domu
Nie mógł doczekać,
A w sercu chce się płakać pokryjomu,
Płakać — uciekać!

JÓZEF KORWIN-KUCZYŃSKI.

Ur. 18 lipca 1863 r. w maj. Paledziach (pow. Słucki).

»Poezye« (1883); Serya druga (1890).

WIOSNA.

Już okwitł wonny bez,
Już gną się listki róż,
Jutrznianych pełne łez —
Dzieweczko... Wiosna już!...

Dzieweczko, dłoń mi daj,
Szczebiotem ptaszkom wtórz;
Na dworze pachnie maj,
W ogródku wiosna już...

We włosy kwiatek rzuć,
Sukienkę białą włóż —
Do spółki z ptaszkiem nuć:
Już wiosna... wiosna już...

Oczęta jasne zwróć
Na bujne fale zbóż —

Do spółki z ludem nuć:
Już wiosna... wiosna już...

Dłoń w dłoń, u skroni skroń
O wiośnie śpiewkę kończ:
Twarzyczkę ku mnie skłoń,
Z ustami usta złącz,
U szyi zapleć dłoń
I myśli nasze spłącz...

I myśli nasze spłącz
W błękitną pieśń bez słów,
Do spółki z ptaszkiem kończ:
Znów wiosna... wiosna znów...

Z CYKLU „WIOŚNIANKI".

Stoi chatka stoi,
Nieciosana, nizka,
Niby chłopska trumna
I niby kołyska...

Chodzą wiatry, chodzą
Od ściany do ściany,
Niby przez rękawy
Podartej sukmany...

* * *

Kwitną wokół, kwitną
Same rozmaryny...
Będzie ślubny wianek
Dla mojej dziewczyny...

Dzwonią głośno, dzwonią —
Wraca lud podpiły...

Pewnie już z wesela?...
Ej nie! to z mogiły.

*
*

Tam za wioską gaj... kurhany
Stoją w szereg długi,—
I gdzieniegdzie wystrugany
Krzyżyk jeden... drugi...

Bose dzieci tutaj chodzą,
Sieją niezabudki, —
Tu najświętsze łzy się rodzą
I najszczersze smutki...

*
* *

Tam na wzgórku kościół biały,
Ze zgarbioną strzechą, —
Tu niejeden jęk nieśmiały
Odebrzmiał pociechą...

Tu lud wierzy: Pan Bóg schodzi...
Sądzi... patrzy... słucha...
Tu najczystsza myśl się rodzi
I najszczersza skrucha...

Z „MELODYI GRECKICH“.

Królewno, wstań!.. posągów biały rój
Powita cię znajomą, swojską twarzą...
Ukaż się im!... ożywią się, rozmarzą,
Bo każdy z nich to bóg, bohater twój!

I przenieś ich nad oliwkowy gaj,
Żyrandol gwiazd, Eurotu senny śpiew,

Posłanie mchów, gałązek szept im daj —
I wioń im w twarz szpalerem chwiejnych drzew...

A szepty, szmery te, i śpiew Eurotu ten —
Zapali wzrok... i cień twój, cień Hellady
Położy miękką dłoń na ich kamienne łona,
I biały bóg wiekowy strząśnie sen —
I w puhar sok winnego sącząc grona,
Pochyli się na pierś bachantki śniadej...

ANTONI LANGE.

Ur. r. 1863 w Warszawie.

»Poezye« (1896). Serya druga (1898).

RYM.

Do jednej pani, która ganiła moje rymy zbyt proste.

I.

A więc nie lubi pani mych rymów, zbyt prostych?
Wolałabyś, by pieśń ma dźwięczała niezwykle,
Świecąc, jako potrójnie złocony akrostych —
Rymy, powiązanymi w niespodziane cykle.
Prawda, rym jest dla pieśni, czem dla mózgu czerep,
Co myśl okrywa ludzką, jak perłę szczeżuja.
Rym to niebo i słońce, to piekło i ereb:
W nim muzyka istnienia jakby echem buja.
Im melodya bogatsza — pierś oddycha szerzej —
I promienistsze barwy w rymów hyjacyncie —
A pieśniarz, mknąc ku górze do niebieskich wierzej,
Zda się wołać słuchaczom: Płyńcie za mną, płyńcie!
Bo rym, gdy z niespodzianych, rzadkich sylab splecion,
Zda się, że treść natury lepiej uwypukli:
Jak potęgę wzburzonych fali morskiej wzrecion
Gromada nimf złocistych od złocistych pukli.

II.

Tak! rym czasem ma szczęki kutych w ogniu żelaz,
A czasem niby echo jakichś wspomnień rajskich;

Czasem—zda się—jak bogów pełna Anafielas —
Lub samotna pustynia proroków hebrajskich.
Są rymy, które dzwonią, jak rycerski brzeszczot;
Są rymy, które huczą, jak miedziane gongi,
Które tchną pocałunków zapachem i pieszczot;
Są—zda się—marmurowe, jak greckie posągi.
Są rymy tak szalone, jak skoczne fandango,
Są, w których grób uśmiechu ślad ostatni zatarł,
Są, które pachną piżmem, żywicą, hidrangą,
Są — rzekłbyś — jako bogów widomy awatar.
Rym to wszystko: melodya, zapach i koloryt,
Myśl, forma, bicie serca. Słuchaj ty, co śpiewasz,
Niechaj z twych rond i ballad, sonetów, rifiorit
Dusza wytryska, ale rymu nie lekceważ!
Tracisz mocy połowę, myśl od rymu dzieląc,
Bo czemuż zielenieje w rymie pól aksamit?
Huczy wicher, żeś gotów w duszy swej się przeląc?
Czemu przeszłość w nim żyje, jak w twierdzach piramid?
Przeto, że treść i forma są jak brat ze siostrą,
Niech ci żadne nie będzie jako pan lub murzyn,
I kiedy razem skrzydła ku niebu rozpostrą,
Niech płyną, jak dwa duchy dwu bliźnięcych drużyn.
Wiem! Kocham rym, jak słodki upojenia kielich —
Potężny, jako włócznia; cenny, jako szmaragd;
Jasny, jak kryształ; rzewny — jako pieśni El...ych,
A tęczami płonący, jak strugi katarakt.
Świat rymów jest tak dla mnie, jak gotycki kościół,
Którego szczyt niebieskich—rzekłbyś—sięga posów;
Żyłem w nim — ale duch mój na dwoje się rozciął
I słucham teraz nowych, niespodzianych głosów.

III.

Pierś mi strawił zatruty mego wieku rozczyn —
Duch, zmęczony, że sam-by pragnął siebie przerość,
Tęskni dziś za spokojem zapomnianych wiosczyn,
Gdzie, pod lip starych cieniem, kwitnie złota szczerość.
Znużyły mię zawroty tej abrakadabry —

Prostoty chcę — zieleni — śród lasów i opól:
Nęcą mnie kraśne maki i niebieskie chabry,
Szmery wód, ciche szumy rokicin i topól.
I chciałbym ksiąg zapomnieć, których czar mię urzekł—
I stanąć odrodzony śród zielonych muraw
I usiąść nad strumieniem w kole dobrych wróżek
Lub ulecieć nad pola, jak swobodny żóraw.
I chciałbym, zapomniawszy pieśni kłamnych syren,
Wsłuchać się w tajemnicze borów Zendawesty —
I, jak jaskółka, spadać na prostaczy świren
Lub kwitnąć, jak na piaskach nadwiślańskich rdesty.
I tak chciałbym, z nieziemskich odrodzony przyczyn,
Pojąć pieśń, którą śpiewa dziś dla ludzi ziemia,
Którą pszczół roje brzęczą śród gryk i koniczyn,
I którą szumią ludzkie ule i żeremia.
Bo wierzę, że w tych szumach żyje Boża czeladź
Kwiatów, ptaków, motyli — i chciałbym balsami
Zapach łąk w serce przelać — i zwolna się wcielać
W treść istot, z którą w końcu duch się utożsami.
Chciałbym, by światło błysło w moich oczach ślepych,
Bym je zamknął na fałszu uwodzące złoto,
Bym, pojąwszy natury prostotę i przepych,
Jak ona, lśnił przepychem naraz i prostotą.

IV.

Niech mi nikt nie zarzuca, że pieśń moja pełza
I żem opuścił rymów tęczowe Dżennaty,
Lecz moja dłoń Pegaza swego sama kiełza:
Szukam ciszy, bo w ciszę duch mój nie bogaty.
Kochałem pełnię rymów. Poznałem najrzadsze
Klejnoty mowy bogów i najsłodszy zapach
Ich kwiatów. Po czarownym pieśniarzy teatrze
Wędrowałem swobodnie, jak po znanych mapach.
Ale teraz już rymy dobieram najprostsze,
Po Edenie płaczący, jak po synach Rispah,
Bo serce mi przebiło długich zwątpień ostrze —
I tam dzisiaj spoglądam, gdzie odrodzeń wyspa.

Więc nie dziw się, że u mnie nie napotkasz czystych
Rymów wyświątecznionych w brylantach i perłach.
Są, którzy gonią rzadkie rymy. Lecz ja drwię z tych,
Co to czynią. Jam pielgrzym, co wchodzi na Gierłach.
Więc rzucam wszystek ciężar — i chcę na gołoledź
Szczytu gór iść swobodny — z jedną tylko cytrą.
A duch jakiś mi szepce: Poleć w górę, poleć,
I pożegnaj na wieki wszelką sztukę chytrą.

V.

Tak, bo rym się bez trudu w poezyę ubarwi:
Poezya dziś z swych wyżyn zeszła w nędzę dolin
A każda ciemna fala uda falę Narwi,
I dzisiaj sztuka rymów to nuta mandolin,
Jest *tralala* na wszystko — formuły algebra —
W legiony dziś się rozrósł wierszopisów szereg,
I rymy leją gładko, niby wodę z cebra,
A łatwo tak, jakby to był walc lub oberek.
Są i dziś, którzy pieśni podniósłszy chorągiew,
Niepamiętni światowych złoceń i usierścień,
W leśnej gąszczy słuchają śpiewu makolągiew,
Szukając, gdzie natchnienia czarodziejski pierścień.
Chwała wam, o pieśniarze, bólu wychowańce,
Co bój toczycie z tłumem ciemnoty dziwożon
I znajdujecie w liliach jak i krew sielance:
Przed wami czcią przepełnion stoję i ukorzon.
Ale więcej jest takich, co jakoby chrząszcze
Brzęczą — rymy odwieczne przebrzmiałych kantylen.
Bo mi już przerąbano oddawna te gąszcze,
Gdzie nad majakiem pieśni dzisiaj płacze sylen.

VI.

Nie lubię rzeczy łatwych. Lubię łamać granit,
Lubię słuchać, jak szumią Oceanów larga,
Jak płaczą nad Tytanem chóry Oceanid,

Gdy Jowisz się nad nimi piorunami jarga.
Więc innej szukam drogi. Może pieśń upiększy
Rym, jaki nam gęślarze zostawili dzicy —
Pierwotny—lub ów pieśniarz najprostszy, największy,
Wojciech Święty, co śpiewał o Bogarodzicy.
Albo śpiewać, jak niegdyś Imćpan Rey z Nagłowic,
Co nie znał rymów złotych, ani dźwięcznych cytar,
Lecz duszę miał czującą i wzrok, jak ostrowidz,
I jędrnych słów na gładkość cukrzoną nie wytarł.
Lub dziwną stworzyć mowę: ni to wiersz ni proza —
I aby w tajemniczych prozy tej orkiestrach
Płynęła przeczuciowa mgieł mistycznych groza
I drgał podziw i zapał, śmiech i płacz i przestrach.
Biały wiersz — cud nad cudy — lampa czarodziejska,
Heksametr, z ilionowych wzięty wykopalisk,
Jak pantera wygięta w skok – strofa alcejska:
Oto co dziś mnie nęci, niby wzrok odalisk.

SAMOTNOŚĆ.

Dusze ludzkie — samotnice wieczne,
Samotnice, jak planety błędne,
Każda błąka się przez drogi mleczne,
Każda toczy koło swe bezwzględne.

Samotnice, jak planety błędne,
Wzajem patrzą na się przez błękity,
Każda toczy koło swe bezwzględne,
Lecz nie zejdzie nigdy z swej orbity.

Wzajem patrzą na się przez błękity,
Wzajem tęsknią ku sobie z oddali,
Lecz nie zejdą nigdy z swej orbity,
Lecz nie pójdą wraz po jednej fali.

Wzajem tęsknią ku sobie z oddali,
Błąkając się, jak przez drogi mleczne,
Lecz nie pójdą wraz po jednej fali,
Dusze ludzkie – samotnice wieczne...

PANTUM*).

Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj,
Zapłonął w słońcu kraśny mak —
O, graj, śpiewaku młody, graj!
W błękity ulecieć, niby ptak.

Zapłonął w słońcu kraśny mak.
Złocistą falą szemrze kłos,
W błękity ulecieć, niby ptak,
Leć słyszeć tam skowronka głos!

Złosistą falą szemrze kłos,
Jak gdyby dźwięk tajemnych lir;
Leć słyszeć tam skowronka głos,
Znikł zimny grób, znikł lodów kir!

Jąk gdyby dźwięk tajemnych lir,
W przyrodzie drży weselna pieśń.

---

*) *Pantum* jest to malajska z pochodzenia forma poezyi; według Raflesa wyraz *pantum* znaczy porównanie. Polega ona na tem, że w każdej strofie dwa wiersze z poprzedniej zostają powtórzone, mianowicie drugi i czwarty powtarza się jako pierwszy i trzeci w następnej. Przytem pierwszy i trzeci pierwszej zwrotki powtarza się w ostatniej jako drugi i czwarty, co nadaje formie tej zaokrąglenie. Treść lekka, erotyczna, idyliczna, satyryczna; przytem zazwyczaj sens jest w pantumie podwójny: jest to z jednej strony jakiś opis, z drugiej—zagadnienie, albo oświadczenie miłosne z ironicznem zwątpieniem i t. p. W ten sposób w pantumie idą równolegle dwie luźno powiązane ze sobą myśli. Pieśni w tej formie układali we Francyi: Banville, Gautier, Baudelaire, Leconte de Lisle, Charles Morice i inni.

Znikł zimny grób, znikł lodów kir,
Otwarta płodna ziemi cieśń.

W przyrodzie drży weselna pieśń,—
To życia śpiew, miłości śpiew.
Otwarta płodna ziemi cieśń —
O, żyzny łanów będzie siew.

To życia śpiew, miłości śpiew.
O, graj, śpiewaku młody, graj!
O, żyzny łanów będzie siew.
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj!

O, graj, śpiewaku młody, graj!
Czy słyszysz życia nowy dech?
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj
W tysiączny chór radości ech!

Czy słyszysz życia nowy dech?
Łączy się gwar zbudzonych żądz
W tysiączny chór radości ech!
Spójrz! Gołębica leci, drżąc.

Łączy się gwar zbudzonych żądz
W szmer cichy fal, w szum cichy drzew.
Spójrz! Gołębica leci, drżąc,
Nucąc miłosny, cichy śpiew.

W szmer cichy fal, w szum cichy drzew
Słoneczny blask wlał życia ruch;
Nucąc miłosny, cichy śpiew,
Uściskiem drży gołębi puch.

Słoneczny blask wlał życia ruch
W zielone kręgi leśnych tchnień;
Uściskiem drży gołębi puch—
To życia dzień, miłości dzień.

W zielone kręgi leśnych tchnień —
O, graj, śpiewaku młody, graj!
To życia dzień, miłości dzień —
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj!

O, graj, śpiewaku młody, graj!
Pulsuje życiem ziemi głąb',
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj —
W błękity leć, w głębiny zstąp.

Pulsuje życiem ziemi głąb'
Po sfer najdalszych złoty kres —
W błękity leć, w głębiny zstąp,
Zapomnij lodów, bolów, łez!

Po sfer najdalszych złoty kres
Weselna pieśń w przyrodzie drży:
Zapomnij lodów, bolów, łez,
Stopnieją lody, oschną łzy.

Weselna pieśń w przyrodzie drży,
Stubarwną tęczą kwiecie gra —
Stopnieją lody, oschną łzy,
W promieniach zorzy zniknie mgła!

Stubarwną tęczą kwiecie gra —
O, żyzny łanów będzie siew!
W promieniach zorzy zniknie mgła —
W błękity leć i nuć swój śpiew.

O, żyzny łanów będzie siew,
Zaszumiał gaj, zaszumiał gaj!
W błękity leć i nuć swój śpiew,
O, graj, śpiewaku młody, graj!

Z „KSIĄG PROROKÓW".

Oto przemówił Bóg w płomiennym krzaku:
Mojżeszu, słuchaj, mów synom Adama!
Jam jest jedyny wasz Bóg — jam Jehowa!
Jam stworzył niebo — i gwiazdy — i morze —
Narody — lasy — jagnięta i lwice,
I wszystko zlałem w jeden świat — jedyny!

Słuchajcie! w łańcuch związałem jedyny
Duszę powszechną, co rozkwita w krzaku,
Co lilie karmi — mnoży lwy i lwice —
Z Synaju wieszczy potomkom Adama,
W piorunach wyje — wstrząsa głębią morza:
Duszę i ciało w jedność zlał Jehowa!

Jedna jest Przestrzeń — jeden Bóg Jehowa —
I Czas w Przestrzeni i Bogu jedyny!
Jedna Potęga toczy się przez morza —
Jeden sok tryska w każdym leśnym krzaku —
Jedna krew tryska w potomkach Adama —
I jedna miłość grzeje matki — lwice!

Płazy — i ptaki niebieskie — i lwice
Z nikczemnych wywiódł robaków Jehowa
I najwyższego z robaków, Adama,
Na szczyt postawił: był to duch jedyny,
Co czytał Boga w płomienistym krzaku —
W purpurze słońca — i błękitach morza.

I wszystkie Czasu i Przestrzeni morza,
Rozanielenia dusz i ciała lwice,
I kwiaty dziejów na Przyrody krzaku,
Jako atomy jaźni swej — Jehowa
Rozlał z Eterów jedności jedynej
I rzucił w oczy zdziwione Adama.

Słuchajcież, syny zdziwione Adama,
Kochajcie duszę eterów i morza,

I baczcie, jako w jedności jedynej
W Edenie żyły jagnięta i lwice:
Tę jedność stworzyć każe wam Jehowa,
I to wam rzecze w płomienistym krzaku.

W płomiennym krzaku — tak synom Adama
Mówił Jehowa! I milczały morza —
Milczały lwice. — Mówił Bóg Jedyny.

Jeden jestAllah, jeden jego Prorok.
Więc, gdy okryty skórami wielbłąda
Samotny dumał śród arabskiej puszczy,
Allah zawołał na niego z niebiosów:
Idź, mój proroku, i nauczaj ludy,
Najwyższem prawem bytu jest: Konieczność!

Nad wszystkiem włada niezmienna Konieczność.
Ostatni żebrak, czy najwyższy prorok,
Czy król, co włada nad mnogimi ludy,
Nie więcej mogą od psa lub wielbłąda
Wobec potęgi, co płynie z niebiosów
Ku ludnym miastom lub arabskiej puszczy.

Ani na morzu — w lesie — ni na puszczy —
Nie ujdziesz doli, którą ci Konieczność
Wyrokiem wiecznym nasyła z niebiosów.
Bez jej nakazu nie zrodzi się prorok,
Ni płakać będziesz swojego wielbłąda,
Ani do boju wstaną srogie ludy.

Gwiazdy — i stada bydlęce — i ludy,
Które żeglują po morzach lub w puszczy
Śmiało wędrują na grzbiecie wielbłąda,
Mają nad sobą niezłomną Konieczność.
I żaden król ich — ani żaden prorok —
Nie zdoła zmienić wyroku niebiosów!

Niepokonaną jest wola niebiosów!
Niechaj się przed nią upokorzą ludy:
Z niej to się rodzi nieśmiertelny prorok!
Każdą łzę ludzką, każdą palmę w puszczy —
Jako w rachunku cyfry — tak Konieczność
Zna — i oblicza każdy krok wielbłąda.

Przetoż, wędrując na grzbiecie wielbłąda,
Nie bacz, czy wicher huczy od niebiosów;
Bo, gdy tak każe niezłomna Konieczność,
Włos ci nie spadnie między złymi ludy,
Ani na morzu zginiesz ni śród puszczy!
Tak mówił Allah — i słuchał go Prorok.

Więc powstał Prorok — wdział skórę wielbłąda,
I z dzikiej puszczy, słysząc głos niebiosów,
Szedł między ludy — głosić im Konieczność.

Śród ludu Sakjów żył królewicz Budda
W zamku rozkoszy. Mistyczne Agama
Rwało mu duszę na pustynne dżungle.
I, choć mu obcą była nędz świadomość,
Czuł w sobie wieczny przeistoczeń rozwój,
Rozwój wszechcierpień, których kres — Nirwana.

Wszystkie mu nędze dała znać Nirwana.
Więc rzucił zamek swój królewski Budda,
Bo poznał cierpień wiekuisty rozwój
I wyzwolenia od cierpień Agama.
Tak, wszystkiej nędzy źródłem — nieświadomość!
Więc rzucił zamek — i poszedł na dżungle.

Zdusiwszy chcenie bytu, szedł na dżungle.
Poznania szukał. W sercu mu Nirwana
Poprzednich wcieleń zbudziła świadomość.
Pod cieniem figi jął rozmyślać Budda —
I oto święte zeszło weń Agama,
Jako wyzwoleń nieustanny rozwój.

Byty pcha w górę doskonaleń rozwój.
Słońca i globu formacye — i dżungle
I ludzkie duchy i boskie Agama
Wiekami idą na szczyt, gdzie Nirwana
Łamie konieczność. Prawdę poznał Budda,
Że wyzwoleniem od żądz — jest świadomość.

Najwyższą wiarą jest prawdy świadomość.
Najwyższą prawdą — wieczny duchów rozwój,
Najwyższym duchem — był na ziemi Budda!
Zduś żądze ciała. Na zielone dżungle
Idź, jako Budda. Niechaj tam Nirwana
Oświeci w tobie twe Buddi-agama.

Prawdę niech w sercu twem zbudzi Agama,
Niech ci da nędzy powszechnej świadomość
I wielką litość. Niechaj cię Nirwana
Udoskonali. Twoich przemian rozwój
Niech się zatrzyma. Idź na puste dżungle.
Z rozmyślań twoich niech się stanie Budda.

Stanie się Budda! — Stanie się Agama,
W duchy i dżungle wlewając świadomość,
Że był to rozwój — i że kres — Nirwana*).

---

*) Agama—dażenie, objawienie, poznanie, religia. Stąd Buddi-Agama — dażenie do Buddy, religia B. — Dżungle — puszcze lesiste.

FRANCISZEK NOWICKI.

Ur. 29 Stycznia 1864 r. w Krakowie.

»Poezye« (1891).

DUNAJEC.

Tak myśl młoda, nim wzniesie do polotu skrzydła,
Wpierw rozsadza cieśń piersi burzą swych zapałów,
Jak stąd potok stopionych w pieczarze kryształów,
Syn gór dziki, wylata, rwąc skalne wędzidła.

I tak młodzian, gdy goni ułud malowidła,
Nie zna przeszkód na ścieżce swoich ideałów —
Jak on pędzi spieniony, dumną siłą szałów
Przez skaliste zapory i przepaści sidła.

Gdzie tak pędzisz, gór synu? co ścigasz za młodu?
Czy ci źle u twej skalnej piersi macierzystej?
Nie wrócisz!... tam zabłądzisz w bagniska bez brodu!

Gdzie gonisz, młoda myśli, po drodze gwiaździstej?
Bramą marzeń wylatasz na świat rzeczywisty...
Wrócisz!... ach!... bez piór... cicha... i bramą zawodu.

KOSODRZEW.

Czy znacie wy pustyni tajemnicze głosy?
Szedłem przez kosodrzewu puszczę zgruchotaną
Głazami gór i śniegiem lawin pooraną,
A kosówki szumiały, bając swoje losy:

Wy! granitu ogromy, zwietrzałe kolosy!
Ciskajcie na nas złomy, falę wód zhukaną,
Zasypujcie śniegami — my idziemy ścianą
Na was zwolna, lecz ciągle — za nic ważąc ciosy.

Gdy my legniem w tym boju, tłum nizki i podły,
Z naszych prochów się zrodzą większych synów szyki,
Wielkie lasy — i będą nasz bój dalej wiodły.

I gryźć będą korzeniem waszych łon tajniki,
I szturmować wam szczyty pod naszemi godły,
Aż pogrzebią was, trupie przeszłości pomniki!

ORLICA.

Orkan ciągnie — i skrzydłem piorunowem zmiata
Górom czoła i w przpaść miota głazów deszcze;
W burzy, z łupem chwyconym w krwawych szponów kleszcze
Chmur żeglarka, orlica, przez góry przelata.

W gnieździe czeka ją rzesza piskląt nieskrzydlata,
Głodna, od wczoraj pewnie nie karmiona jeszcze.
Prędzej! za nic te wichry i gromy złowieszcze!
Naprzód! Za nic ta burza, co grzmi koniec świata!

Kraje piersią prąd wichrów — wtłacza sił ostatki —
W matki skrzydła — hej prędzej!.... już ją turnie skryły...
Poleciała!... tam gniazdo, tam jej głodne dziatki.

Jakież krzyki z jej gardła w pustyni się wzbiły!
Tam grom rozmiażdżył gniazdo z dziećmi orlej matki...
Nie słuchaj! ten krzyk ptasi lodem ścina żyły...

KOZICA.

Dziwny głos bolu, strachu, rozpaczy złowrogiej,
Biegnie w skalnych ruinach, w praświata zwalisku...
To kozica, w żelaznym oklepca uścisku,
Porusza skały jękiem śmierć wróżącej trwogi.

Wolna córa gór patrzy na łańcuch u nogi
Mętnem skazanki okiem, bez nadziei błysku,
I skargi dziwne, ludzkie, śle ku skał urwisku,
Rzekłbyś: to śpiew łabędzi po wolności drogiej.

Tam — po turniach jej stado rodzinne gdzieś goni...
Tam — swobodnym siostrzycom wiatr pieśń halną dzwoni...
Tam jej młode... bez piersi matki!... tęsknią do niej...

Coś brzmi w skalach!... To stado!... Niech stanie!... Niech czeka!
Nagle drgnęła — mgłą śmierci oko się powleka...
Tam... wynurza się z turni groźno — cień człowieka...

ŚWIERK.

Los go rzucił na skałę nieczułą a hardą,
Wśród kurhanów praczasu, wśród górskich rozłomów.
Ćwierć wieku ten świerk pośród śniegów, burz i gromów,
Prowadził bój rozpaczny o swą bytność twardą.

Gór tytany nań patrzą kamienną pogardą:
On, młodzieniec, żyjący pył, atom atomów,

Życie wszczepiać chce pośród ich martwych ogromów,
Ku słońcu dąży głową młodą, tęskną, hardą!

Darmo zimny głaz tuli w korzeni ramiona
I czepia się z rozpaczą piersi skał świerk młody —
Gniewne góry wód orkan cisnęły nań z łona.

Bój zaciekły, lecz krótki z paszczą wściekłej wody...
Trzasnął świerk... upadł... fala go zmiata spieniona...
I drzemie znowu pusty nekropol przyrody.

———

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

Ur. 24 Stycznia 1864 r. w Rokitnicy (gub. Płocka).

»Poezye« (1891); Serya druga (1893); »Wybór poezyi (1899).

ORZEŁ.

Błądząc po czarnym, spękanym granicie,
Śród skamieniałej, wygasłej natury,
Ujrzałem orła wysoko u góry,
Co skrzydła zwinął na samotnym szczycie.

Ty głupi ptaku! Wciąż marzysz o świcie...
Odpasz twe skrzydła, pożegnaj lazury,
W dole puhaczów słychać wrzask ponury,
Noc teraz włada! Bierz, co daje życie!

Orzeł zakrakał: Tam we mgle spowity
Świat twoich dolin drzemie w noc dziejową
I ty w pomroce jego gubisz ręce.

Lecz wynijdź z nizin na strzeliste szczyty,
Ujrzysz, jak niebo jaśnieje na nowo,
Pochwycisz skrzydła, wzlecisz ku jutrzence!

GENIUSZ BURZY.

Huragan, uderzywszy dłonią zawieruchy
W pierś Bałtyku, rozbudził śpiącego olbrzyma.
On dźwiga grzbiet, do ryku pierś falistą wzdyma.
Pozrywał gór nadbrzeżnych skaliste łańcuchy—

Na ląd bieży przez wyłom w ścianie ziemi kruchej.
Rybacy, głębie mierząc, pytają oczyma:
Czy już odwiecznych granic wód i lądów niema?
Niema! ryczą topole, dmą wichru podmuchy.

Wre bój, hasło natury.—Tak ludzkość uśpioną,
Ziewającą na falach sobkostwa i nudy
Budzi orkan stulecia ramieniem zawiei,

Burzą nieznanych pragnień zamąci jej łono,
Rozprzestrzeni granice cyklopimi trudy
I wydźwignie z łożyska potęgą idei!

NA WÓZKU.

Drogą bitą wózek leci,
Huczą koła, trzaska bat,
Wkoło szumi morze kwieci,
Księżyc srebrzy nocny świat.
A na wózku śród zadumy
Śni podróżny ciemne sny,
Czołem suną myśli tłumy
A łąkami suną mgły.

— Hej, koniku, leć z kopyta,
Musim jechać wiele lat!
Jeszcze długo, nim zaświta,
Jeszcze wkoło nocy świat.

Konik parska, wózek leci,
Mgieł zasłony kryją błoń.
Już światełko blado świeci,
To gospoda... Zarżał koń.
Próżno konik rży do siana
A podróżny bije w drzwi:
Nie dostaną nic do rana,
Wszak to północ—wszystko śpi.

— Hej, koniku, któż ich zbudzi?
Musim jechać wiele lat,
Nim znajdziemy żywych ludzi,
Nim powstanie ze snu świat.

Konik leci, piany ciska.
Ha, tam szumi wianek brzóz,
Łuna bije od ogniska —
Przed obozem staje wóz.
Tłum postaci w pląs pomyka,
Tłum oblany krwawą mgłą,
Biesiaduje banda dzika,
Huczą śpiewy, dzwoni szkło.

— Zostań z nami, pij ze dzbana,
My obdarli śpiący świat,
Przehulamy noc do rana
A noc potrwa wiele lat!

Hej, koniku, nie żal znoju,
Byle prędzej ujrzeć dzień,
Noc sobkostwa i rozboju
Tu posępny rzuca cień.
Blaknie trupia twarz miesiąca,
Ha, mknie wózek! trzaska bat!
Mgieł obrazy wiatr zamąca...
Taka droga—taki świat.

FRAGMENT.

Dawno nam z czoła czci wieniec spadł—
Drżącemi szeptacie usty,
Wesoło, bracia! Dziś cały świat
Szaleje w tańcu rozpusty...

Naco nam, bracia, ta dumna cześć,
Co czoło liściem ocienia?
Naco nam, bracia, czci brzemię nieść
Po stromej ścieżce spodlenia?!...

NUREK.

Szuka pereł, w toń skoczył, zwarły się fal wrota...
Tam rekin nie wytrzebi żeglarza mogiły,
Lecz on ma pierś trytona!—Wysiłkiem lwiej siły
Chwycił na dnie, wypłynął... To była garść błota!

Odetchnął... W górze słońce lśni w strumieniach złota,
On wraca na dno... Fale grzbiety nad nim zbiły...
Bój toczy z własną piersią... Palce w muł się wpiły...
Szuka... za nim śmierć pełza... Tu cmentarz żywota!

Ha, tchu znowu nie stało!... Z fali postać blada
Wypływa, chwyta oddech, bez sił się szamota...
Cóż to? Znów się zanurza w obłędzie pośpiechu?...

Rzekłbyś—to wieszcz, co wiecznie w głąb narodu spada,
A chcąc cząstkę najlepszą wydobyć z pod błota,
Wypływa—lecz jak tryton—tylko dla oddechu!—

Z „LIRYK“.

I.

Gra trąbka do boju, ach, dziwny to bój!
Huk bębnów i kotłów dolata!
Na koniach wojaków przemyka się rój!
Ach, dziwni żołnierze, ach, dziwny to bój!

Dowódca na przedzie ma lica jak maj
I śmieje się jeno do świata,
Już przebiegł raz jeden i drugi przez kraj.
Ach, dziwny dowódca, ach, dziwny to kraj!

Miast wszelkich orderów na piersi pęk róż,
Pęk bluszczów u siodła bachmata,
A sztandar ma szyty ze świtów i zórz,
Jak sen on przebiega śród łanów i zbóż!

Wybiegły dziewczyny i patrzą hen w dal
Na wojsko, jak z śpiewem przelata,
A serce im ściska tęsknota i żal...
Ach, dziwna tęsknota, ach, dziwny to żal!

II.

Od wsi do wsi idzie bieda
A przytułku któż jej nie da?
Choć ją z dworów wyszturchali,
Bieda sobie u nas chwali.

Bo chłop czeka ją przed progiem
I powita Panem Bogiem,
Ugościwszy należycie,
Ofiaruje własne życie...

Różnic w świecie jest niekiedy,
Ale nikt tak nie czci biedy,

Nikt się o nią nie postara,
Jak ta nasza chłopska wiara!

Leje deszcz, dmie zawierucha,
Bieda idąc w palce dmucha,
Moknie, ziębnie, lezie dalej,
Ale sobie u nas chwali.

III.

Tam na falach, śród szumu, w noc czarną,
Twoje oko mą gwiazdą polarną,
A gdy burza głąb serca poruszy,
Twoja dusza przystanią mej duszy.

Choć grzmi niebo i gromy swe miota
I łódź nieraz śród fal się zanurzy,
Nie złorzeczę odmętom żywota,
Nie złorzeczę ni wichrom, ni burzy!

Nie złorzeczę, że łódź ma rozbita
Już pod fali pogrąża się wiekiem,
Ach, bo serce kochając nie pyta,
Czy trwa szczęście, czy igra z człowiekiem!

IV.

Spoczynek! Spoczynek!
Już wieczór śród pól
I gasi cieniami
Słoneczny dnia ból!

Niech człowiek myśl zamknie,
Jak koncha swój kwiat,
Gdy dzieło skończone,
Gdy rzucił je w świat!

Ach, długo w mozole
Kołatał się duch,
Z mgieł dźwigał zrąb gmachów
I w metal kuł puch.

Niech teraz swe skrzydła
Układa do snu.
Sza, świecie! Spoczynku
I ciszy dać mu!

Nim znowu myśl wrząca
Ukuje słów grot
I z grotem do słońca
Rozwinie swój lot!

Z cyklu „PODZIEMIA“.

RZEKA PODZIEMNA.

Czy słyszysz tam w dali huk rzeki podziemnej?
Patrz! Ona w pieczarach ujęta,
Jak lwica, przebiega podziemia świat ciemny,
Łeb wznosi i poryk wydaje tajemny,
Chcąc przegryźć kamienne swe pęta.

Stalowe pijawki u wodnej gardzieli
Ssą żywioł, pulsują wentyle,
Ssą wody nieznanej, ukrytej topieli,
A wody wciąż rosną w swej skalnej gardzieli.
Ach, skąd ich tam bierze się tyle!

Pulsują wentyle i słychać syk pary,
Wre ciągły bój z wodnym żywiołem.

Przy blasku latarki patrz w głębię pieczary:
Czy widzisz, jak gryzie skaliste filary,
Jak krąży, jak czai się kołem?

Jak lwica, pierś wzdyma, ryknęła, szaleje,
Wre, bryzga pianami białemi.
Za chwilę, swobodna, chodniki zaleje,
Stuletnie krużganki, bogactwa, nadzieje
I szybem wybuchnie z podziemi!

Zatopi świat fabryk ta lwica, ta rzeka,
Rozpędzi tłum kupców dokoła
I rykiem ogłosi po polach zdaleka
Swobodę żywiołów z niewoli człowieka,
Co jarzmił posępne ich czoła.

NOWY CHODNIK.

W kamiennym chodniku pięć lampek się pali
I pięciu górników widnieje.
Śród ciszy przewierca opokę ząb stali
I głucho tam obuch o twardy głaz wali,
Co chwila stal pryska, dłoń mdleje.

Wtem cisza—i światła pogasły... W chodniku
Dym zawiał, zatrzęsły się ściany,
Zatrzęsły opoki i głazy od ryku,
Od ryku wybuchów w kamiennym chodniku,
Pierś dławią duszące tumany.

Po chwili śród dymu znów lampki drżą w dali,
Znów cienie tam widać człowiecze
I znowu cierpliwie świdruje ząb stali
I głucho znów obuch o twardy głaz wali,
Stal pryska, dłoń mdleje, znój ciecze.

Ty twarda opoko! O stali ty krucha!
Jak długo potrzeba kuć drogę,
By tędy przejść mogła promienna otucha
W świat grozy, gdzie mina za miną wybucha,
Gdzie losy, gdzie życie tak wrogie!

O krucha ty stali! O twarda opoko!
Ach, nieraz dłoń jeszcze omdleje,
Kuć jeszcze potrzeba daleko, głęboko,
Nim runiesz, o ludzkich praw twarda opoko,
Nim nowe cię zwalą ideje.

JÓZEF JANKOWSKI.

Ur. r. 1865 w Wiśniewie (gub. Siedlecka).

Staccato« (1892); »Rytmy i rymy« (1897); »Z seryi lirycznej« (1900).

Z „SONETÓW MAŁYCH“.

JESIENIĄ.

I.

Po morzu liści
W złotej pożodze,
Jak ci psalmiści,
Za duchem brodzę...

I co się w drodze
Innym nie iści,
To ja, złociściej
Rojąc, znachodzę.

Cudna jesieni!
Przedśmiertna zorzo!...
Nad blask promieni,
Nad wiosnę hożą
Ciebie przełożą—
Jak ja—stęsknieni.

II.

Przez obszar złoty
Cichego rżyska,
Gdzie słońce groty
Pieszczące ciska,—

Przez te siedliska
Niemej tęsknoty,
Pod twe namioty
Idę, o blizka!...

I jak po boju
Żołnierz sterany,
W twoje ramiona
Odnoszę rany,
Błogosławiona
Ciszo pokoju!...

ZE „ZWROTEK".

Pani! herby masz, tytuły —
Twoi goście i poddani,
Jak dzień długi, mówią tobie:
Jasna pani! jasnej pani!...

Więc i ja choć do tytułów
Przekonania nie mam wiele,
Tytułować będę ciebie:
Najjaśniejszy mój aniele!

*

Perłę zgubiło dziewczę swawolne,
Więc płacze rzewnie po niej,
I szuka wszędzie, i z modrych oczu
Za łezką łezkę roni.

Dziewczyno moja! to widzę, głowę
Straciłaś w tym kłopocie:
Perełki jednej szukasz maleńkiej,
A gubisz -- pereł krocie.

*

Anioła posłał Pan na ziemię,
By zbadał ocznie sam,
Czy miłość kwitnie między ludźmi
I czy jest szczęście tam.

I gdy przed Pana wrócił jasny,
Spełniwszy zleceń kres,
Bez słowa zakrył twarz skrzydłami
I spłynął w potok łez.

LEOPOLD BLUMENTAL.

(Leo Belmont).

Ur. 8 Marca 1865 r. w Warszawie.

»Rymy i rytmy«, 3 tomy (1900).

NA MARGINESIE.

Na najstraszniejszą skazano nędzę
Dumnego ducha, co w górę rwie się:
Los mnie zapisał w życiowej księdze
Na marginesie.

Gdy swym porywom chcę czynić zadość,
Coś mnie odpycha zuchwałym gestem,
Usuwa na bok i w próżnię niesie:
Tam, gdzie ból wielki, gdzie wielka radość, —
Nigdy śród tekstu, lecz zawsze jestem —
Na marginesie.

Pomnę, raz jeden żywiłem wiarę,
Że nad młodzieńców góruję rojem,
Gdy ona, uczuć biorąc ofiarę,
Słodkich mi słówek rzuciła parę, —
Lecz się rozstałem prędko z spokojem
I przy mym zwykłym stanąłem kresie:
Bo zapisała mnie w sercu swojem —
Na marginesie.

Parnas mnie wabił, szedłem pod górę,
O listku lauru marząc gorąco...
A wiem, że w skalną upadnę dziurę,
Gdzieś w zapomnienia przepaść milczącą,—
Albo mi krytyk wysmaga skórę,
Na ostrzu stalki w przyszłość poniesie
I w księgę sławy wpisze mnie drwiąco
Na marginesie.

Oto mi dola: schodzić na stronę,
Lub nieść bezpłodnie swej pracy skrzętność...
Z drzewa nadziei listki strącone,
Złamane serce, plany zniszczone,
I spopielona na nic namiętność...
Lekceważenie i obojętność,
Prześladujące w życiowym lesie...
I jedna przystań—miejsce wzgardzone
Na marginesie.

Więc będąc jeszcze woli swej panem,
Śród takiej troski przeszedłbym oto
Sam za margines życia z ochotą:
Śmierć-by mi była złem pożądanem!
Lecz samobójców grób pod parkanem...
Na całą wieczność jużbyś, grabarzu,
Kazał mi zostać przy zwykłym kresie:
Musiałbym leżeć tam na cmentarzu —
Na marginesie.

ANALIZA.

Ach, ta myśl! ach, zbójecka ta myśl
W każdą duszy szczelinę się wgryza,—
Choć najgłębszy ogarnia mnie szał,
Czuję ją — ona tuż! — analiza!

Często miłość, lub boleść, lub gniew,
Gorącemi strofami ja kreślę, —
Przecie własny nie wzrusza mnie śpiew:
Nawet sercem, ach, sercem ja myślę!

ZŁY PATRYOTA — FILISTER.

jak harfy Eolskie...
Żadne żaby tak pięknie
[nie grają, jak polskie.
„Pan Tadeusz".

Stałem długo, stałem jakby gap,
Zapatrzony... w co? — w przydrożne błoto!
Zasłuchany... w co? — w skrzeczenie żab!
Zrozpaczony... żem złym patryotą!

Nie odkryłem, aby gorszy głos
Miały żaby niemieckie od polskich,
A nadomiar — to filistra los! —
Nie słyszałem żadnych harf Eolskich!

Brzydkie błoto... brzydki żabi skrzek...
A najbrzydziej... chyba w mojej duszy!
Świat jest piękny w każdym pyłku swym:
Mickiewicza miej oczy i uszy!

ROMANS BEZ ROMANSU.

(Heksametr).

Troje siedziało nas razem, powszednią rozmową zajętych.
On się oddalił na chwilę, w pokoju zostało nas dwoje.
Z chwili tej chciałem skorzystać i zdobyć świadectwo wy-
[mowne,

Że ty kochać mnie możesz!—zręcznego użyłem fortelu:
Nie za rękę Cię wziąłem, — to byłoby nazbyt zuchwałe!
Nie rzuciłem spojrzenia, ni znaczącego wyrazu:
W domu jego okrutnych praw jego dotknąć nie chciałem!
Zresztą na straży tych praw Twe czyste sumienie czuwało...
Cóż uczyniłem nareszcie? — O, chyba, że nikt nie odgadnie:
Tylko rozmowę przerwałem, — i nagle nastało milczenie.
Wnet purpurowy rumieniec zabarwił Twą białą twarzyczkę;
Nagłem milczeniem zmieszana, spuściłaś swe oczy ku ziemi,
Boś nieświadomie poczuła, że w cichej a dziwnej tej chwili
Coś przeleciało w powietrzu tuż ponad naszemi głowami:
Amor figlarny przefrunął, i skrył się, nim mąż Twój powrócił

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Ur. 12 lutego 1865 r. w Ludzimierzu (powiat Nowotarski), w Galicyi.

»Illa« poemat (1887); »Allegorya« (1888); »Poezye« I (1891); »Poezye« II (1894); »Wybór poezyi« (1896); »Poezye« III (1898); »Poezye IV (1902).

Z PRELUDYÓW.

I.

Ku mej kołysce leciał od Tatr
O skrzydła orle otarty wiatr,
O limby, co się patrzą w urwisko —
Leciał i szumiał nad mą kołyską.

I w serce moje na zawsze wlał
Tęsknot do orlej swobody szał,
I tę zadumę limb, co się ciszą
Wielką objęte w pustce kołyszą.

II.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
Płynie okręt z kotwicą urwaną,
Wiatr go pędzi coraz dalej, dalej,
W przestrzeń pustą, chmurną, ołowianą.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
Nie do brzegu ty płyniesz, okręcie,

O podwodną gdzieś uderzysz skałę
I bez śladu przepadniesz w odmęcie.

III.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
Jeśli je piorun odrazu rozszczepi,
Niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę,
I zwolna drzewo schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwycięsko
Losy ich zmogą jedną wielką klęską,
Niż jeśli codzień po kropli im bryzną
W żyły powolną, lecz pewną trucizną.

EVVIVA L'ARTE!

Evviva l'arte! Człowiek zginąć musi —
Cóż, kto pieniędzy nie ma, jest paryasem,
Nędza porywa za gardło i dusi...
Zginąć, to zginąć, jak pies, a tymczasem,
Choć życie nasze splunięcia nie warte:
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
Nędzny filistrów naród! My artyści,
My, którym często na chleb braknie suchy,
My, do jesiennych tak podobni liści,
I tak wykrzykniem: Gdy wszystko nic warte,
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Duma naszym bogiem,
Sława nam słońcem, nam, królom bez ziemi!
Możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
Ale jak orły z skrzydły złamanemi.
Więc naprzód! Cóż jest prócz sławy coś warte?
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! W piersiach naszych płoną
Ognie przez Boga samego włożone:
Więc patrzym na tłum z głową podniesioną,
Laurów za złotą nie damy koronę,
I chociaż życie nasze nic nie warte:
Evviva l'arte!

NA KRÓLEWSKIEM JEZIORZE.

Po Królewskiem jeziorze samotny płynąłem.
Łódka, pędzona wiosłem, chyżo naprzód biegła.
Wokół lasów i urwisk pustynia rozległa,
Pode mną bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna, bezdenna woda, wiatrem kołysana,
Dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
Wpadają w nią i toną, rwąc w odmęt źrenice,
Które odtrąca twarda, prostopadła ściana.

Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
A ponade mną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
Góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem,
Pochylona, olbrzymia — Bogu z nieba schody.

W wązkim skalnym zakręcie łódź wstrzymuję: głusza...
Taka cisza, jak gdyby nie było istnienia...
Las, góry, woda, śniegi i bezbrzeż milczenia...
Czy to jezioro? Czy to moja własna dusza?

Jestemż?! Czylim w otchłanie wpłynął własnej duszy?!
Jakie góry olbrzymie... Jaki las samotny...
Jaka gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej...
A wszystko w jakiejż wielkiej pogrążone głuszy...

Dusza ludzka zjawiona w całej pełni swojej!
Nieznana mi, tajemna — — patrzę się w podziwie...

Jaka ogromna! Jaka bezdenna straszliwie!
Jak w głąb się zlewa... W niebie jak wysoko stoi

Jestże to dusza moja? ludzka? w ludzkiem ciele?
Tyle załomów, kotlin, szczytów? przestrzeń taka?!
Jestże to dusza ludzka, z tą duszą jednaka,
Która się mieści w domu, w rynku i w kościele?!

O nie! Oto zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!
Tysiąc wieków ją z warstew tysiąca tworzyło!
To dusza ludzka? ludzka? Te turnie w chmur dymie?

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy,
Duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!
Otwarta... słońcu; cicha... jak popiołów urna;
Wielka... jak świat; tajemna... jak las o północy.

Stoję przed tobą, jako przed olbrzymim tumem,
W który lękam się wstąpić— —zginę tam, przepadnę...
Mózg mój wstecz się potoczył, zmysły me bezwładne...
Milcz, na Boga! Zabiłabyś słów swoich szumem!

Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
O duszo ludzka w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzejrzana,
Mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

WIDZIADŁO.

W ponurą rozpostarte dal
Północne szumi morze,
Wśród mgły ciągnących z wichrem fal
Dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posępnych głusz, z odmętów mgły
Gdzie odpoczywa burza
I grom wśród chmur wiszący drży,
Widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal
Kolyszą mętne piany,
Wypływa rycerz, w czarną stal
Od stóp do głów skowany.

Na hełmie pęk ma czarnych piór,
Miecz mu pod ręką leży,
Płynie, jak chmura pośród chmur,
Jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg,
Dech z piersi czerpie wzdętej
I grzmi, jak burz północnych bóg,
Na mgły i wód odmęty.

Fale zawichrza rogu dźwięk
Ponury i rozległy,
Zda się, w ogromny wichry pęk
W gardło się rogu zbiegły.

Fale się mącą, przestwór drży,
Sklep nieba, zda się, runie –
On nieruchomy, płynąc, grzmi
Na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ląd cały wszerz i wzdłuż
I głębię mórz bezdenną,
I ginie, trąbiąc pośród głusz
Ponurą pieśń wojenną.

I długo jeszcze rogu dźwięk
Przez wód przelata puszcze,

I wśród mgły słychać wichrów jęk
I morze głucho pluszcze.

NA MORZU POLARNEM.

Śnieg rozciągnięty w przestrzeń pustą, nieskończoną,
Skrzy w słońcu i tysiącznym odblaskiem się mieni,
Jakby rozprysł się po nim pył z drogich kamieni,
W którym rozżarzonego skry metalu płoną.

Biały niedźwiedź powolnym, ciężkim idzie krokiem,
Błyszcząc jasno; cień za nim ciemny, długi sunie —
Idzie ku słońca świetnie odstrzelonej łunie
Od gór lodowych, widnych hen pod nieba stokiem.

Tu bliżej czyliż jodły wzrosły w śnieżnej bieli,
A miast gałęzi sople zwisły im błyszczące
Z konarów?... U stóp jodeł ludzie, patrzą w słońce,
Ale tak nieruchomi są, jakby posnęli...

To nie jodły, to maszty obmarzłe korwety,
Co pruć nie mogła ściętej w lód dokoła fali;
Ci ludzie na pokładzie nie śpią, lecz skostniali
Padli tam, zda się skórą pokryte szkielety...

Pootulane w futrach osrebrzonych szronem
Sztywne posągi, twardem dłótem śmierci kute —
Snać opuścili groźną, bezchlebną kajutę,
By patrzeć, czy lód taje pod niebem zognionem?

Cisza i spokój śmierci... Od wschodu, z ukosa,
Ogromne słońce, świecąc straszliwie jaskrawo,
Na śniegi i na okręt bucha blasków lawą
I płomienistą łunę wlecze przez niebiosa.

Z EXODUS.

(Rozdział XVII).

A onego czasu
Wyruszył był Amalek z hufcami mnogiemi
Wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego hałasu,
Izraelowi czynić wstręt w rafidzkiej ziemi.

A gdy wkroczył przez pola pyszny i zuchwały,
W miecącej ognie zbroi, na czele tysięcy:
Ziemia drżała i drzewa korony schylały,
A na ród Izraela padł przestrach jagnięcy.

Wonczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
Wybierz męże i wynijdź w pole przeciw temu;
Przez ręce moje, ręce Pana ich wygniotą,
Bo jest Pan na niebiesiech mocny, ufaj Jemu.

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze,
W ręce mojej od Boga daną laskę dzierżąc,
I mur Amalekowej mocy na szczęt zburzę,
Bo jest Pan na niebiesiech. Więc idź, Jemu wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męże,
A przez noc całą ognie świeciły z stron obu,
I chrzęst czyniły groźny ostrzone oręże,
A w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
Cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszone,
Przy grzmocie trąb ruszyły wojowników ławy
Bić mieczem o pancerze, jak młotem o bronę.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze, po oboim boku
Mając za towarzyszów Hura z Aaronem.
Stanął i spojrzał, kędy krwiożerczemu smoku
Rówien walczył Jozue żelazem czerwonem.

I podniósł Mojżesz rękę, a wraz, zbywszy męstwa,
Cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwalę,
Jak się łoś cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
Podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosy
Wiatr w tył zgina, podobny orłowi z błękitów,
Grożącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.

Ale ręce Mojżesza opadły, więc ona
Para mężów, Aaron i Hur, kamień spory
Wziąwszy, podłoży podeń i siadł, a ramiona
Oparłszy na ich barkach podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Hur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
Walczył Jozue, równen krwiożerczemu smoku,
Kitę hełmu na wichrów rozpuściwszy wolę.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych tysiącu,
I migały na zbrojach łskliwe błyskawice:
Mojżesz, jako słup biały, stał na wzgórzu w słońcu,
Topiąc w błękitnem niebie natchnione źrenice.

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
Świecącemu się słońcu, jak żar, gdy przestworza
Schną w ogniu huraganów, gdy okręty toną
I ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu
Wiszącego w obłokach i do oceanu
Grożącego burzami i podobną złotu,
Co weseli ubogie, i wodom Jordanu —

Umiłowanym wodom wielkiej świętej rzeki,
Płynącej gdzieś w odległej obiecanej ziemi,
Wśród palm sennych i cichych, chroniących od spieki,
I kwiatów woniejących woniami cudnemi.

Patrzył w twarz Pańską, skrytą, a jemu widziałną,
I drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
Wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
Czuł moc, przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak w duszy jego przez wzniesione ręce
Idzie dreszcz o kłach białych i strach krwawooki
I lęk, lodowych wężów ciskający wieńce,
W Amaleka czerwone hufce od posoki.

A nie ustały ręce Mojżesza od trudu,
Aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjacioły
Jozue, wódz zwycięski wybranego ludu,
Gnał przed sobą, jak powódź gna stepem bawoły.

WĘDROWCY.

Przez ogród idą pełen cudnych kwiatów,
Na piersi twarze zadumane kłonią,
Nie upajają się czarowną wonią,
Ani wieńcami stroją się szkarłatów.

Pojmują rozkosz barw i aromatów,
Nęci ich ona, lecz nie sięgną po nią;
Chwytają ciernie pokrwawioną dłonią
I liczą ślady bolesnych stygmatów.

A przed bramami stanąwszy ogrodu,
Rzekną: „Otośmy, zaufani w słowie,
Drogę żywota przecierpieli całą,

Wściekłego naszych żądz nie sycąc głodu —
Otocz nas nagród obiecanych chwałą,
Panie!...“ Lecz jeśli nikt im nie odpowie?...

ORZEŁ.

Spłynął wolno przez ciche powietrzne ogromy,
Usiadł na skale, złożył skrzydła ciemno-płowe,
Pierś odął, dziób podnosząc, wcisnął w barki głowę,
I siedział zadumany, wielki, nieruchomy.

Patrzył w dół, świat mu w okrąg legł u stóp widomy,
Patrzył, a jego oczy w skrach błyskawicowę
Treść całej orlej duszy miały i wymowę:
Patrzył spokojny, zimny na świata poziomy.

Tam—mógłby wulkan ziemię w nic obrócić całą,
Jemu-by jedno pióro w skrzydłach nie zadrgało —
I wiesz ty, wichroskrzydły podsłoneczny ptaku,

Siedzący tam bez ruchu na tej skale twardej,
Czegoć więcej zazdroszczę, niż twych lotów szlaku?
Oto prawa do zimnej, spokojnej pogardy!

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

Ta ściana cała ryczy, jak bawół zraniony!
Ten Chrystus tam, jak piorun, z cyklopa ramiony,
Ta trupia głowa pełna boleści i jęku,
Ten szturm klątew, rozpaczy, wściekłości i jęku,
Farba zmieniona w kamień, pędzel w dłóto, siła,
Co, zda się, góry pięścią na miał-by kruszyła:
Źrenice głuche patrzą z pod skostniałych powiek —
Wulkan to chyba z siebie wyrzucił, nie człowiek.

APOLLO.

Gdzie świat mój dawny? Gdzie muzy moje?
Gdzie Nimfy i Najady?

Przez martwe gaje, nad martwe zdroje
Nocami błądzę blady.
Moc, co budziła miłość i trwogę,
Fatum mi z rąk wydarło,
A bezsilnemu zagradza drogę
W krainę iść umarłą.
Szczęśliwe bogi, co moc straciwszy
Przybrały cieniów postać —
Lecz ja, ze wszystkich najnieszczęśliwszy,
Musiałem tutaj zostać —
I wspominając mą lutnię złotą
I łuku mego celność,
Że znicestwienia próżną tęsknotą
Przeklinam nieśmiertelność.

WSZECHMOCNY BÓG.

Wkoło mej głowy światy. Sam z siebie je tworzę,
I sam w sobie je niszczę. Nieskończoność, wieczność
Stworzyłem. Rozkazałem — i wstała konieczność,
By okuć wszechistnienie w wieczystą obrożę.

Zechcę i drzwi nicości istnieniu otworzę,
Drżą światy, mojej woli widząc obosieczność
I czując dwóch idei nieustanną sprzeczność,
Z których żadna dotychczas zwyciężyć nie może.

Lecz gdy zechcę, zwycięży ta, co niepojęta,
Od wieków trwoży światy: idea niebytu,
I tylko sam zostanę, moc nieogarnięta.

Blade cienie, posępne, nikłe mary mytu,
Kupią się niezliczoną chmurą pod me nogi:
Depcę je w mej olbrzymiej chwale — to są bogi.

CHRYSTUS I MAGDALENA.

(Do obrazu Edelfelta „Christ et Madeleine”).

Błękitne mgły pajęcze
Owiały drzewa śpiące,
Po siwych wodach tęcze
Włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
Świat owładnęło cały,
Gdy Maryi Magdalenie
Zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
Żałość ścisnęła łono —
A on szedł tam do Boga,
W dal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
Szedł biały w blaskach słońca,
A ona szepcąc: Chryste!...
Patrzała nań klęcząca.

Z „ZAMYŚLEŃ“.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
Pójdzie za moją trumną pierwszy raz mnie blizka,
Nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
Nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej łono,
Czemu się do jej oczu paląca łza wciska.
Czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zblizka,
Czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
I czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
I czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?...

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
Los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
A wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

ZACISZA.

Są te zacisza, gdzie dusza omdlewa
W jakiemś przedziwnie słodkiem upojeniu;
Gdzie plamy słońca kładą się na cieniu,
Jak złote wyspy na mórz ciemnej toni,
Gdzie czasem cicho przelatuje mewa,
Lub słowik z krzewów różanych zadzwoni.

Są te zacisza, gdzie się dwa oddechy,
Jak dwa gorące płomienie słoneczne,
Łączą ze sobą, gdzie się w gardła mleczne
Wpija pragnące usta rozpalone,
Gdzie roztapiają się w niemoc uśmiechy,
I z biódr i piersi zrywa się zasłonę.

Są pocałunki, które serca drgnienia
Tamują w piersi odetchnąć niezdolnej,
Rozkosz rozkoszy odczuwania wspólnej,
Najwyższa z wszystkich, co z śmiercią graniczy
Są nieskończone zmysłów upojenia,
Bezdnie pożądań, bezkresy słodyczy.

Są półdziecinnej natchnienia pieszczoty,
Drgnienia w powietrzu ciche i płochliwe,
Jakby z za modro-srebrnych mgieł wstydliwe,
Półwidne lice jawiło się Psychy,

Z przejrzystym różem tłumionej tęsknoty,
Z zdjętemi z jasnych błękitów uśmiechy.

Są wyszukanej rozkoszy porywy,
Wizye gwałcące naturę, męczeństwa
Przewzbranych pragnień, niesytu szaleństwa
Wśród szału żądzy okrucieństw popędy,
Jakiejś pieszczoty nieludzkiej, straszliwej,
Pożądań wściekłe spienione obłędy.

Są te zacisza, gdzie słońca promienie
Trącają kwiatów tęczowe kielichy,
A z kwiatów w przestwór zamyślony, cichy,
Woń się unosi falującym wzlotem,
Niosąca, zda się, listeczków dzwonienie,
Trąconych blasku słonecznego złotem.

Są te zacisza, skąd w modre błękity
Źrenic omdlałych spojrzenia się wznoszą,
Gdzie się upaja do sytu rozkoszą,
Wspomnień zachwytem, wyczerpań niemocą —
Gdzie całą słodycz wyssawszy z kobiety,
Przed śmierci nie drży się wstającą nocą.

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,

Zaduma polna, osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone śpiące gaje,
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach i w obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą—

Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościela dalą
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swojem złem i bolem,
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
Z ogromną skargą i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
Gwiżdżc koło niej wiatr i tańczy —
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy —
Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

GWIAZDY.

Syryuszu! Gwiazdy! Przed wieków milionem,
Gdy ziemia była wiosenną i młodą
I lśniła wiecznie kwitnącą pogodą
Pod niebem wiecznie w bezmiar rozzłoconem:

Czy nie błądziły w uroczysku onem,
Nad oceanów nieprzejrzaną wodą,
Wówczas sny, cienie z aniołów urodą,
Będące ciszą i światłem wcielonem?

Mówcie! Czy jasne te, pradawne cienie,
Oceanową zadumane głuszą,
Po wirze przemian, co się nieskończenie

Rodzą ze siebie i okwitłe głuszą:
Nie są w nas, własne straciwszy istnienie,
Błękitem nieba zadumaną duszą?...

ARTUR OPPMANN.

(OR-OT).

Ur. 14 Sierpnia 1867 r. w Warszawie.

»Poezye« (1888); »Pieśni« (1894); »Wybór poezyi« (1900).

KRONIKA MIESZCZAŃSKA.

O Malchrze Gąsce, rajcy warszawskim, o pięknej Zofce, córce Gąskowej, i o piórkosie z Francyej, historya wielce żałosna.

Lata Pańskiego 1574.

I.

Warszawski rajca, Malcher Gąska,
Kwiat *urbis*, wzrosły najwspanialej,
Sławetny ród swój wiódł ze Śląska,
Kędy się Gąski Ganse zwali.

Jak insze Niemce, Szoty, Fryzy,
Dla Polski afekt czując szczery,
Stanęły Gąski między Gizy,
Burbachy, Korby i Fukiery.

Na wzór i splendor temu światu
W dostojnych czynach dni im biegą:

Gwiazdy senatu, skabinatu
Szły z rodu Gąsków przezacnego.

Z dobrej kokoszy dobre jajco,
Znać ojce z synów animuszu:
Jest Malcher Gąska przednim rajcą
I mądrze gada na ratuszu...

II.

Szczyci się Gąska zacną sławą,
Pisać w kronikach jego dzieje;
Wskroś magdeburskie przeznał prawo
I patrycyatu przywileje.

Wysoko ważą pany rada
Wymowę Gąski szczerozłotą;
O starym Rzymie Malcher gada,
Napawa serca rzymską cnotą.

Bo w chwile dumań troska bodzie
Gąskową duszę, pełną bólu.
„*O, patria mea!* O, narodzie!
O, królu! królu! gnuśny królu!

Rozpusty żądłem duch toczony
Zali podtrzyma ojców dzieła?!"
Regnavit zasię w dobie onej
Król Zygmunt-August z krwie Jagiełła...

III.

Sławetny Gąska, *lumen* czyste
Na gród i grodu okolice,
Ma córę Zofkę, żonę Krystę
I w rynku zacną kamienicę.

Jakby złocona błyszczy klatka
Komnata każda i alkowa.

Tam rządy Krysta sprawia gładka,
Wielkiego *cordis* białogłowa.

A ona córa najmilejsza,
Dziewka w szesnastej życia wiośnie,
Codzień jaśniejsza i piękniejsza,
By cudny kwiatek, ojcom rośnie.

Jedwabiem dzierga haft bogaty,
Do wtóru lutniej śpiewa mile
I pielęgnuje wdzięczne kwiaty:
Tuliby, róże i grandile...

IV.

Na całym rynku blask się czyni,
Od pstrych materyi bolą oczy,
Kiedy z rodziną do świątyni
Pan Malcher Gąska dumnie kroczy.

Przy złotym pasie kord podzwania
W pochwiech od srebra i szkarłatu
(Karabel łyczkom prawo wzbrania,
Ale *excepto magistratu*).

Gęba czerwona, wąs sumiasty,
Szata barwista i srebrzysta!
A cóż dopiero one niewiasty!
A ona Zofka! ona Krysta!

Jakie bandele! brokatele
Na białych łonach i ramionach!
A owe kolce! a mancle!
W balasach!—w perłach!—w parangonach!...

V.

Jak właśnie *flores* na tej niwie,
Którą blask słońca grzeje złoty,

Tak ona Zofka błogo żywie
W trwałych splendorach cichej cnoty.

Ze złota kosy, z róż ma lice,
Chabrowe oczy z kruczą brewką,
Tedy się pysznią cne rodzice
Oną zbyt cudną swoją dziewką!

Ba! Zofka! słonko, Zofka ksieni!
I dla piastuny, Krzychy starej;
(Tę czarownicą *plebs* być mieni,
K'czemu zaś trudno skłonić wiary!)

Bywało, dziewka tęskni, wzdycha,
W łzach fiołki źrenic skrzą niebieściej —
O pięknych księciach stara Krzycha
Gwarzy jej cudne opowieści...

VI.

W godzinę zmierzchu uroczystą,
Radnego *mentis* foldze k'woli,
Gada pan Malcher z Zofką, z Krystą
O Hanzeatów złotej doli.

W kominie drrewka płoną krwawie,
Żywicznych szczapek syczą wiązki —
Na adamaszkiem krytej ławie
Sedet familia Malchra Gąski.

Sute ognisko blasków siatką
Patrycyuszowe złoci sprzęty —
Nadobna para (Zofka z matką)
W muzyckie brząka instrumenty.

Schnie z rozekerem bania szklanna,
Którą po dziadach Malcher chowa...
Niechże ich strzeże Święta Panna
I łaska Pana Jezusowa...

VII.

Runął szczep władców *magnificus*,
W cierniowej Zygmunt zgasł koronie -
Ze krwie francuskiej *rex Henricus*
Na Jagiellońskim zasiadł tronie.

Jako w ślad orła żerte kruki
Na łup z powietrznej lecą sfery,
Za królem z Francyej ciągną diuki —
Markizy—konty—kawalery.

Misterną szpadkę łokciem zmierzy,
Delijka kusa i opięta:
Nazbyt foremne na rycerzy
Owe gaweńskie półdyablęta!

A każdy w krygach, każdy w skokach,
A cnoty podwik zbójca prawy! —
Taki ot piórkos w lokach, fiokach
Z Krakowa zjachał do Warszawy.

VIII.

Niewstydnych uciech wielmie pragnie
Gallicki dudek on czubiasty —
Jako żarłoczny wilk na jagnię,
Tak ów pogląda na niewiasty.

Praktyki widno czarodziejskie
I zgoła sprośne czyni zbrodnie —
Rumieńcem płoną dziewki miejskie,
Gdy jedno którą ślepiem bodnie.

W obliczu słońca miesiąc ginie,
Malchrowej Zofce któraż zrówna!
Tedy twarz diuka krwią zapłynie:
„Na szpadę moją! Cud! Królówna“

I już go nęci Gąsków dziecko,
Jakbyś lubczyku dał mu ziela,
I pod dom chadza, i zdradziecko
Na piękną Zofkę okiem strzela!...

IX.

Młodziutkiej wiosny był poranek,
Wdychało miasto oddech szerszy,
Kiedy ów sprośny galski panek
Obaczył Zofkę po raz pierwszy.

Suną dziewice i matrony
W pierś balsam kwietnia brać kojący —
Ujmie się w boki rycerz ony,
Niewieścią cnotą wojujący.

Złota przepaska złotych włosów,
Modra sukienka złotem tkana —
By wid, płynący od niebiosów,
Szła Zofka biała i różana.

Śmieje się ziemia młodej wiośnie,
Nad miastem słońce lśni ogromnie —
Na diuka Zofka pojrzy skośnie
I skryje rzęsą fiołki skromne...

X.

Błąka się piórkos ów zakaty,
Raz wraz za oknem wznosi głowę —
Z poza misternej patrzą kraty
Oczęta Zofki szafirowe.

Trefiona bródka, szatki przednie,
By dzięcioł, pstrzy się kukła ona —
Niewinna Zofka czegoś blednie,
Jak właśnie gwiazdka zasmucona.

Goreje żądzą piórkos dworny,
Całunki kradłby, jak miód truteń—
Kołysze Zofkę w zmierzch wieczorny
Granie padwanów, harf i luteń.

W kunsztownych trelach pieśń zabrzmiała,
Niby w niej żal drga, tęskność niby —
Mignęła Zofki rączka biała
I spadły z okna dwa tuliby...

XI.

Famatus Malcher gada z żoną:
„Zali to Baśka? Zali dwórka?
Nie dla przybłędy kwitnie ono
Sławetnych Gąsków dumna córka!

Próżno w narzędzia brząkać strojne,
Próżno barwiczką pięknzyć lice:
Mieszczańskie dziewki za dostojne
Na galskich diuków kochanice!

Latorośl Gąsków cnego domu,
Virtute lśkniąca, jako zorza,
Nie zada Gąskom Zofka sromu,
Nie splami *cordis* ani łoża!

Mało się trwożę... Ba! nic wcale
Ową pielgrzymką nieustanną:
Dziewka, jak lelia... Ale... ale...
Pilnuj mi córy, moja panno!"

XII.

W alkierzu słonko zamigota,
Zapachnie majska w nim ponęta —
Nad kołowrotkiem główka złota,
By róża słania się podcięta.

Pył osiadł krosna, lutni słodkiej
Rzeźbiona rączka nie nastroi:

Kochanie domu, kwiatek wiotki
Len biały przędzie w izbie swojej.

Ale coś nitka się nie winie,
Ale wrzeciono coś nie furka:
Ujrzała-ż diuka w złej godzinie
Sławetnych gąsków dumna córka!

Nad kołowrotkiem główka złota
Słania się, słania, dumać rada —
Perła po perle zamigota,
Perła po perle z oczu spada...

XIII.

O, miłowania tajemnice!
O, przenajsłodsze zachwycenia!
Serce zamienia się w skarbnicę,
W anioła dziewka się zamienia!

Lelije śnieżne i srebrzyste,
Różana Eos gdy z snu wstanie,
Mniej są promienne i mniej czyste,
Niż ono pierwsze miłowanie!

Gdyś wiódł dziewicę po tem niebie,
Tyś ją na wieki czynił branką:
Za tobą pójdzie i dla ciebie
Egzulką będzie i wygnanką.

I choćbyś wzgardę zyskał w świecie,
Choć na wyklęte szedłbyś drogi,
Ona przed tobą proch zamiecie
I ucałuje twoje nogi...

XIV.

Z jękiem godzinę władzy biesa
Wybiły miejskie półzegarza —

Bezzębna Krzycha ogień krzesa
I gniewnie mruczy i wygraża.

Ponuro płonie stos czerwony,
Kłębią się z tygla gęste pary —
Splunęła Krzycha w cztery strony
I najmożniejsze robi czary.

Na nowiu rwane kipią zioła,
Warzone z kostką nietoperza —
Dyszy pierś Krzychy wyschła, goła
I rozkudłany włos się zjeża.

Czarny kot rozwarł ślep zielony,
Chyłkiem z zapiecka się wymyka —
Odczynia Krzycha urok ony
Sprośnego z Francyej czarownika.

XV.

Nie ustrzedz dziewki od kochanka.
To, co ma zginąć, wierę, zginie:
Już diuk francuski i rajczanka
W ustronnym schodzą się dziardynie.

Kwitnące grusze w dumach stoją,
W bzach słowikowie nucą w kolej —
Pry ówten łotrzyk: „Bądź ty moją!...“
A sroma Zofka: „W trunę wolej!...“

Na liściach Dyany skrzą promienie,
Biały letniczek w gąszczach świeci —
Skamla diuk galski, jako szczenię,
Na cnotę Zofki stawiąc sieci,

A jego mowie chytrość węża
Daje nadziemskiej czar słodyczy —
I zwolna miłość przezwycięża
Anielskiej Zofki srom dziewiczy...

XVI.

Wichr, by ćma wichrów, wyje wściekła
(Dyabłów i wiedźm to są konszachty) —
Sroga noc, ziejąc grozą piekła,
Pod dach zagnała miejskie wachty.

Błysły dwie gwiazdy, jak gromnicę
I znów je skryła chmur gromada —
Zbój to pod Gąsków kamienicę
Chodem się kocim, jak duch, skrada.

Na piętrze okno ktoś otworzy,
Zaskrzypnie krata na żawiesie
I szept mknie trwożny: „Skorzej... skorzej...“
I ciemna postać w górę pnie się...

Wychynie księżyc siwogłowy
I blaskiem cudną twarz upieści:
O, córo Gąsków! Gdzie liliowy
Twój kwiat?... O, pudor!!.. O, boleści!...

XVII.

W starym alkierzu lampka mała
Gdyby ze sromu gaśnie—kona;
Goreje dziewki twarz omdlała
I gęba diuka zapieniona.

Powodzią złota rozwichrzoną
Z białego łoża włos się toczy —
Rozwarte ustka... wzdęte łono...
Rwane oddechy... mętne oczy...

Srogo się piórkos rozpłomienia,
Krwie warem kipią Zofki żyły —
I jedno słychać szmer westchnienia
I jedno słychać: „Miły... miły...“

I by osika drżą oboje,
Rozkoszą skuci i wargami...
Tedy się wzdryga pióro moje,
Inkaustowemi płacząc łzami...

XVIII.

Przecz tego dachu mściwa chmura
Gromowym deszczem nie osmaga?...
W gachowych ręku Gąsków córa,
Jako gamratka, leży naga!...

Blask na pościeli śnieżnobiałej
Po dwu się ciałach mdławo słania:
Gaweński machlerz—ryś zgłodniały,
A ów kwiatuszek — senna łania.

I żrą i palą ślepia krwawe,
Jako u wilka rozognione,
I nagie stopki różowawe
I lelijowe piersi one.

I kala zbrodzień róże wonne
Jadem całunku plugawego!
I nic mu! Nic mu już nie wzbronne!
I wszystko! wszystko! jego! jego!

XIX.

Złe się po domie kręcą duchy,
Dokoła groza i ciemnoście—
Aliści szmer wstał z ciszy głuchej
I zwolna roście... roście... roście...

Ktoś drży... ktoś jęknął, ktoś się skrada...
Szparą błysk mignął, gdyby złoto—
O, gachu! gachu! Biada! biada!
O, Zofko! Zofko! co to? co to?

Frunie diuk z łoża ptasim lotem
I dziewkę klnący i kochanie —
I znagła pękną drzwi z łoskotem!
I ktoś na progu znagła stanie!

Tedy bacz: Trupie światło świecy,
W niem twarz, co zda się, krwią ma pociec,
I diuk pod oknem sinolicy
I krzyk straszliwy: „Ociec! Ociec!...“

XX.

Z Malchera Gąski dumnej skroni
Zimnego potu ciekną strugi,
A świeca gore w jednej dłoni,
A nóż niemiecki ściska w drugiej.

Gną się pod gachem dudki owe,
Malowna gęba zbyła pychy...
I wzniesie Gąska hardą głowę
I stąpa k'łożu straszny... cichy...

Na twarzy dziewki obłąkanie
Pospołu z lękiem gra widomie —
Z ojcowych źrenic łza ukanie,
Krwawa i żrąca, jako płomię.

I nad jej łożem zgiął się białem,
Nad łonem Zofki! — skarbu! — dziecka!
I błyśnie Gąska puinałem!
I krwią ocieknie stal niemiecka....

XXI.

Wrzask: Owo zgoła wrzask szatana!
Od tego wrzasku stygnie dusza!...
Chocia haniebnie rozespana,
Zrywa się wachta z pod ratusza.

Kapią pochodnie smolnym ślużem,
Z gniazda na baszcie kraczą wrony;
Z półhakiem — z dardą — z arkabuzem
Zbrojny za zbrojnym wali z brony.

Noc — dymny płomień — klątwy — zamęt,
Żacy — gamratki — pachołkowie —
Jako dyabelski autorament,
Pstre się na rynku wichrzy mrowie.

Aż mignie drabom sine lico
W groźnej kagańców jaskrawości:
Trup! Trup! Pod Gąsków kamienicą —
Dworzanin króla jegomości!...

XXII.

Srogą patrycyat zbudzon wrzawą
W swoich się domiech wielmie trwoży;
Tu owdzie światło błyśnie krwawo,
Tu owdzie okno ktoś otworzy.

Bieli się czepiec burmistrzyni,
Wójta łeb w duchnie przylgnął k'szybie:
Zali hultajstwo tumult czyni?
Zali na miasto *hostis* dybie?

Ktoś grubo drze się: „Gore! gore!"
A ktoś cieniutko: „Rata! rata!"
Baryczka wróży wojny skore,
A imć pan Strubicz koniec świata.

Zasię z pospólstwa szwiec Franciszek
Najtrafniej sekret ów odmyka:
„Owo się zjawił bazyliszek,
Jako za króla nieboszczyka!"

XXIII.

Na stare tyny Gąsków gmachu
Różane brzaski kładnie ranek;
Próżno po ziarna lecą z dachu
Srebrne gołąbki na krużganek.

Z gotyckich okien szmer pacierzy
Ponuro płynie pod niebiosa —
Wśród żółtych gromnic łzawo leży
Ona królówna złotowlosa.

Na białym czechle garść bławatków,
Na białej trunie mirtu wieńce,
Ale z gierlandy świeżych kwiatków
Już nie wyskubią ulubieńce.

Sczezły piosenki i uśmiechy
I ono słodkie miłowanie
I jedno ostał trupek cichy —
I łzy — i żałość — i płakanie...

XXIV.

Z Wawelu konie zaparskały,
Migają pióra, szpady, krezy,
A przodem sadzi drygant biały,
A na dygancie król Walezy.

Lśkni gęba nowiu złotolita
Nad starym tumem Panny Maryej —
Gaweński trefniś, jak banita,
Z onej sarmackiej gna barbaryej.

By na waletę cudny Kraków
Pod modrém niebem srebrzy mu się —
Wżdy chce purpury król Polaków
Po krwawym bracie Carolusie.

I owo bluźni: „Hej, niedźwiedzie!
O nowym radźcie niedźwiedniku! —
Niech tedy k'Francyej bies cię wiedzie,
Koronowany Sodomczyku!...“

XXV.

Z błękitu nieba kula skrawa
Miedzą—fioletem—krwią się mieni;
Świt—rynek—cechy—senat—ława,
Pień—pręgierz—butle—kat w czerwieni.

Z dobrym się kumem kum weseli,
Zalotnych podwik lśknią oczęta —
Z ratusznych ciemnic wiodą w bieli
Srebrnogłowego delinkwenta.

Z pod wiechy gędźbę wietrzyk miecie,
Z kościoła leci dzwonka granie —
Ostatnie Gąska na tym świecie
Od mnicha bierze całowanie.

Pisarz katowi znak podawa,
Motłoch rozdziawia chciwe oczy —
I głowa ścięta!—srebrna!—krwawa! —
Od pnia się toczy!... toczy!... toczy!...

XXVI.

Nie tak świat ludzkie trapią wojny,
Jako złych losów anathema —
Zaginął Gąsków ród dostojny
I po ich domie śladu niema!

Ninie nie wskrześnie żadnym cudem
Cnych potentatów złota sława! —
Jedno się błąka między ludem
Ona opowieść dumno-krwawa.

I owo duszy rymopisa
Stara trajedya widna cała:
Francuskie książe z sercem lisa
K'białej lelijce żądzą pała!

Rzymianin-ociec pierś jej mleczną
Na koral zmienia ciosem noża!...

Daj duszom zmarłych światłość wieczną,
O, boleściwa Matko Boża!...

Objaśnienia. *Piórkos*—strojniś, fircyk; *Gizy, Burbachy, Korby* i *Fukiery*—starodawne warszawskie rody mieszczańskie; *balasy*—rubiny; *palangony*— dyamenty; *ksieni*, w znaczeniu księżna; *roxeker* — gatunek wina; *Zali to Baśka*—Barbara Giżanka; *wierę*—zaprawdę; *dziardyn*—ogród; *pryrzecze*; *wolej*—raczej; *gamratka*—nierządnica; *machlerz*—oszust; *półhak, arkabuz*—broń palna; *barda*—halabarda; *brona*—brama; *duchna* — czapka nocna; *rata! rata!* —na pomoc! *tyn*—mur; *czecheł* —szata pośmiertna; *drygant* —rączy ogier; *butel*—pachołek kata; *z »pod wiechy«*—z gospody.

DEMONY.

I.

Ja go wydrę słonecznej krainie,
Nim zabłyśnie w świetlanym gwiazd wieńcu,
Będę ciało szarpała w dziecinie,
Będę ducha szarpała w młodzieńcu.
Pod naporem żarłocznych mych szponów
Wzniosłych marzeń potarga się przędza,
Ja go wydrę z słonecznych regionów—
Ja potężna! Ja wielka! Ja nędza!

Zdrój porywów olbrzymich wychłepcę
Trosk codziennych zwycięskim pochodem,
I do ziemi go wstydem przydepcę,
Ja go spodlę i złamię go głodem.
Mózg mu wyżrę i krew mu wypiję,
Tak jak pisklę w uścisku go zduszę—

I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało, i serce, i duszę!

II.

A gdy krwawej się oprze tej męce,
Pełen dumy, i wzgardy, i siły,
Ja piekielnym swym czarem go znęcę,
Wrzącą lawą napełnię mu żyły.
Ciał drgających oślepią go błyski,
Mózg płomienne rozżarzą mu słowa,
Aż go porwę w zabójcze uściski,
Ja namiętność! Ja orgii królowa!

Gdy krew młoda powodzią w nim wzbierze,
Gdy się furya w nim ocknie szalona,
On w rozżarte zamieni się zwierzę,
Opleciony w bachantek ramiona.
W piersi żądz mu ohydnych dam żmiję,
Błotem życia splugawię i skruszę —
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało, i serce, i duszę!

III.

On nie pójdzie na skalne krawędzie,
W blaskach słońca potężne snuć dzieła,
I anielskość swą zgwałci i będzie
Jako gwiazda, co w błoto runęła.
Gdy zatęskni za niebios ojczyzną,
Wąż cynizmu zadusi wspomnienia;
Ja kipiącą go zwalczę trucizną —
Ja alkohol! Ja demon zniszczenia!

Gdy wpierw zgryzot odbiorę go hydrze,
Widm czarownych gdy zwabię obliczem,
Nic go z wściekłych mych szponów nie wydrze,

Mojej grozie nie oprze się niczem.
Myśl, że ginie, w nerw każdy mu wpiję,
Rzucę w czaszkę szaleństwa katusze —
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało, i serce, i duszę!...

TRZY BOGINIE.

I.

Dwie czyściutkie zajmują komnatki
Panna Ewa i panna Rozalia —
Nad łóżkami palmy, w oknach kwiatki,
Na stoliku kart zużytych talia.
Drzemie stary kot na starym ganku,
Stare piosnki ptak staruszek śpiewa,
Zaś królują w tem starem mieszkanku
Stare panny: Rozalia i Ewa.

Przednie typy miałby z nich artysta,
Nim staruszki skryje darń mogilna:
Jedna szczupła, druga przysadzista,
Jedna smętna, druga krotofilna.
Gdy w mantyle wystroją się „modnie“,
Gdy podwiną siwe włosy w nioby,
Na ulicy ciekawi przechodnie
Podziwiają „odwieczne osoby...“

Wszystko niszczy bystra czasu fala,
Nie oszczędza najmilszego kwiatka —
Panna Ewa i panna Rozalia
Dawno przeszły Jezusowe latka.
W ciemnych grobach śpią szarmanckie chwaty,
Co duserów prawili im tyle...
Wtedy obie były jako kwiaty,
Dzisiaj obie są jako badyle.

II.

Przyjaciółką nierozłącznej pary
Jest garbata panna Domicela —
Na wotywę w trzy codzień do fary,
W trzy na sumę chodzą co niedziela.
Z miną wdzięczną i dziewiczo skromną
Siadły w ławie, co ołtarza blizka,
Każda księgę rozkłada ogromną,
Okulary każda na nos wciska.

Gdy zamilkną organy w świątyni,
Gdy ostatnie cichną księdza słowa,
Trójka panien mały spacer czyni,
Nim nadejdzie pora obiadowa.
Drepcą z pompą, ubrane od święta,
Jak przekupki językami mielą...
„Punkt o czwartej! Niech pani pamięta!
Będzie placek, panno Domicelo!...

Domicela o godzinie czwartej
Na panieński spieszy podwieczorek;
Nim zakipi kawka, wróży w karty,
Lub nowinek wysypuje worek.
Panna Ewa urząd ma kawiarki —
W filiżanki leje nektar słodki;
Niknie kawa, znikają sucharki;
I kursują staromiejskie plotki...“

III.

Choć na zbytki fundusz nie pozwala,
Trzy boginie biedy nie zaznały:
Mają w banku Ewa i Rozalia
Po rodzicach mająteczek mały.
Domicela robi sztuczne kwiatki
(Takich kwiatków poszukaj ze świecą!),
Czasem suknię skroi dla sąsiadki,
Czasem z haftu spadnie jej co nieco...

Gdy Warszawę srebrny zmrok zalewa,
„Domcia“ drepce spędzić rekreacyą:
Na Zapiecku Rozalia i Ewa
Z apetyczną czekają kolacyą.
Do kabały skłonność mają wielką,
Po kolacyi stawiają pasyansc,
Lub przy lampie z zieloną umbrelką
Staroświeckie czytają romanse.

Dawno z marzeń rozstawszy się czarem,
Od trosk wolne i światowej pychy,
W starej farze i w mieszkaniu starem
Trzy staruszki wiodą żywot cichy.
Czy świat srebrzy zima, jędza siwa,
Czy z pod śniegu pierwszy kwiat wyrasta,
Jednakowo dzień po dniu upływa
Starym pannom ze Starego Miasta...

IV.

Gdy noc letnia blaski śle wspaniałe,
Gdy w dal srebrną pierzchną dzienne gwary,
Z ganku panien na podwórko małe
Mknie śpiew czuły z tonami gitary.
Pośród murów odzywa się echem
Stara piosnka pełna melancholii...
Dwie staruszki słuchają z uśmiechem,
Uśmiech w łzy się zamienia powoli.

I wspomina Ewa i Rozalia
Pierwszych wzruszeń, pierwszych marzeń latka...
Wszystko niszczy bystra czasu fala,
Nie oszczędza najmilszego kwiatka.
I wspomina Ewa i Rozalia
Groby, które wiosna zazielenia...
Wszystko niszczy bystra czasu fala,
Tylko smętne zostawia wspomnienia.

„Domcia“ z kąta sięga w dal oczyma,
Wielki ból się w piersiach jej rozszlochał...
Ona jedna żadnych wspomnień nie ma,
Bo jej tylko nigdy nikt nie kochał.
W monotonnej, szarej przędzy życia
Nie błysnęła żadna myśl jaśniejsza —
Najbiedniejsza ona od powicia,
Do mogiły ona najbiedniejsza!...

FARA.

Wiara gada z mem sercem w cichości kościoła,
Jak z dzieckiem gwarzy matka wieczorową dobą:
„Ocknij się—i wstań duchem!“ każdy kamień woła,
„Ocknij się i wstań duchem! owo bacz: Bóg z tobą!“

Z łukowego sklepienia wionął dech przeszłości
I poruszył skrzydłami chorągwiane chwasty,
I drgnęły w sarkofagach butwiejące kości,
I jęknęły: „O Maryo!“ marmurowe Piasty!

Tęczowe światła idą z szyb ujętych w ołów
I na cichych grobowców kładną się marmurze,
Smętny anioł tęsknoty — poeta aniołów —
Rozsypał kwiaty wspomnień: serc mistyczne róże!

Złota wizya mej duszy w prawdę się zamienia,
I wskrzesa to, co zmarło, jak w czarownej baśni:
Bóg ożywił postacie z farby i z kamienia,
Do śpiących rzekłszy: „Powstań!“ jak rzekł niegdyś: „Zaśnij!“

Lśknią od złota rycerze, Panny Maryi służki,
I delij senatorskich krwawieją szarłaty,
A owdzie słodka buzia dobrej patrycyuszki,
A owdzie butny rajca: Rzymianin wąsaty!

Z kazalnicy, jak prorok, złotousty Skarga
Błyskawicą olśniewa i przeraża gromem:
„Tedy mówię, dłoń Pana mojego sercem targa,
Bom jest, jako ów strażnik nad ginącym domem!“

Woskowych świec płomienie cicho się kołyszą,
Na licach dziwnie chmurnych migając przelotem,
Owo, zda się, komety pod sklepieniem wiszą,
Ukrywając pioruny w łonie krwawo-złotem!

A cudowny Pan Jezus, ów z kacerskiej dłoni,
W dalekiej Norymberdze przez Baryczkę wzięty,
Przypomniał dzień Golgoty i dumając o niej,
Ciche z oczu przesmętnych ronić jął dyamenty.

Skrzydła anioł tęsknoty roztoczył nade mną
I otom poczuł w sobie natchnienie od Boga
I stało mi się widno, jak wprzód było ciemno,
I stanęła mi w słońcu ziemska ludów droga.

Bo, choć noc sypać mroki poczęła na ziemię,
Jak strzały przedni łucznik wypuszcza z cięciwy,
Ów na krzyżu rozpięty, w cierniowym dyademie,
Jaśniał Chrystus: cudowny — wielki — miłościwy!

BEREZYNA.

Na ogromnej, ponurej, zmartwiałej przestrzeni
Śnieżna białość z czerwienią zachodu się żeni,
Na piersi lodem pada, oślepia źrenice,
Z duszy struchlałej robi okropną martwicę.
Przejmuje śmierci dreszczem kostniejące ciało.
Gdzie spojrzeć: biało! biało! przeraźliwie biało!
Gdzie spojrzeć: śnieżna, zimna, bezbrzeżna skorupa,
Jak straszne prześcieradło olbrzymiego trupa!

Śmierć! Krąży, jak nietoperz! czołga się, jak żmija!
Jak ryś spada na pastwę, jak piorun zabija!
Wilczemi stopy chodzi lekko i zdradliwie!
Jak wściekły lew szaleje! I nie tak na niwie
Pod ostrych kos tysiącem wali się łan zboża,
Jak tnie, mrozi, tratuje śmierć: żniwiarka Boża!
Widzę ją! szczerzy zęby, wieje płachtą białą!
Skinie: wał trupów pada, jakby jedno ciało!

Któż przywołał to widmo? Na zaklęcie czyje
Kurczy się tyle piersi, tyle rąk się wije?
Tyle oczu zachodzi bielmem i warg tyle
Sinieje? Gdzież ten mocarz? gdzież ów, który w pylę,
W śniegu i krwi pogrążył młodych istnień krocie?
Milion duchów w żałobie, milion serc w tęsknocie?
Gdzie on? gdzie ów bóg wojny? orzeł walk tysiąca?
Napoleon?

Jak pochodnie pogrzebne, płomień lśni czerwony,
Na stos idą sztandary, co burzyły trony!
Na stos idą chorągwie, za sobą wiodące
Rycerzy, zapatrzonych w cesarza — i w słońce!
Na znakach bohaterskich zawieszone krzyże
Ogień, jak smok, sętnymi językami liże!
W proch obraca krwią wielką przesiąknięte szmaty —
W dali bitwa: na cześć im, jak grom, grzmią harmaty—

Sztandary Napoliońskie! Przez lądy i morza
Szły, a z nimi szła wodza promienista zorza!
Słała się droga trupów za śladem tych godeł
Od palm i skwarnych piasków do śniegów i jodeł!
Nad Tybrem, nad Adygą, nad Renem, w wąwozie
Somosierry! w płomieniach, we sławie i grozie
Szumiały, jak nadziemskie, niezwalczone ptaki,
Sztandary Napoliońskie!

On patrzy! twarz, jak marmur, zimna, nieruchoma,
Lecz jest w niej myśl: dla ducha jasna i widoma!

Czuję, co się tam dzieje pod czaszką geniusza!
Wiem: jak tygrys na smyczy, miota mu się dusza.
Rozpacza! własne ciało kąsałby on! tytan!
Lecz milczy! jak lew, w straszne samotrzaski schwytan,
Choć mu się pierś królewska od szaleństwa wzdyma,
Cichy jest: tylko jednej hańby nie przetrzyma!

Za nim sztab! marszałkowie: rot ginących wodze!
On słońce! oni lśnili jak gwiazdy w pożodze!
W płomieni złotych wstęgach, w pióropuszach dymów
Gnietli drgającą ziemię stopami olbrzymów!
Z nicości, przez błysk szabel i płomienny ołów,
Wylecieli za orłem, jak stado sokołów
I zasiedli-- genialne parobki i chłopy —
Na mieczem zbudowanych tronach Europy!

Cesarz milczy—i usta ich ścichły, zamarły —
Choć olbrzymy, lecz oni przy nim—tylko karły!
Już tam w niejedno serce straszne słowo wpada,
Niby sztylet zatruty, krwawe słowo: zdrada!
Serce burzy się, pieni pogardą i wstrętem:
Napróżno! nie im walczyć z tem słowem przeklętem!
Raz odtrącone—wróci i po trzykroć wróci,
Aż na myśl — serce — ducha swoją sieć zarzuci!

I tylko jedna postać rycerska i dumna
Będzie stać, jak kamienna, a żywa kolumna!
I tylko jedna postać wytrwa aż do zgonu:
Przy huku piorunowym ginącego tronu!
Z szablą świszczącą, w burce zwisającej z ramion,
Poleci po śmierć jasną za gwiazdą swych znamion!
A potem — duchem czystym — na błękitów progu
Stanie, by swój ostatni raport złożyć Bogu!

Ot tam szarża! Hej! lecą ogniści straceńce
Po kulę w serce, jakby po kochanki wieńce.
Wiedzą, że już nie wrócą do chat swoich... wiedzą,
Że już nie pójdą z pługiem nad rodzinną miedzą,

I więcej: czują dobrze: coś błysło, coś zgasło!
Ale ot: „Do ataku! marsz!“ wódz wydał hasło!
Koń i jeździec w dwa orły cudem się przetwarza
I gnają na harmaty, krzycząc: „Za cesarza!“

Na mostach szał! Jak straszne, niewidziane węże,
Spletli się ludzie, konie, wozy i oręże!
Wrzask, klątwy, łoskot armat, w wodę wpadających,
Rżenie rumaków, strzały, jęki konających!
Modlitwy, polecenia ostatnie do domu!
Komenda... trzask straszniejszy od krwawego gromu:
Most pęka, już się łamie... śmierci ręce mdleją—
O, przeklęta! zawodna! okrutna nadziejo!

Na śnieżnych polach wilki żerują i wrony!...
Kruk w żywem jeszcze ciele szuka krwi czerwonej
I wydziobuje oko, rozpacznie patrzące:
W dali gaśnie czerwone, zadumane słońce!
Kryje się, jakby patrzeć nie mogło, nie chciało
Na ludzi i żywiołów walkę rozszalałą.
Woli zgasnąć, już zaszło, już za lasem kona
I na równinę śmierci zapada zasłona!

A on siedzi ponury, jak noc! w jego łonie
Setne burze i setne szaleją agonie!
Milczy—i oto przed nim zwolna się wyłania
Skalisty ostrów... Wizya... on oczy zasłania,
Ale widzi... z fal morza zwolna się wynurza
Święta Helena...

STANISŁAW HŁASKO.

Ur. 20 czerwca 1868 r. w majętności Hrubin (gub. Witebska).

»Poezye« (1900).

Z WIZYI GÓRSKICH.

Ze szczytu patrzę przed się i za siebie.
Ogromne morze gór pode mną leży;
Granitów fale tkwią w bezmiernem niebie
I nikną gdzieś na bladej ziem rubieży.

I czuję w dzikim wirchów oceanie
Spokój straszliwy—ciszę zimnych głazów—
A w tym spokoju—ostatnie konanie
Dawnego życia i przeszłych obrazów.

Ziemia w łudzącym stanęła bezruchu
I roztopiła się we mgieł ogromie—
I wszelki dźwięk zaginął w moim słuchu—
Czuję milczenie w każdym skał atomie.

Bo wszechświat cały wzięła w posiadanie
Śmierć—ta niezłomna istnienia konieczność,
A w potarganych wirchów oceanie
Myśl pozostała jedna tylko—wieczność.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Ur. r. 1869 w Krakowie.

»Kazimierz Wielki« (1901), »Bolesław Śmiały« (1901).

Z POEMATU „KAZIMIERZ WIELKI“.

II.

W szkarłatach mię spowito, w złotej trumnie
i pochowano na Wawelskiej górze.
A tam sarkofag stawiono w marmurze,
gdzie z berłem i w koronie spałem dumnie;
zaś wszystkie stany w żałobnej posturze,
niejako płaczki, zwracały się ku mnie,
nade mną, nad ostatnim z rodu wznosząc lament.
Wielkość — ludowi przekazywał mój testament.

III.

I śniłem...

V.

Zaszedłem w jakieś równiny przedwieczne
bez kresu, łąki stepowe, kwieciste;
niebo nade mną rozwiło swe mleczne
drogi i gwiazdy paliło złociste;
gwiazdy poza mną szły na drogi wsteczne,

olbrzymie koła zakreśląc koliste;
a ja łąk stepem bezkreśnym w Milczenie
idę i ducha wiodę w Zapomnienie.

VI.

Już poraz gwiazdy przede mną zgasały,
nad łąką mglistą zawisła opona
chmur płowych, które nieruchome stały.
Obręczne światła, zanim które skona,
tęczowo jeszcze na gęstwie mgieł drżały,
gasnąc; — już dal je chłonie nieskończona.
Już kresy wieczne, dla dusz pastewniki,
pojące wonią ziół — już i strumyki,

VII.

których srebrzysta woda, stalo-mleczna,
wiją się, splotne tysiącznymi skręty,
w stronę, gdzie dążę, kędy Rzeka-wieczna
Zapomnień — kędy duch mój zgaśnie zjęty,
aż go Wyrocznia odrodzi słoneczna,
gdy będzie z trudów żywych wypoczęty — —

. . . .

. . . .

XXI.

„Wracaj!“ — a stałem już w łąkach Erebu,
„Powracaj!“ — a wkoło mnie kwietne pola,
„Wracaj!“ — bo oto dzień twego pogrzebu
i twojej śmierci drugiej i twa Dola
dla cię wybrana; ty twojemu niebu
wrócon! Królestwo twoje! twoja Wola!
„Powracaj!“ — i już znika dla mnie rzeka,
„Wracaj!“ — — już znikła i łąka daleka.

XXIII.

W jakichś ugorach, rozoranych polach
błąkam się znowu i wlokę spieszący

i wciąż ten słyszę głos—„powracaj!“ w polach,
w poświstach wichrów nade mną grający;
idę a trudem nogi więzgną, w bolach
gnę się, upadam a spieszę;—gorący
dech i opary duszne ziemi...
Powietrza!—Tchu!... Jakby ciasnemi

XXIV.

jestem ujęty ściany — uwięziony;
więzgną mi ręce w ruchu zesztywniałe,
z przed oczu znikły te odległe skłony
przestrzenne;—czuję się zamknięty w skałę;
w kość czolną wżarty wrąb ciężkiej korony
a w ręku berło jakoweś spróchniałe
i czuję, że je kościec, nie dłoń trzyma
i że się kruszy kość, gdy silniej ima.

XXV.

Powietrza! Tchu!—już głos zamiera we mnie;
już Echo głuche spada na twarz własną,
jeszcze gorące dechem,—w straszne ciemnie
oczy się patrzą, w pustkę czarną, ciasną; —
choć kośćmi jamę rozprzeć!—nadaremnie:
tuż nad mem ciałem kamienie tarasną
zaporą zamkły grobowe sklepienia.
Tchu! Tchu! bo spłonę szaleństwem płomienia.

XXVI.

Wtem usłyszałem jakby do grobowca
stukanie — — —
i jakby się obsuwał złom granitu;
uczułem, że się łyska wierzch pokrowca
złotemi nićmi od jakiegoś świtu;
znów woń kadzideł palonych z jałowca
i jakiś strop z gwiazdami i z błękitu — —
—W kościele byłem trup; więcem się wzdrygnął
i naraz kamień tumby ktoś podźwignął.

XXVII.

Tu, gdzie leżałem ja, w grobu pomroczy,
pochodni łuna zajrzała gorąca
i naprost oczu moich czyjeś oczy
i twarz, w wyłomie muru płomieniąca;
w zorzach się ludzi cichych kilku tłoczy;
żarem się runi twarz moja jaśniąca;--
próchno, zbutwiałe stroje, szata zgniła
nagłą purpurą ognia się paliła.

XXVIII.

I to raz zajrzy ktoś, to się odchyli;
raz buchnie światło prędsze, znów przygaśnie
i głowa czyjaś inna;—patrzą czyli
jestem,—bo imię moje szepcą właśnie;
kilku,—bo żywo słowami gwarzyli;
znów kamień ważą taranem hałaśnie.
Spadł;—oni oto naraz zmilkli, dyszą...
—Ujrzeli, jakom jest grobem i ciszą.

XXIX.

Doczesności się moje już skończyły?
Więc jużem w proch się starł i skruszył;
to jeno strzępy z szat, co złote były?
Jedwab spopielił się, w pył się rozprószył.
A czemże są wielkości, co się śniły?
z których-em państwu wił Los, świetność tuszył?
Loch grobu czarny, zgnilizna, te łuny!
Szły po mnie dreszczem podziemne pioruny.

XXX.

Ogromny łoskot słyszałem ostatni
z pod sklepów ciemnych głębokiej czeluści,
długotrwający,—ginął w piwnic klatni
a jeszcze tylko wichrem tęskno szuści...
cichnie.—Już ludzie ci, jak moi szatni,
— a niech im nagłość chwili Bóg odpuści —

jęli się zdzierać ręką szat purpury
i złotogłowu szarpać złote sznury.

XXXIII.

Stała tych ludzi półkolem gromadka;
jedni tarany dzierżą, kute młoty—
jakaś zbłąkana, bezpańska czeladka;—
inni papierów pliki, kreślą noty,
sprawdzają, biorą gromnic żar na świadka;
to ku koronie łysną; na pozłoty
wpółbiedrza... wszędy ciekawi i skrzętni,
aż ustali:—już tylko na mnie patrzą, smętni.

XLI.

Jakież ubiorki ich czarne, żałobne,
i dłonie obu rąk drżą załamane.
Czyli wysute już śpichrze zasobne;
w skarbnicach skrzynie denarów wybrane;—
jedne im oczy te łzami ozdobne,
jak perły czyste i niepokalane;
o łzy te święte, wzruszeniem płynące,
na łachman króla-płaszcz i kości schnące.

LXII.

Teraz-że pojrzę bliżej w ich oblicza,
jak ich postawy uroczyste, skromne;
że światłość na ich czołach posłannicza,
że dumy-szczerbce i jeszcze niezłomne;
że w serca szpona się wpiła zbrodnicza
zawodów, męczeństw, że klęski pogromne
wielką nad nimi zaciążyły chmurą

. . . .

XLIII.

Potem te kości moje ktoś wybierał;
podawał tym, co na kościele stali;—
lecz jakiś dziwny żal z ócz im pozierał,

tacy się czuli strwożeni, nieśmiali;
jakby mniemając, żem drugi raz umierał,
gdy mię w sosnową trumienkę chowali.
— Aż gdy mi i koronę zdjęto z czoła,
pojąłem: — —

XLIX.

Już kości leżą znów w sosnowej trumnie,
ze świeżych pni ciosanej, z boru;
już chłonę zapach, już czar powiał ku mnie
żywicy lepem i świerków koloru
jakaś majaka w oczach staje; szumnie
gałęzie zwieśne gwarzą,—jak wieczoru,
owego... Boże! czyliż go przypomnę...
gdy,— wszakci było tu — Szczęście ogromne.

LVII.

Do marmurowych ścian czarnych kaplicy,
gdzie złotem snopów grodziła się krata,
przenieśli trumnę we światłach gromnicy;
czuli, że mój nad nimi duch ulata,
że są, jak mali zranieni orlicy,
i gdy ich tak Nieszczęście wielkie brata,
poklękli, pacierz za mnie mówiąc krótki,
i wszystkie swoje w nim zawarli smutki.

LXX.

Widzę ich potem, jak do krat się cisną,
któremi byłem odgrodzon, w gościnie;
jak ciałem w nie się wpoją, jak zawisną
u zimnych bronzów rękami; — — i płynie
na mnie dech twórczy z nich; zaklęciem wskrzysną
się kości, prochy ruszą... wstaję ninie!
Duchem podnoszę się z trumnego stosu
nad łuny gorejących świec.

LXIII.

Ponosi mnie wicher w skłębionej zamieci,
już chmur się zagony piętrzące odwalą,
już piorun z nich wypadł i czeluść rozświeci,
powietrzne dziwadła piorunem się palą;
jak liściem mną burza przegania i miece
a głos mój się niesie daleki Echami:
„Do mnie, Hej do mnie! na wiekowe wiece!
Ja król nad wami! Ja Duch znowu z wami!“

LXXVI.

Pod wielką wieżą, gdzie zegary dzwonią
dawne, prastare, jękliwe godziny,
usiadłem i oparłem głowę w dłoniach;
czekam, aż wreszcie ten dzień Zorze spłonią,
w którym się wszystkie może zbiorą syny
. . . .
aż je przywiedzie hasło na równiny
podmiejskie,—aże zalegną na błoniach.

LXXXII.

Nareszcie przyszedł południem upalny,
słonecznych skwarów ów dzień.—Ludem rojno.
Sejm, jak żórawni, odprawiali walny,
gromadni, jak przed wielką jaką wojną,
na ten mój pogrzeb zszedłszy, tłum proszalny,
co mię zbiegł darzyć łez objatą hojną.
Nad miastem padło posępne milczenie.
Snuły się ludy żałobne, jak cienie,

LXXXIII.

ciche — jak owe cienie elizejskie,
już modlitwami nawet nie szemrzące,
jeno pół-usty szeptając swe wiejskie
chorały; — duchem wzniesione, marzące.
Już może władztwo widzę czarodziejskie:

czujni—już teraz tylko berłem trącę...
a ockną się na duchu przetworzeni.

. . . .

Oto już łuna stok zamku rumieni.

1. Idą posępni
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów,
a grają im dzwony
żałobne.

2. Idą posępni
a niosą korony
ozdobne,
misterne a dla nich
ciążące, jak ołów,
korony zczerniałe,
pogrobne.

3. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
a szumią, łopocą
szarfami przyczołów
chorągwie, proporce
pogrzebne.

4. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
podniebne.

5. A śpiewy nad nimi,
jak skrzydła Aniołów,
kołyszą się górne,
wróżebne.

6. A idą posępni
ze wszystkich kościołów
z cechami, wieńcami,

co kwietne, pachnące,
w tysiące były liczone.

7. I chłopy sukmanne
i pany strojone
w ponsowe żupany, delije.

8. I dziewki przekrasne,
panięta przejasne,
jaśniejsze niż białe lilije.

9. A idą żałobni,
a idą posępni
przez długie ulice podgrodne;
a idą żałobni,
a idą posępni,
choć niebo błękitem pogodne.

10. Wiatr chmury przegania,
to skrywa, odsłania
orszaki pochodne, stokrotne;

11. A cienie się wiją,
to jaśnią, to kryją,
to w biegu znikają przelotne.

12. A oni posępni
a grają im dzwony
ze wszystkich kościołów zawodne
. . . .

13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą,
Czyli kwiaty wycięte się skarżą,—
Czyli łąki i łany się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.

14. Czyli to lasów stoki się chwieją,
Czy ták wieńce jodłowe wonieją...

Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.

15. Za orszakiem,—czy to łąki szarzeją...
za orszakiem, czy to łany już gwarzą,
za orszakiem, czy to bory się chwieją,
za orszakiem, czy to lasy już idą...
czyli pszczelne roje tak brzęczą
za orszakiem—czyli ziemie tak jęczą.

16. A idą żałobne
posępne, pogrzebne
i łąki pachnące
i lasy podniebne,
wnuczęta moje pogrobne.

17. A grają im dzwony
ze wszystkich kościołów
ogromne, tętniące,
wróżebne.

. . . .
. . . .

LXXXIV.

Już stokiem wzgórza gromnic żar ofiarny
wije się rzeką świateł, co migocą;
wlókł się olbrzymi wóz, całunem czarny
wśród masztów, których chusty się szamocą;
wicher żałosny zawiewał cmentarny,
jakby w godzinę duchów przed północą.
— Tam proch królewski mój ze czcią wieziony.
W taką to chwilę ja, widmem zjawiony,

LXXXV.

Stałem się Duch, modlitew wskrzeszon cudem,
a strzęp mych szat powionął nad ich głowy,

gdym ja w koronie widmo gadał z ludem.

. . . .

. . . .

XCII.

Naród mój tak się we swą przeszłość weśnił;
Schodził we wszystkie grobowe piwnice,
z trupami się, umarłymi rówieśnił,
badał im w trzewach skonu tajemnice;
że sam w tych ciągłych łzach i płaczach pleśnił,
brózdami czoło poorał i lice
i starzał,—w coraz dalsze patrząc groby;
wzrok tężył w mroczne podcienia żałoby.

XCV.

A tacy byli skorzy, tak się rwali,
tak ich ten grób, trumny weselą;
że jakby innych radości nie znali,
tylko te, gdy cmentarze światłem ścielą;
w najświetniejsze się stroje przybierali;
miodem się, mlekiem, chlebem z trumną dzielą.
Smutni zawsze,—naraz prędsi, gospodarni,
żywi!—tak piękni byli! a cmentarni.

XCVI.

I nazywali królami tych marnych,
którzy się w własnym lubowali jęku;
co twarze przysłoniwszy w kirach czarnych,
stawali przed narodem z harfą w ręku;
serca na stołach palili ofiarnych,
durząc się dymem przy harf rzewnym brzęku;
a chodząc w kołach z lauru drzew uszczkniętych,
przyrównywali się do polskich świętych.

XCVII.

Wnętrzności rozkrawali męczennika,
wróżyli z trzew o jutra przyszłej dobie,

badali loty ptaków, bieg ponika,
gwarzyli, że się Dziecię zjawi w żłobie;
widzieli Go w postaci ogrodnika
że wstał, choć zbrojna straż przy Jego grobie.
— I żadne wróżby ich się nie spełniały
a we wróżbitów patrzał naród cały.

CIII.

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .
— rzuciłem w mówcę młot, że piersią bryznął...

Z POEMATU „BOLESŁAW ŚMIAŁY".

I.

Siedziałem — gdy to okropne zjawisko,
przed którem wszyscy przysłonili oczy,
wchodziło,—biskup,—ludu zbiegowisko;—
ciżba wylękła ich ku drzwiom się tłoczy,—
ja patrzę,— bo już miałem to przezwisko
Śmiały, — gdy cała ta procesya kroczy...
Lecz po cóż niosą chorągiew Anioła...
jakby na walkę Piekła i Kościoła?...

II.

Pochylały się chorągwie z łomotem
u wrót, nim wstały na izbie przede mną
a chyląc się, mierzały we mnie grotem
krzyżów,—iż trwogę uczułem tajemną,
gdy się Archanioł rozwijał ze złotem,
w perłach, z tą twarzą malowaną ciemno,
a skrzydła w ponsach i mieczysko kręte,
weń łyskawice gromowe zaklęte.

III.

I zaciemniała się zwolna komora;
wnosiły mrok i noc te chusty Boże,
po siwych ścianach pobielanych dwora
szły cienie jakichś postaci potworze:
lud na kolana rzuciła pokora,
a w tym ponurym pomroków wieczorze
zorze świec twarze rozświecały mnisze, —
nad niemi dymne smugi śpiew kołysze.

IV.

Nikt nie śmiał oczu podnieść, wszyscy w lęku,
i ten korowód mnichów, co przyklęka
z zapalonemi gromnicami w ręku,
i dzwony, śpiewem głuszone bez dźwięku,
i lud, któremu w żalu serce pęka;
a wszyscy klątwie rzekli: niech się stanie—
i potępiali moje królowanie.

VIII.

Co miały znaczyć łamane gromnice,
nie wiem — lecz straszne było to rzucanie;
i wstręt mnie do nich brał i błyskawice
gniewu, że ledwiem znalazł hamowanie,
by nie cisnąć w biskupa twarz mej rękawice
żelaznej — za to książe wyklinanie; — —
poszli — ostałem sam w tronowej sali;
wnątrz piersi mściwa złość wre, gorze, pali.

IX.

Ostałem sam i patrzę,—sala mroczna
i te leżące na deskach okruchy
wosku i duszność kadzideł powłoczna
w smugach,—że jakieś wijące się duchy;—
ja sam, że tak mię opuścili do czna
wszyscy. — Za dworem świszczą zawieruchy,—

brząkają w łuski rybie u okiennic,
miecą gałęźmi drzew na płatwy ścienic.

* * *

XXI.

Na skale Kościół-katedra biskupia;
kamień do różnych przyciosany garbów
biały; — — a w światłach nocy twarz się trupia
patrzała z okien wązkich i wyszczarbów;
jak gdy się włos i ubiór zeskorupia
prastary, jakby Sezam klętych skarbów:
Wid-truchło,—tak jawiła się twarz sroga
w kamieniach, które miały rysy Boga...

XXV.

Mszę sprawiał, gdy rozwarłem drzwi kościoła;
lud klęczy, — wszyscy modłami zajęci,
na ołtarz patrzą, do Bożego stoła
przystępujący; oni nas nie widzą zgoła,
tylko z ołtarza patrzą na mnie święci.
I właśnie biskup podnosił opłatek
maleńki...

XXVIII.

ale nie kreślił znaku,—stał w milczeniu,
z oczyma w jakąś straszną dal poza mną,
jakbym w tem jego nie istniał widzeniu,
przepaść otwierał straszliwą, rozłamną
pośrodku nas obydwu, – w rozdwojeniu
tem głębiąc moją duszę, jako kłamną,...
— że już leciałem na oślep przed siebie,
we krwawym wszystko nurzając pogrzebie.

XXIX.

Zabiłem..

XXXVI.

Znienawidziłem kwiecie i dźwięk pieśni;
wygnałem śpiewców, wypaliłem darnie
a Echa do mnie biegły wciąż boleśniej
szarpać mą duszę i nowe męczarnie
rosły i potężniały,—czułem pleśni
w sercu, że serce się do dźwięku garnie;
żyłem w rozłamie roztrwożonej duszy,
nasłuchujący tych Ech w wielkiej głuszy.

XXXIX.

Wszędy w mych oczach to widmo skrwawione,
gdzie pojrzę:—lecz już z kawalców zrośnięte,
z ręką na klątwę wieczną zamierzone,
straszliwe, jako Świętość okrzyknięte.— —
Jakąś północnych rozdarłem zasłonę
tajemnic,... że już wstają trupy ścięte,
w mem państwie straszne szerząc trupie rządy,
żem jest wyklęty król przez Boże-Sądy.

XL.

Miałem opuszczać kraj, z pocztem i zbrojno;
zebrać pomocnych i wrócić co rychło;
zapalić wszystkie ziemie nową wojną!
Możeby w ogniach o zbrodni przycichło!
We krwi wykąpać się kąpielą hojną.
Być królem znowu . . . .
. . . .
. . . .

LXII.

Przez gąszcz ścigają mię zwierzęta-ludzie...
Uciekam, poza sobą śmiechy słyszę, —
to cichną,—zbieram się w największym trudzie
biedz dalej,—ledwo chwast się gdzie kołysze,
wiatr zmilkł,—zwaliło mnie na drzew wykroty
a ja już z trwogą zasłuchany w ciszę,

łowiec pogłosów, co, chyższe niż groty,
gasły za wichrem, — — . . . . .

LXIII.

A już wieść chyża, żem przez psy rozwleczon,
zaginął w boru ostępach szalony;
żem był oszalał, przez wróże urzeczon,
rozpalon jedną tą żądzą korony;
żem był przez moich koniuchów zasieczon
z litości,—jako jadem zarażony;
żem ja w obłędzie, upojony winem,
w oczach dworaków znęcał się nad synem.

* * *

LXXXV.

Opowiadali to za moich czasów,
że gdzieś w Karpatach król Chrobry zaśnięty
w grotach, u wstępu do podziemnych lasów,
jego rycerstwo i on jak zaklęty,—
przy koniach, zbrojni;—że do tych tarasów
dostąpić nie śmie nikt, bo, czartem wzięty,
może skamienieć; więc, że lud się boi
i że skrzydlaty ktoś we wrotach stoi.

LXXXVI.

Upodobałem tę powieść szeptaną
na wieczornicach, o mroku, tajemną,
z nabożną wiarą w jej moc powołaną,
która rozdziera prawd zasłonę ciemną. —
Gdy się ode mnie króla odwracano
i teraz, gdym już wiedział, co nade mną,—
Tam! do nich! do tych grot mego pradziada!
tam wejść i krzyknąć: wstań! korona pada!!

LXXXVII.

Ja, który byłem żywem prawd wcieleniem
o tych rycerzach, niezwrotny, konieczny;

com zatrząsł królów całem pokoleniem,
com stał w mej Sławy blaskach, jak słoneczny;
dziś słucham baśni,... dziwnem zamyśleniem
oplótł mą duszę czar,—staję się wieczny
i myśl i zapęd mój dzisiejszej chwili
wieczyste, — — że się duch do lotu sili.

XC.

Byłem na górach, wdychałem szeroko
do pełnych piersi powietrze to halne;
tu zapomniałem był, żem krwi posoką
obryzgał ołtarz tam i sługi mszalne;
tutaj widnokrąg daleką roztoką
wierchów,—te na nich wichry borealne,—
leczył, — — tu nawet śmierć mojego syna...
Już jakby przepadł był głos, co przeklina.

XCI.

Więc przebiegałem wszerz skalne wierzchnice,
a za mną ostry wiatr ten skalny, dując;
groty przetrząsłem górskie, grot piwnice,
różne domysły z onej klechdy snując,
na wszystkie Tatrów wdarłem się turnice,
rycerzy onych śpiących upatrując. —
Jako jest długi w łańcuchu skał szaniec,
nigdzie i nigdzie od krańca po kraniec.

XCIV.

Ból przeinaczał kształty wkrąg widziane
i czynił żywe dziwo śpiące w duszy;
stawiał śród złomów zjawiska wołane
w martwych kamieniach tej pustynnej głuszy;
że się zdawało nieraz: skała ruszy,
mająca twarze, jak ludzie pospane.
Naraz ujrzałem wojsko, jak w błękitach,
słońcem czerwonem oblane po szczytach.

XCV.

Konni, w rynsztunkach ciężkich, jak w skorupach,
jak był daleki widok skalnych złomów,
w tych zorzach wszyscy, jak na zwalisk kupach,
na górach, niby rujnach zamków, domów...
Olbrzymy,—cale nie duchy wklęte w trupach;
dziw, co dał powód do baśni i pomów;
jakby po skałach w słonecznej czerwieni
żywa płynęła krew siecią strumieni.

XCVI.

W ciężarach tarcz i zbroic mchów zielonych,
dzierżący miecze szczerbione i rdzawe —
przed się godzili w ruchach zamierzonych,
goniący złudną w wichrach lotną Sławę,
że kiedym patrzył zdumiały po onych
rycerzach,—jako łzy im ciekły krwawe
z lic w złotem słońcu tem, co ciska zorze,
uczułem jako gnają gdzieś w przestworze...

XCVII.

Już nie widzący granic dla swych pędów,
że już ich oczy sięgły w przepaść ducha,
kędy dojrzały własnych dzieł - obłędów,
nierozerwalny ciąg widząc łańcucha,
którym przykuci do siodeł i rzędów
jeźdźce,— rozpędni, gdy już duch nie słucha
ręki,—że ręka pół-ruchu zmartwiała...
Tak ich na wieczny sen pojęła skała.

XCIX.

I oczym wodził po tych widowiskach,
a myśl za nimi puszczona szalała,
jak, zawieszone w pęd, stały w urwiskach,
że zda się zdolna do wyskoku skała,
aż zrozumiałem... jaka w tych zjawiskach

wielka myśl oczom się postaciowała:
ci są rycerze śpiący, co w pół-ruchu,
w polocie jeszcze cielskiem, spali w duchu.

C.

Śpiący rycerze, to ci, co bezczynni,
ci, co gnuśnieją za domem, czy doma;
ci, co jakiemiś już dziełami słynni,
już syci Sławy i już ich oskoma
nie unosi,—ci po wszystkie czasy winni,
leniwe duchy, których śmiałość chroma,
których przeklęły losy, dawszy wieńce,
i którzy są we wiechach-więzach jeńce.

CI.

Uciekać!

CVIII.

Szedł zmierzch, zapadła nas Noc w tym pół-szczycie
wiszących,—coraz się widzę samotny, —
a oni dla mnie ścielą się w błękicie,
jak widma: padół pod nimi zawrotny,
nieruchomi, jak głazy, jakby w nich już życie...
— Czar!—może jaki nas spętał sromotny:
czuję już, że i mój koń wrasta w ziemię
i że mi senność klei oczy— gnie mię.

CIX.

Przecież się zrywam, potrząsam i żywo
dobyć mieczyska, zamierzony ręką,
tej chwili w łęku zastęgłe ogniwo
czuję, przyłbica spada na twarz szczęką
żelazną,—żem więziony niemocą straszliwą,
jak głaz, — a tem okrutną męką,
że tak w pół-ruchu, miecz poły-wyjęty,
chwycony w kleszcze i w larwę zaklęty.

CX.

I już wschodzące Słońce po tej nocy
ujrzało mnie kamieniem, głazem, skałą
— — a jeszcze mi ostała myśl w niemocy...
— i widzę jak promienie ku mnie słało... —
że prawdę gwarzą ludowi prorocy,
to z przeznaczenia mię losów spotkało,
ten zapęd mój w posążnym głazie zmrożon
i archanielski Sąd nade mną grożon:

CXI.

„Ty będziesz wieczność całą w tym zapędzie
zawieszon, z mieczem gotowym do cięcia,
ty Śmiały, coś mordował Boskie sędzie,
gdy cię kościelne druzgotały klęcia;
Sądu i miecza wstrzymane orędzie,
aż cię powoła róg do wniebowzięcia:
na Sąd twój biskup dla cię zmógł cmentarze,
Jemuż Sąd Boga przeżegnać cię każe“.

MACIEJ SZUKIEWICZ.

Rodem z Galicyi.

Ur. r. 1870 w Sztokholmie.

«Poezye« (1901).

RANKIEM W MORSKIEM OKU.

I.

Jeszcze noc... lecz za chwilę dzień odemknie oczy,
Zmorzone snem powieki skrzydłem wichru przetrze,
Słonecznym pocałunkiem rozgrzeje powietrze
I nad szarym granitem przepych barw roztoczy.

Jeszcze noc... lecz na nieba spłowiałej przezroczy
Jedna za drugą gwiazdy mrą już coraz bledsze,
Mgły do skał przytulone frunęły na wietrze
I dreszcz oczekiwania przemknął wzdłuż uboczy.

Wtem jutrznia złotoroga grzbiety gór ubodła.
Krwawią się wirchy, granie, przełęcze i siodła.
W złoty szyszak się zmienił czarny kaptur Mnicha
Wpatrzonego w toń wodną, co mimo brzask ranny
Długo jeszcze w perłowej omroczy śpi cicha
Nakształt jednej, olbrzymiej szyby zwierciadlanej.

II.

Zaperliły się fale. Lekki dym oparów
Stopniał w słonecznym ogniu — w górze, hen! daleko
Kaskada, rozbryzgana w srebrnosine mleko,
Żywym opalem czarny osłoniła parów.

Coraz to głębsze cienie spływają z wiszarów
I po kryształnej toni plamami się wleką,
Drży powietrze przegrzane zawczesną dnia spieką
I błękitem nasiąkłe zmienia dzicz w kraj czarów.

Niezamącony spokój... Rzekłbyś—nad ogromem
Przemienionym w bajeczne, mistyczne zacisze,
Nieskończoność na skrzydle zwisła nieruchomem
I do serc wsącza słodkie zapomnień haszysze.
I oto już się nie jest prochem i atomem,
Lecz duchem nieśmiertelnym... Płynę w blask i ciszę.

TENEBRAE LACHRIMANTES.

Gdy zmierzch zapadnie, widuję w pomroce
Jakiś bezwonny, bezsłoneczny sad.
Drzewa w nim dziwnie smutne i sieroce
I dziwnie smutny każdy krzew i kwiat.

Jaka tam straszna pustka dróg i dróżek
I czczość powiędłych bez zerwania róż!
Ktoś przechodzący spojrzeniem je urzekł
I uschły wszystkie bezpowrotnie już.

Dzisiaj nikogo nie widać w tym sadzie,
Z każdego kąta melancholia tchnie,
Mrok coraz gęstszy na ścieżkach się kładzie
I tak mijają lata, nocy, dnie...

ODRODZENIE.

Zjawiły mi się dzisiaj me przeżyte lata —
Szły jak korowód cieniów pogrążonych we śnie.
Splamiona i podarta była na nich szata.
Smutne patrzyły na mnie długo i boleśnie.

U kolan Twoich cicho pokładły się potem,
U słodkich kolan Twoich. Tyś je brała w ręce,
A one w rękach Twoich mieniły się złotem
I odziewały w piórka i skrzydła ptaszęce

I w górę uleciały. Promienne ich lotki
Powiązały się razem w opalowe sznury
I, przerzucając pomost tęczowy i słodki,
Niebiosa z ziemią sprzęgły przez mgły i przez chmury.

Po tej skrzydlanej tęczy, zapatrzeni w siebie,
Szliśmy oboje płacząc... Świat zniknął nam z oczu,
Tylko gwiazdy i słońce płonęły na niebie
I dwie dusze błękitne w błękitnem przezroczu.

I nie był to sen tylko...

POKŁON.

Gdzieś daleko wieczorna dogorywa zorza.
Jak ona cicho kona!... Ostatnie jej tchnienie,
Jakby niedosłyszalne już błogosławienie
Kładzie się na schylone źdźbła i wiechy zboża.

Najmniejszych nigdzie szmerów ni głosów dokoła...
Bezmierna, głucha cisza... Tylko śród bezdroża
Idzie wielkością swoją zdumiona Moc Boża
I gnie w pokłon dla Siebie harde, ludzkie czoła.

ENDYMION.

Wrzosowiska pod skroń mu się kładą,
Smukłe chwieją się nad nim dziewanny,—
On niedbały ni barw ich, ni woni
Śni samotnie swój sen bezustanny.

Płoną świty różowe poranka
I złocista dopala się zorza, —
On z jednako wciąż bladem obliczem
Z kwiecistego nie może wstać łoża.

Nieraz kręgiem lecące podmuchy
Przez swawolę łaskocą go we śnie,—
On jednako bez ruchu wciąż leży
I uśmiecha się przez sen boleśnie.

Z zatajonym wciąż czeka oddechem,
Aż noc blaski miesięczne roztoczy
I na usta upadnie spragnione,
Na spragnione upadnie mu oczy.

Wtedy ręce zaplata kurczowo,
Wizyę światła na senną pierś garnie,
Sklep niebieski mu stropem alkowy,
Ślubnem łożem pachnące wkrąg darnie.

W tym napoły omdlałym uścisku
Dziwne, dziwne wstrząsają nim dreszcze—
Jakieś słońce widuje olbrzymie,
Purpurowe złaknionej krwi deszcze,

Jakieś szały w spłonionych róż wieńcu,
Niezaznane, śmiertelne pieszczoty
I w przeczuciu rozkosznych upojeń
Klnie swym więzom snu i martwoty.

I choć wieczne mu życie udziałem,
O pożodze krwi marzy wciąż we śnie, —
Leży blady na wrzosach i kwiatach
I uśmiecha się przez sen boleśnie.

FATUM.

Zbudził mię i iść kazał... Nie wiem, kto on taki —
Czasem, choć go mym oczom gęsta mgła zacienia,
Myślę, że on ogarnia gwiazd koliste szlaki
Ogromnem swojem skrzydłem z wichru i z płomienia
I że tylko on jeden dokąd zechce lata,
Dzierżąc w żelaznej dłoni zrąb całego świata.

Zbudził mię i iść kazał... Jeszcze mi pod rzęsą
Resztki snu się czaiły. Jako na wiatr zdane
Drzewa strwożonym liściem kołyszą i trzęsą,
Tak się trząsłem i oczy otwierałem szklane
I nie śmiałem go pytać, dlaczego i po co
Zbudził mię i napełnił trwogą i niemocą?

A on mię wiódł i stawił na leśnej rubieży
Śród borów nieprzejrzanych. Skały wkrąg i drzewa,
Na omszałych wykrotach wilgotny mrok leży
I żaden świeższy podmuch puszcz tych nie przewiewa
I żaden promień słońca nie wpada złociście
Przez rozpięte w dach czarny czarne, smutne liście.

„Oto ścieżki dni waszych! Krwawo tu i mroczno —
„Lecz jest w głuchym ostępie czarowna polana,
„Kędy ci, co ją znajdą, wytchną i wypoczną.
„Lecz jest góra blaskami słońca bramowana,
„A na niej dla piastunów tęsknoty i żalu
„Cudowny z tęcz i złota gród świętego Gralu“.

„Oto, com wam zgotował! lecz jeśli zobaczę,
„Że z gęstwiny na światło wychylił się który,
„Wtedy Gryfy, posłuszne mej woli siepacze,
„Cisnę na was, a łap ich żelazne pazury
„Kości wasze rozwloką i na wiatr rozsieją!“

. . . .

Tak mnie zbudził i kazał iść i iść tą knieją.

WŁADYSŁAW ORKAN

(Pseudonim).

Ur. około r. 1870 w Galicyi.

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI...

Na łąki, pola i ugory skalne
Białością spływa cisza południowa;
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,
Po drzewach wiesza ramiona upalne
I w cienie jodeł skroń gorącą chowa.
Znieruchomiały jałowce i krzewy,
Ucichły stare, szeleszczące osty,
Trawy bez szeptów rosną — zda się: czują
Tę białą ciszę idącą po ziemi...
Jeno pajęcze muszki owdzie snują
Szarą nić życia — i wiszące mosty
Na wiatr z mozolnie powikłanej przędzy
Kładąc, nie wiedzą, że jutro czy prędzej
Deszcz je zatopi może razem z niemi.

Na łąki, pola i tłoki skaliste
Płynie za ciszą spokój nieprzerwany,
Jakieś od mogił milczenie wieczyste,
Żałość błękitna, żal w niej zakochany
I dziwnie rzewne jakieś zadumanie.

Idą po ziemi i na każdym łanie
Siadają spocząć, jak spoczywa starość
Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed siebie,
Nic — jeno martwa i milcząca szarość,
Nic — jeno pustka wielka, nieskończona,
Z oczodołami utkwionymi w niebie.
Nic nie zamąci głuszy. Czasem wrona
Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci
W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słońce świeci.

Na łąki, pola i puste zagony
Płyną za białą południową ciszą
Umarłe pieśni... Ludzkie ich nie słyszą,
Nie wiedzą o nich... a przedziwne tony
Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,
Jak pieszczotliwy szept dziecka przy łożu
Umierającej matki... Gdzie dolecą,
Tam łzy, po liściach spadając, zaświecą,
I lekkie w ziemi skryją się westchnienia.
Skon południowej ciszy... Zimne drżenia
Przechodzą polem... Kołyszą się liście
Traw, i włosiste pochyla się zboże,
Jakby odczuło skądś dalekie przyjście
I włosy chciało słać pod stopy Boże...

Wśród łanów sennych i sennych ugorów,
Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej —
Jakby dalekich zaświatów zjawisko,
Nakształt mgły wiotkiej, zwiewnej, bezcielesnej,
W otęczy sino-błękitnych kolorów
Przepływającej ponad ziemią nizko —
Widnieje w słońcu przezroczyście biała
Postać Chrystusa... Ramionami swemi
Piersi przyciska, jakby z mogił wstała
I niezakrzepłe miała w sercu rany.
Jak nędzarz świata, który na tej ziemi
Nie ma i kąta, gdzieby głowę skłonił —

Tak Syn człowieczy schodzi na kurhany,
Na groby, które pył wieku osłonił,
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,
Krainę smutną brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni,
A ludzie dawno zapomnieli wiosen.
Schodzi na pustki, ugory i niże,
Z wielką białością południowej ciszy,
Z wiecznym spokojem dusz, niosących krzyże,
Z umarłą pieśnią, której nikt nie słyszy.

I po tej ziemi idzie przez pustkowie
Martwe w dal jakąś nieskończenie wielką,
Za którą leży mrok... Na złotej głowie
Łza Matki jego zastygła kropelką
I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa.
Włosy wiatr mąci... Od każdego włosa
Smugi się złote na ramionach kładą;
Bladoróżowe z nich padają zorze
Na twarz bolesną, wychudłą i bladą
I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci
Białe, na liściach rozwieszone płótno.
Oczy anielskie, z których błyszczy morze
Łez i jezioro nadludzkiej dobroci —
Patrzą w bezkresną dal bezmiernie smutno...

Rzędem jałowce zasępione siedzą
I ośniedziałe zboże się kołysze,
Gdy Syn człowieczy, znędzniały i bosy,
Wśród głuchej pustki idzie wązką miedzą.
Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:
Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,
Jak siny obłok przez powietrze leci;
Wychudła Nędza wlecze się po tłoku
I z niemą prośbą wyciąga swą szyję;
Ból się w jałowcach poza cienie kryje,
Lecz jęk zalata hen i ogień świeci,

Jak fosforyczne próchno, w jego oku.
A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce
I ręce łamie nad głową i wyje,
Jak zawierucha pól w zaduszne noce.

Za odchodzącym w dal wołają: „Chryste!"
I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,
Tam—gdzie mgławice kręcą się wieczyste,
Gdzie się poczyna Pustka nieskończona!...

LUCYAN RYDEL.

Ur. 17 maja 1870 r. w Krakowie.

»Poezye« (1902).

WIECZERZA PAŃSKA.

Był wieczór Paschy. W milczeniu głębokiem
Siedli napoju pożywać i jadła —
Wieczernik szarym napełniał się mrokiem.

Półjasność zmierzchu, mglista i wybladła,
Na stół, białymi zasłany rańtuchy,
I na ich twarze łagodne się kładła.

I cisza była; a w tej ciszy głuchej
Przez kratę okna powiew coraz rzadszy
Gnał z pól zielonych wiośniane podmuchy.

Wpośród rybitwów tych ubogich siadłszy,
Chleb w obie ręce wziął i kielich wina
I zadumany w twarze uczniów patrzy.

A w tych źrenicach Człowieczego Syna
Mistycznych brzasków grała światłość złota
I myśl ogromna jakaś i jedyna...

Z ich oczu serca patrzała prostota,
Pierwsi pić mieli z kielicha Miłości,
Pierwsi pożywać mieli Chleb Żywota,

Iż byli jako ptaki leśne — prości.

CHRYSTE, O CHRYSTE!

Z barłogu mego, z czarnych nędz otchłani,
Do Ciebie wołam z krwawym serca płaczem:
Jak ci żeglarze wichrami chłostani
I jak pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem,
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:
Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmącone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Jak ta spragniona rosy lilia wodna,
Co łodygami grzęznąc w mętnem bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste —
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie, niebo i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce;
Więc, jak ptak błędny z podartemi skrzydły,
Do nóg Twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bolem szkliste.
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie—
Znękany jestem:—w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,

Ścigałem ziemskich złud ogniki mgliste...
Słodki twych oczu spokój mnie ogarnie,
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mnie nie strząsaj z bieli szat swych śnieżnych —
Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,
Weź mnie do Siebie, bom już pójść stąd gotów:
Dość mi obłędów, które wkoło widzę,
Dość mi już własnych upadków i wzlotów...
Weź mię na ciszy łono wiekuiste,
Weź mię do siebie, bom już iść stąd gotów,
Chryste, o Chryste!

W NOC MIESIĘCZNĄ.

W błękitną, cichą noc miesięczną
Ktoś na skrzypcach gra,
Melodya płynie falą wdzięczną,
W powietrzu jasnem drga.

I brzozy stoją zasłuchane
W harmonię słodkich brzmień...
Księżyc na białą dworu ścianę
Rzuca gałązek cień.

Coraz namiętniej, rzewniej, mięcej
Rozbrzmiewa skrzypiec ton,
Jakby żałosny płacz dziewczęcy
Z dalekich leciał stron.

I brzozy w księżycowem srebrze
Rozwiały siwy włos,
Słysząc, jak żali się i żebrze
Łkających skrzypiec głos...

PRZYSTAŃ.

Jest przystań jedna spokojna i cicha,
Owiana mgłami, nakryta pomroką,
Kędy w ciemnościach żaden wiatr nie wzdycha,

Gdzie gnuśne wody, rozlane szeroko,
Nie śmią uderzać o skaliste złomy,
Co ponad martwą piętrzą się zatoką.

Na skałach siedzi Sfinks — i nieruchomy
Umarłą przystań trzyma w swojej straży
I szklistej toni bezkresne ogromy.

Woda odbija siność jego twarzy
I wielkie ciągle otwarte powieki,
W których się jakaś tajemnica waży.

Siedzi, źrenice w przestwór wbił daleki,
Jak gdyby temi krwawemi oczyma
Widział w ciemnościach mijające wieki.

Umarłą przystań w straży swojej trzyma,
Do której wiecznie płyną czarne łodzie,
Chociaż ich żagli żaden wiatr nie wzdyma.

Bez szmeru suną, bez plusku po wodzie,
Chwieją się tylko w jednostajnej mierze
I bieg ich ledwie ślizkie nurty bodzie.

Blade anioły w łodziach są przy sterze
A na pokładzie stoją smętne duchy,
Bielmem ócz trupich patrząc na wybrzeże,

Na ten ląd ciemny, skalisty i suchy,
I na twarz Sfinksa ołowiano siną,
Który się ciszy przysłuchuje głuchej.

Tak pochylone nad czarną głębiną,
Z rękoma kornie na krzyż złożonemi,
Duchów gromady coraz nowe płyną.

I zawijają pielgrzymowie niemi
Do tej zatoki nieznanego świata,
Gdzie ani dzwony pogrzebowe z ziemi,

Ni jęk żałoby ludzkiej nie dolata.

CENTAUR I KOBIETA.

Gwiazdy bledną. Powiewnym oparem nakryta
Równina w dal się ciągnie gładka, nieskończona
Aż gdzieś, kędy — jak rzeka ognisto czerwona —
Pod zielonawem niebem krwawa pręga świta.

Cisza. Nagle po rosie zagrzmiały kopyta,
Głośny jęk się rozlega i bez echa kona,
Grzbiet koński we mgle miga i białe ramiona
I płowa struga włosów na wietrze rozwita.

Ponad tą jasną głową i tem śnieżnem ciałem,
Koło którego śniade ramię się oplata,
Chyli się inna głowa ciemna i brodata:

To centaur, co kobietę w objęciu zuchwałem
Nagą, mdlejącą niesie rozhukanym cwałem —
...Nikną w mgłach... tętent cichnie...
lecą na kraj świata...

SYRENY.

Morze, zielone morze w niezmiernej przestrzeni,
A nad niem księżyc mleczny
w błękitnej przezroczy;
Świetlisty nurt za nurtem z daleka się toczy
Śnieżny pianą, iskrzący błyskami promieni...

Od czarnych skał ku niebu
wionął śpiew syreni —
Leżą na głazach, w księżyc wbiwszy łzawe oczy,
Na pierś dziewczęcą woda spada im z warkoczy,
Od bioder łuska rybia tęczowo się mieni.

Śpiewają. I pieśń leci, omdlewa i gnie się
Dziwna, smętna, cudowna, podobna ich ciałom:
Na dnie mórz urodzona w koralowym lesie...

— Nagle jedna wskazała poza skalny załom:
Żagiel, w dali,
na mętnym, srebrnym widnokresie —
Śpiewają... Żagiel płynie... płynie wprost —
ku skałom!

Z CYKLU „ŻONIE MOJEJ".

I.

Już się do snu kładzie,
Zamyka okienko,
Siądź-że ty, słowiku, w sadzie
I wyciągaj cienko.

Srebrny miesiąc świeci
Na tej białej ścianie,
Niechaj przez sen ją doleci
To twoje śpiewanie.

Z kwitnącej jabłoni
Leć na kwietną wiśnię,
    Głos twój niech jej o mnie dzwoni,
Może się jej przyśnię.

Leć na kwietną wiśnię
A z wiśni na gruszę,
    Śpiewaj, póki świt nie błyśnie,
Że mi wzięła duszę.

II.

Poszła ze mną za dom do ogródka,
Usiedliśmy na ławce pod ścianą.
Była trwożna i taka cichutka,
Kiedym patrzał w jej twarz ukochaną.

Lipa kwitła przed nami w ogródku
I pachniała drobnem kwieciem złotem...
Gdym za rękę brał ją pomalutku,
Serce we mnie waliło jak młotem.

„Chciałabyś mnie?“
    — „Myślę, żebym chciała!...“
„Wierz mi, Jadwiś, że nam dobrze będzie“.
— „Wierzę, panie!...“ A lipa słuchała
I słuchały nas kwiatki na grzędzie.

I nie kwiatki i nie lipa sama,
Całe niebo słuchało nas z góry,
I błękitna rozwarła się brama
I Bóg słuchał i anielskie chóry.

III.

Moje ty słoneczko, moje ty kochane,
Już o tobie myślę, wprzód nim rano wstanę,

Już o tobie myślę, ledwo się obudzę,
Żeś jeszcze nie moje, żeś jest jeszcze cudze.

Niejedna niedziela jeszcze minąć musi,
Zanim ciebie wezmę z domu od matusi,
Nim ci druchny przypną wianeczek u czoła,
Zanim nas posadzą po dwóch stronach stoła,
Nim tatuś nam w ręce włożą pół-bochenka,
Nim tobie u progu zaśpiewa druchenka,
Nim na pożegnanie zaśpiewają chórem
A drużbowie wdzieją czapki z pawiem piórem.

Oj Maryacka wieża wygra godzin wiele,
Zanim z tobą klęknę w Maryackim kościele,
I te żniwa przejdą i wieniec kłosiany,
Zanim nam zagrają Maryackie organy,
Nieraz się na niebie odmieni miesiączek,
Zanim my dojdziemy do ślubnych obrączek,
I niejedne zorze zagasną różowe,
Zanim tobie włożą czepeczek na głowę.

Jakże ja doczekam, jakże ja dostoję,
Żebyś ty, słoneczko, było całkiem moje.
Serce we mnie pragnie, dusza moja czeka,
Na słoneczko moje pozieram z daleka,
Z daleka pozieram, od kochania ginę,
Jechałbym do ślubu choćby za godzinę,
Leciałbym do ślubu choć boso przez ciernie,
Bo kocham nad wszystko, a wiecznie i wiernie!

IV.

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo już wyszła z komory —

Wyszła z wieńcem na głowie
Ta jedyna, kochana;

Błyszczą na niej ubiory,
Błyszczy na niej katana
W srebrne listki utkana.

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo już wyszła z komory.

Jak królewska korona
Z kwiatów złotych pleciona,
Tak wieniec na jej głowie
A z wieńca na ramiona
Biją wstążek kolory.

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo już wyszła z komory.

Niech mi teraz kto powie,
Czy jest w całym Krakowie,
Czy jest na całej ziemi
Rozkoszniejsza uroda
I z oczyma słodszemi?

Zagrajcież jej, grajkowie,
Bo idzie panna młoda!

WSTAŃ, PIEŚNI!

Wstań, pieśni, wstań z drgających strun
I dzwoń i dźwięcz;
Przez blask wieczorny złotych łun,
Przez tryumfalne łuki tęcz
Płyń w lazurową nieba toń
I dźwięcz i dzwoń.

Pod tobą w dole, w dole gdzieś,
Wśród lip i brzóz,

W zielonych sadach cicha wieś,
I świegot ptasi w gąszczach łóz
I dymy, które wiatru dech
    Gna z nizkich strzech.

Pod tobą łany chlebnych zbóż
    I wstęgi rzek,
I szafirowe tafle mórz,
I skalnych szczytów srebrny śnieg,
Pod tobą w chmurach śpiący grzmot
    I orłów lot...

O płyń przez gwiazd promienny pył
    W otchłanie sfer,
W zawrotny wir ognistych brył,
W szkarłatny odmęt krwawych skier,
W blask opalowy—leć i toń
    I dźwięcz i dzwoń!

LUDWIK BRUNER.
(JAN STEN).

Ur. 3 Marca 1871 r. w Warszawie.

»Poezye« (1899).

MORZE.

1. Południe.

W przejasną dal,
Gdzie niema nic, prócz miękkich fal,
Fal cichych, sennych fal,

Płynie mój duch,
Jak lotny puch,
Po srebrnej wód głębinie.

Utkwiwszy oczy w niebieskich chmur
Z piór białych tkany szlak,
Duch mój, marząc, się kołysze,
Jak wsłuchany w letnią ciszę

Topoli drżący liść.
I śni, że oto może iść
Za czarny złom uśpionych fal,
W błękitną, kryształową dal...

---

2. Zachód.

Schylone nad zachodem słońce gorejące
Rzuciło krwawe blaski—i nagle, czerwone
Jak miedź, spłonęły obszary wód.

Szary mrok, co na fale kładł się tryumfalnie,
W dal nieskończoną pierzchnął i za czarną
Tam horyzontu ukrył się oponą.
Łuną pożarną
Słońce zatliło słoną pianę fal
I rozsypane chmury na zenicie.
Całe przestworze,
Bezdenne głębie nieba i wód
W krwawe sztandary się otuliły,
W zorze płomienne...

I duch mój, wziąwszy skrzydła purpurowe,
Już się do lotu zrywa tam, gdzie nowe
Światło, gdzie żywa tryumfów pochodnia,
Gdzie w złotych iskrach złote słońce błyszczy,
Jak głownia zwycięstw, gasnąca wśród zgliszczy.

KIEDY SIĘ Z TOBĄ ŻEGNAM...

Kiedy się z tobą żegnam i odchodzę
Z tą głuchą pustką, co nam w sercach drzemie,
Zda mi się nieraz, żem tu, na mej drodze
Potrącił szczęście. Jak mu jest na imię,

Nie wiem, i w jakie kształty się skrysztali.
I tęsknię za niem i odchodzę dalej.
Tylko mi usta jakiś ogień pali,

Jak gdyby wyznań nierzucone słowa
Chciały na wargach rozpaczliwie szlochać,

Jak gdyby nagle zbudziła się nowa
Okrutna żądza: ocknąć się i kochać.

POWĄZKI.

Jesienny, brudny, szary zmierzch. Już kona
Ostatnia światłość dzienna. Napojona
Mrokami nocy wstaje z mogił łona
Istot umarłych rozpacz nieskończona.

I straszna pustka przez te groby idzie
W śmierci szyderczej grozie i ohydzie,
W nagich piszczeli cynicznym bezwstydzie —
Do mego serca przez te groby idzie.

Jaką nam łuną winno goreć życie,
W jakich upojeń nurzać się błękicie,
Aby rozświetlić tę noc, która skrycie

Do nas przypełza i już niedaleka
Kopie swą otchłań!... Ale nam ucieka
Życie, jak sen, choć tylko śmierć nas czeka.

ZDZISŁAW DĘBICKI.

Ur. r. 1871 w Warszawie.

»Ekstaza«, zbiór poezyi (1898); »Noce bezsenne« (1900).

Z cyklu „WIZYE“.

---

*

W srebrno-błękitną idę dal
Ponad brzegami sennych mórz,
Ukołysany graniem fal
I zasłuchany w duszę własną,
W której przeżytych echa burz,
Jak harf strzaskanych tony—gasną...

Idę samotny. Nie na bój,
Nie w nowych świtań słaby brzask,
Jeno gdzie gna mnie smutek mój —
W dal niezmierzoną, w dal bez końca,
Gdzie jest mistycznych ułud blask
I przestrzeń, pieśnią cichą drżąca...

W marzeń, w ukojeń idę kraj,
Przekląwszy płomień ślepych żądz
I krzyk walczących ludzkich zgraj
O pieniądz, co je oszalenia...

Idę—z tęsknoty wielkiej mrąc
Za białym kwiatem zapomnienia...

---

*

Przez jakieś morze wielkie, sine,
Śród huczącego grzmienia fal,
W błękitną, jasną, cichą dal
Na wątłej marzeń łodzi płynę...

Rytmiczne wioseł pluski słyszę,
I łódź mknie szybciej, niźli ptak,
A srebrnej drogi jasny szlak
Zapada za nią w sen i w ciszę...

Od wiatru żagiel się brzemienny
Wydyma silniej, silniej wciąż,
I łódź prześlizga się, jak wąż,
Po grzbietach fali śnieżnopiennej...

I na bezmiernej, wodnej toni,
Co się bez granic ciągnie — tam —
Jestem tak bardzo, bardzo sam,
I tylko smutek mój mnie goni...

I czy się słońce wzbija złote,
Czy niebo czarne jest od chmur —
Szelestem budzi mnie swych piór
I w piersi nową tchnie tęsknotę....

O, duszo moja! Próżno marzysz
I próżno w jasną przyszłość mkniesz —
Smutek dopędzi cię.. Wszak wiesz —
To nieodłączny twój towarzysz...

NAD MORZEM.

O, niezmierzony wód obszarze,
Rozkołysany szumną falą!
Twoje się piany białe palą
W zachodu krwawych łun pożarze
I rubinowe skry z nich krzesze
Wicher, co grzywy twoje czesze...

O, niezmierzony wód odmęcie!
Nad twoim brzegiem smutny stoję,
I w bezmiar idą oczy moje,
A ucho słyszy w mew lamencie
Przekleństwo losu, co mną ciska
I na przepastne gna urwiska...

I taki głuchy żal mnie chwyta,
Żem bez rodziny jest i domu
I nie mam słowa rzec nikomu, —
Że moich marzeń łódź rozbita
I że zapomnieć tej nie mogę,
Co mi, jak gwiazda, przeszła drogę...

I wiodę z sobą sam rozmowę,
A ty, ogromne, jasne morze,
Piany od słońca purpurowe,
W których zachodnie grają zorze,
Pod stopy rzucasz mi w rozgwarze,
Kiedy samotny, cichy, marzę...

I zdaje mi się, że rozumie
Twoja olbrzymia dusza moją,
Że się na jeden ton dostroją,
W jednej zatopią się zadumie,
Jeżeli oddam się twej fali,
Co się tak w słońcu krwawo pali...

ZE „SKARG".

W życiu jednego mam dziś druha:
Tęsknotę, która mnie ogarnia —
Słodka to duszy mej męczarnia,
Choć w wielki czasem żal wybucha...

Świat mię nie nęci swoim szałem,
Ostygła w żyłach mych krew wrząca
I nic spokoju mi nie zmąca,
Bo dawno łudzić się przestałem...

Myśl tylko czasem — niby we śnie,
Na cichych skrzydłach mknąc tęsknoty,
Wraca do chwili szczęścia złotej,
Choć wiem, że ona już nie wskrześnie...

*

Tobie się skarżę w cichej pieśni —
Więcej nikomu nic nie powiem...
Kiedyś... gdy dusza sen swój prześni,
Znowu się z ludzkiem zmieszam mrowiem...

Dzisiaj się tobie jednej żalę,
Że mi jest życie obojętne,
Że biernie kładę się na fale
Ciche, leniwe, beznamiętne...

Że do nieznanych brzegów płynę
I szukam próżno ukojenia,
A snując myśli pajęczynę,
Klnę bezcelowość wszechistnienia...

*

Samotność witam dziś w zachwycie, —
Królowę biednych dusz i smętnych,
W której uściskach beznamiętnych
Wraca mi spokój, zdrowie, życie...

Unikam ludzkich głosów wrzawy
I w jej objęcia idę senny
I topię smutek mój bezdenny
W jakiejś rozkoszy cichej, łzawej...

Niewysłowione mną owłada
Pod jej szeptami rozemdlenie,
W piersi mej gasną żądz płomienie
I dusza skonać-by już rada...

A kiedy wrócę znów do ludzi
Z dumań samotnych moich tumu,
Głuchą pogardę mam dla tłumu,
Co w stadnem życiu się nie nudzi...

SCEPTYCYZM.

Sceptycyzm chodzi między ludzi
I ziarna smutku sieje,
Zwątpienie gorzkie w sercach budzi,
Zabija w nich nadzieję.

Ramiona ubrał w czarną togę,
Na nogach ma sandały...
Wyszedłszy z Grecyi w długą drogę,
Świat zwolna obszedł cały.

Kiedy do mojej przybył chaty,
Do duszy wdarł się młodej —
Zrywałem w życiu jeszcze kwiaty
I z nich sączyłem miody...

W godzinę duchów, późną porą,
Wszedł do mnie o północy
I ledwie wyrzekł słów kilkoro—
Już byłem w jego mocy...

Owionął mnie wnet smutek szary,
Duszę zmroziły chłody,
Ujrzałem piołun na dnie czary,
Gdzie dotąd były miody...

I zapytałem się, dla czego
I pocom jest na świecie?
W rozpaczy odtąd dni me biegą,
Zwątpienie pierś mi gniecie...

A starzec poszedł sobie dalej,
Ubrany w czarną togę...
Gdzie stanie, ołtarz jakiś zwali
I znowu idzie w drogę...

I tak obchodzi całą ziemię
I szczęście ludzkie burzy,
Nie spocznie nigdy, nie zadrzemie
I — nigdy się nie znuży...

NOX VADIT.

I.

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

Wiatr-giermek szatę niesie zwiewną,
Z przędziwa mgły wieczornej tkaną,

Za swoją panią i królewną,
W cichy śpiew łąki zasłuchaną...

Przez mazowiecką równię senną
Noc idzie z giermkiem swoim cicha,
W dal idzie jasną i promienną,
Balsamem śpiących łąk oddycha...

II.

Idzie noc srebrna, zadumana,
Osnuta siecią mgieł pajęczą —
A przed nią boru czarna ściana,
Zamykająca świat obręczą...

A przed nią stare szumią drzewa,
Sosny srebrnieją od księżyca,
Ciepły już z dala wiatr zawiewa,
Pachnie jałowiec i żywica...

Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,
Wkoło się jodły, modląc, chwieją,
Sosny zielone chylą głowy,
Czar tajemniczy idzie knieją...

Wśród drzew się mości droga złota
I noc przechodzi cicha po niej,
A za nią idzie w mgłach tęsknota
I świerszczów chór w oddali dzwoni...

III.

Noc idzie srebrna, rzeźka, cicha,
Przez mazowiecką równię senną;
Balsamem śpiących łąk oddycha,
W dal idzie jasną i promienną...

I niesie z sobą ukojenie,
I niesie z sobą zdrój pociechy

Przez mazowieckich pól przestrzenie,
Pod mazowieckie smutne strzechy...

Idzie noc srebrna, smętnolica,
Na ukochaną patrzy ziemię,
Co przystrojona w blask księżyca
Po bólach dnia w śnie cichym drzemie...

Świerszczów jej dźwięczna gra kapela,
Z traw na nią derkacz głośno woła,
A kwitnącego morze ziela
Chyli się przed nią dookoła...

PRZEZ MGŁY JESIENNE.

Słyszysz? Jesienny deszcz o szyby dzwoni...
Dusza zapada w jakieś półomdlenie — —
Przed nią szarzeją nagich pól przestrzenie,
Mgła się podnosi z cichych jezior toni...

Po uroczyskach błądzą smutne cienie,
Wiatr zwiędłe liście po alejach goni,
Deszcz monotonnie o szyby wciąż dzwoni,
Z piersi się ciche dobywa westchnienie.

Pamiętasz? Pokój... Lampa... Stół szeroki...
Deszcz monotonnie o szyby wciąż dzwoni,
A my nad księgą—skroń blizko przy skroni,
A w sercach jasność i spokój głęboki...

BEZ BOGA.

Bez Boga duch się wlecze mój
Przeznaczeń swoich szlakiem,
Po ziemi ciągnie skrzydła swe,
Choć niegdyś bujał ptakiem...

Zwichnęła jego lotów moc
Nieznana mu potęga,
Co w nienawistne jarzmo swe
Swobodne duchy wprzęga...

Zwichnęła jego lotów moc
Bolesna tajemnica:
Że szczęście krócej stokroć trwa,
Niżeli błyskawica...

Bez Boga duch się wlecze mój
Po smutnych szlakach ziemi
I znikomości ziemskiej proch
Skrzydłami zmiata swemi...

GUARDA E PASSA!

Guarda e passa! Patrz wokoło
I obojętnie mijaj tłum,
A wchodząc w duszy własnej tum,
Do góry podnoś dumne czoło...

Guarda e passa! Wicher zmiecie,
Rozkruszy wszystko ziemskie w pył,
Wystudzi ogień twoich żył,
Rozproszy marzeń twoich kwiecie..

Guarda e passa! Wszystkie liany,
Co cię krępują z światem, rwij!
Z krynic poznania rozkosz pij,
W wszechbytu pieśni zasłuchany...

Guarda e passa! Śmierci tchnienie
Wszystko, co żyje, strąca w grób —
Jedynie z wiedzą wzniosły ślub
Da myślom moim ukojenie...

SZUMI NADE MNĄ ZWIĘDŁY LIŚĆ...

Szumi nade mną zwiędły liść,
U stóp źródlana szemrze woda —
Czy w tę, czy w ową stronę iść,
Zachodu, pracy i sił szkoda...

Czy w tę, czy w ową stronę iść,
Zawsze się zajdzie na ten kraniec,
Z którego w otchłań trzeba znijść
I oddać życie, jak skazaniec...

Darmo się w walce z losem gryźć,
Darmo rozprężać swe ramiona —
Najnędzniejszego kwiatu kiść
I najpiękniejsza róża skona...

Czy w tę, czy w ową stronę iść,
Zachodu, pracy i sił szkoda — —
Szumi nade mną zwiędły liść,
U stóp źródlana szemrze woda...

PÓJDĘ.

Pójdę, gdzie lipy teraz kwitną złote,
Tuląc zielenią białe dworu ściany,
Gdzie miesiąc moją osrebrzy tęsknotę,
A cisza zgoi niezgojone rany...

Pójdę, gdzie las mi zaszumi nad głową,
Zapachną smółki i młoda żywica,
Gdzie się rozwieje w mgłę świtu różową
Moja żałoba i moja tęsknica...

Pójdę, gdziem swojej zostawił pół-duszy,
Nim w świat poszedłem, tułacz i wędrowiec,
Pójdę do kniei domowej, gdzie w głuszy
Znam sosnę każdą i każdy jałowiec...

Gdziem kiedyś, w boru wsłuchany pacierze,
Na mchach siadywał, z głową o pień wspartą,
Pójdę, a może tam znowu uwierzę,
Że jeszcze walczyć, kochać i żyć warto...

CZARNE RÓŻE.

Czarne zakwitły róże w moim sadzie...
Na moje pola i na moje łany,
Kędy dzień chodził w słońcu rozśpiewany,
Noc pomrok kładzie...

Czarne zakwitły róże w moim sadzie...
Przesyt i Nuda wzięły mię w ramiona
I dzień mój kona
I noc się kładzie

Na moje pola i na moje łany,
Gdziem chodził szczęściem słonecznem pijany.

Czarne zakwitły róże w moim sadzie,
Chore, zwieszają ku ziemi kielichy,
A z nich wygląda Śmierci spokój cichy,
A z nich wygląda Rozpacz, co w grób kładzie...
. . . .
Czarne zakwitły róże w moim sadzie...

POWRÓT.

Tyle nie byłem lat
W tej ciszy, w tej ustroni...

Szeroki zbiegłem świat,
Lądami idąc przez bezdroża,
Wichrem przez bezdnie gnany morza,
A dziś mi w uszach dzwoni
Wieczorna cisza tej ustroni —
Kolebka pierwszych moich snów...

Wróciłem więc i jestem znów...
Tak samo świerszcz na łące dzwoni,
Tak samo kwiaty pachną wkoło,
Tylko — smutniejsze moje czoło,
Tylko — już niema moich snów...

Wróciłem więc i jestem znów
W tej ciszy, w tej ustroni,
Tak samo prószy mi na głowę
Różowy kwiat jabłoni,
Tak samo w uszach dzwoni
Ta cisza, której mowę
Z dziecinnych pomnę lat...

Szeroki zbiegłem świat — —
Wróciłem dziś i jestem znów
W tej ciszy, w tej ustroni —
Tylko już niema moich snów,
Tylko mi w rękach uwiądł kwiat
Najcudowniejszej woni —
Tylko — straciłem wiarę w życie
I płynę na rozbicie — —

. . . .

Szeroki zbiegłem świat...

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

(Selim).

Ur. w r. 1871 we wsi Święcica (pow. Sandomierski).

»Z marzeń i z życia« (1898); »Poezyi nowy zeszyt« (1901).

PRZYCHODZI CZASEM TAKI DZIEŃ...

Przychodzi czasem taki dzień,
Przychodzi, bracia moi,
Że ten uparty smutku cień,
Co przy mnie wiecznie stoi,
Olbrzymich skrzydeł swoich noc
Nad głową mą rozpostrze
I, łamiąc wszelką ducha moc,
Zatapia w sercu ostrze.

I, ach! przychodzi taki czas,
Przychodzi, siostry moje,
Że, jak łabędzie białe, wraz
Pierzchają marzeń roje.
Zostaje straszny życia grób
I nędz codziennych brzemię —
Bezdenna rozpacz do swych stóp
Powala mnie na ziemię.

Ale zabłyśnie taki dzień,
Zabłyśnie, bracia moi,

Że duch pod czarem świeżych tchnień
W nową się moc uzbroi,
Co dzisiaj we mnie pada już
I w pyle się szamota,
Ze skrzydeł swych otrząśnie kurz,
Gdy błyśnie jutrznia złota.

I, ach! nadejdzie taki czas,
Nadejdzie, siostry moje,
Że, jako burza, ścichną w nas
Te straszne ducha boje.
Co dziś wytwarza w sercach zgrzyt,
W harmonii przejdzie tchnienie,
Niech tylko znów perłowy świt
Ozłocą dnia promienie!...

LUDWIK SZCZEPAŃSKI.

Ur. 5 marca 1872 r. w Krakowie.

»Srebrne noce« (1897); »Hymny« (1898).

ROSA MYSTICA.

...Rosa mystica
Domus aurea
Porta coeli.......

Na aksamitu czarnych zwojach
Wykwita cudna biała róża:
Z chmur rozścielonych się wynurza
Świetlany blady pąk.

I zwolna słodko się rozwija,
Rozchyla pełne białe łono --
W przestrzeń, blaskami upojoną,
Miesięczny wzniósł się krąg.

* * *

Na aksamitu czarnych zwojach
Śni róża biała i promienna.
Rozkwitem odurzona, senna
Pochyla lśniący pąk -- —

W oblasków omdlewając pełni,
Otęczą się osrebrza mgliście

I osypuje blade liście
Na chmur kobierzec w krąg.

* * *

Na aksamitu czarnych zwojach
Bladością upojenia pała,
I mrze, i kona róża biała
W ekstazie słodkich mąk — —

Zgasła, rozwiała się w zamroczu —
Jeno na czarnej chmur rubieży
Opadłych liści biel się śnieży
Smugami srebrnych wstąg.

ZNUŻENIE.

Ach, gdzieś wśród łąk
bladej zieleni
W krąg
kryształowa noc się promieni!

W przestworzu drży
ocean biały.
Mgły
jasne łoże moje owiały.

W mglistych szarf
miękkiej oponie
Harf
srebrny akord zmilka i tonie...

I życia scen
szereg rozwiany
W sen
Pod kopułą białą nirwany!

Ach, w tej mgle
deszcz się rozdzwonił perłowych łez!
Śnię,
tonę w bieli, już nadszedł kres —

ARTYSTA DO KOBIETY.

Harfą mi jesteś! Pod mojem zaklęciem
Rozbrzmiewasz hymnu złotostrunnem brzmieniem,
I jesteś cała harmonii wcieleniem
I pieśni żywem źródłem i poczęciem.

Moc mam nad tobą! Mej ręki dotknięciem
Z pięknej cię czynię nieśmiertelnie piękną,
Że oto duchy szlachetne uklękną
W kornym zachwycie przed twem wniebowzięciem.

I wiedz: Czyś mi demonem, czy aniołem,
Kwiatem lotosu, czy cysterną szału,
Gdzie pragnień mnie i tęsknot ciągnie siła —

O pani ma i niewolnico społem! —
Ja cię na ołtarz wznoszę ideału
I spalam własne serce, abyś żyła!

O PÓŁNOCY.

Słyszycie, bije dzwon północy...
Ciemność jak morza szumi toń!
Cóż, może jutro już w niemocy
Opuścić przyjdzie zbrojną dłoń!...
Duch, co wstępował na szczyt owy,
Gdzie płomienisty gorze kierz,
Jutro nie dźwignę może głowy
I runę w proch i zgliszczów perz!

Tak. Może przyjdzie ów lęk siny,
Groza zawrotnych, chmurnych dróg...
Któż wie, czy patrząc w tajń głębiny,
Nie zadrży, miotan wichrem trwóg?
Pielgrzymie! w drodze twej tułaczej,
Gdy żar spopieli sił twych rdzeń,
Piołunu syty i rozpaczy,
Zstąpisz w styksowych borów cień...

Ale dziś jednak jeszcze stoję
W rozblasku dumy, próżen pęt,
Orlich roztaczam skrzydeł dwoje,
Na wichrów je podaję pęd!
Stargałem więzy mocą własną,
We mnie jest prawo! Moc swą znam!
Mrą bogi, słońca w mroku gasną,
Król-duch, swą gwiazdę niosę sam!

Gdy w mrok zniechęceń dzień się schyli,
Blask chwały mojej przelśni mgłę:
Ja wolny żyłem! W zwątpień chwili
Zaprawdę już nie było mnie!
Gdym ponad ziemskim wzlatał pyłem,
Gdy w sercu bił mi żaru zdrój,
Wtedy ja tylko, wtedy żyłem!—
To chwała moja, żywot mój!

Niechaj niewolnych rzesza biada,
Wszechmocnej widząc śmierci tron—
Żywota źródłem jest zagłada,
Co żywie, temu idzie skon!
W on dzień, gdy padnę, rab znękany,
Gdy mnie zaora cierpień pług,
Pomnijcie: Znałem szczyt świetlany,
Żyłem. Spłaciłem słońcu dług.

NATALIA NIECZUJA-DZIERZKÓWNA.

(JERZY ORWICZ).

Ur. r. 1873 w Kotiużanach (gub. Podolska).

»Poezye« (1902).

PARKO!... PRZECINASZ NIĆ.

Parko!... Przecinasz nić?...
Zaczekaj... Wstrzymaj dłoń!...
Chcę chwilę jeszcze śnić,
Nim martwą złożę skroń!...

Przeszłości moja!—wróć!...
Jeden mi oddaj dzień!...
Młodości hymn mi nuć,
Mych złudzeń powróć cień!...

Zegarze czasu!—Stój!
Dni moich wstrzymaj bieg,
Tu walka, życie, bój, —
A tam? Tam—ciemny brzeg!...

Gwiazdko!... zabłyśnij mi!...
Gwiazdko z dziecięcych lat!...

Niech serce znowu śni,
Że cały zmieści świat.

Niech jeszcze ujrzę raz
Mej zorzy jasny świt...
Niech jeszcze ujrzę raz
Mych marzeń wzniosły szczyt!...

Ziemio!... Kochałem cię!...
Jam o twem szczęściu śnił...
Lecz mrok otacza mię...
Lecz piersi zbrakło sił...

Rozlej płomienny blask
Mej duszy, lampo mdła...
Czy zachód to? Czy brzask?...
Czy kresu wróżba zła?...

Przedziwny widzę kraj!...
Czym ja w krainie złud?...
Świat nowy—jasny—raj!...
A może stał się cud?...

W tym świecie moich mar
Drga życie—blask—i ruch,
Miłości wieje czar,
Jedności łączy duch...

Na ludzkość spływa moc
Z otwartych wiedzy bram...
I mroczna pierzchła noc...
I prawda nie zna tam...

Lodowa prysła cieśń...
Wśród lasów, dolin, gór,—
Miłości śpiewa pieśń
Złączonych głosów chór.

Zaliż to wszystko sen?...
Ach!... Więc nie budźcie mnie!
Nim dzień nadejdzie ten,
Niech o nim naprzód śnię!...

Zaliż to kres już mój?...
Jak błogo mi tak śnić!...
Ziemio!... Jam w grobie twój!
. . . .
Parko!... Przecinaj nić!...

JERZY ŻUŁAWSKI.

Ur. 12 Lipca 1874 r. w ziemi Sandeckiej.

»Poezye«, 2 tomy (wydanie nowe r. 1901).

NIE WARTO...

Nie warto marzyć! Snów już i marzeń bezczynnych
W twardego życia walce zamarła epoka:
Ludzkość, syta już bajań i kwileń dziecinnych,
Innego żąda śpiewu, innego proroka!

Nie warto marzyć! Dzisiaj liryczną już pieśnią
Nie wzruszysz serca, w duszy nie wzniecisz płomienia:
Umilkli trubadurzy, — starą rdzawe pleśnią
Strzaskawszy lutnie, martwe urwali pół-pienia...

Nie warto... Jeśli czasem nieśmiała piosenka
Przypomni nutę starą, zdziwieni słuchacze
Nie pojmą dźwięku, szydząc nad piewcą boleją...

Nie warto... Wiem to dobrze—a jednak gdy ręka
Uderzy w struny, lutnia mi kwili i płacze,
Miłości piosnki stare dla ciebie się sieją!...

KĘDY-Ś, KRAJU?

Kędy-ś, kraju rodzinny? Tułacz i sierota
Różne ziemie objeżdżam i miasta i wioski,
Ale nigdzie nie mogę pozbyć z serca troski:
Wszędy idzie w ślad za mną, jak widmo—tęsknota!

Piękne miasta widziałem pełne sztuk i złota,
Alp widziałem lodowce i firmament włoski,
Morza brzeg i w mirtowych gajach białe kioski,
Kędy mieszka wesele, rozkosz i pustota;

W drodze nieraz z namiętnych ssałem ust przynętę,
Zapomnienia szukałem w towarzyszów gwarze,
Kończąc śmiechem udanym pieśni w łzach poczęte,—

Ale sercu nie ulżyć. Dzisiaj tylko marzę,
By powrócić na łany mojej ziemi święte—
I tam żyć i umierać, gdzie ojców ołtarze!

---

* * *

Nie ma nadziei, kto w spękanej łodzi
Bez żagli, steru, na oślep po fali
Pędzi z wiatrami! Nic go nie ocali,
A patrzeć musi, jak koniec nadchodzi.

Nie ma nadziei, a przecież nie skacze
W burzliwą otchłań, lecz deski się chwyta,
Choć wie, że żadna gwiazda nie zaświta,
I wie, że nigdzie nikt po nim nie płacze.

DUMKA.

Przez kamienie, przez wąwozy
Płynie strumyk w dal,
A nad brzegiem srebrne łozy
Grają tęskną pieśń do wtóru
Chorałowi fal;
W każdej nucie tego chóru
Smutek jakiś — żal!

W ciemnym lesie szumią drzewa,
Szumi cały bór —
A wiatr pędzi i przelewa
Pieśni one na doliny,
Hen z wierzchołków gór...
Strumyk, łozy i drzewiny:
Jeden wielki chór!

A z mej duszy z pieśnią smutną
Płynie tysiąc skarg
Na dłoń losów złą, okrutną,
Która wszystkie serca głosy
Z bladych zdjęte warg,
Jakby zżęte z łanu kłosy,
W świata rzuca targ!

— —

PRZECZ MNIE TY, PANIE, SKAZAŁ...

Przecz mnie Ty, Panie, skazał na to życie?
Przecz mi dał duszę wielką a niepłodną,
Bezsilnie dziką i wciąż wrażeń głodną,
Ciemności pełną, a śniącą o świcie?...

Przecz mi Ty gwiazdy pokazał na niebie
I strącił w otchłań, kędy światła gasną,

I tęsknić kazał za gwiazd marą jasną,
I wiecznie padać, wznosząc się do Ciebie?...

W PROSEKTORYUM.

Sala wielka i chłodna. Okna lśnią wysoko
Śmigłe, wązkie, ostrymi sklepione łukami,—
Szyby w ołów oprawne. Jasne słońca oko,
Błądząc długo pomiędzy winem i bluszczami,
Padło wreszcie do środka. Złote, drżące płaty
Rzuca wkoło niepewne; cofnąć by się chciało,
Wrócić znowu pomiędzy drzewa, zieleń, kwiaty
Bo tak strasznie tu wewnątrz, że słońce zadrżało.

Wszędzie stoły i trupy. Zimne, nagie ciała,
Usta strasznie rozwarte i rozwarte oczy:
Słońce piersi dotyka—pierś twarda, jak skała,
Pojrzy w oko—i krzepnie jak w lodu przezroczy,
Włosa szuka—lecz w czaszce gładko wygolonej
Siebie tylko zoczyło,—zlękło się zwierciadła,
Więc co prędzej w obłoków skryło się zasłony
I posępność znów większa w chłodną salę wpadła.

Ale trupy nie same. Pośród ciał i kości
Mnóstwo młodych, żyjących, gdyby kruków stada,
Zwłoki zewsząd otacza. Bez cienia litości
Zgraja noże błyszczące w nagie ciała wkłada,
Dziewic łona otwiera, starcom czaszki łupie, —
Serca, mózgi bezczelnie na zewnątrz dobywa.
Uczuć, myśli siedliska dziś w bezładnej kupie
Gnijąc leżą na ziemi i pył je okrywa.

Ciała w grobach złożone, spokojne i blade,
Urok śmierci otacza; pełne majestatu
Zakrywają przed widzem śmiertelną szkaradę,—
Budząc cześć i zadumę, wierzyć każą światu,

Że za grobem jest jakaś tajemna kraina:
Te zaś w prochu zhańbione i ciała i kości
Przestrach tylko wzbudzają i człowiek wspomina
Mimowoli o czarnej i wiecznej nicości...

Pocóż lotem bić w gwiazdy, na co życia wiry,
Na co piękność i szczęście i rozum i sława,
I co z pieśni, co z dźwięku rozżalonej liry,
Po co szaleć i cierpieć, na co praca krwawa,
Na co myśli, co ssają krew, gdyby wampiry:
Jeśli końcem istnienia zgnilizna plugawa,
Jeśli śmierć nas przemieni w marną garstkę błota,
Jeśli wieczność — niestety — tylko bajka złota?

POKUSA.

I.

Nadszedł tedy dzień zwątpień, pokus i rozpaczy.
W dniu tym słońca nie było; cały świat był szary
A w powietrzu wisiały zgniłych wód opary,—
Więc pytałem: czyż nigdy nie będzie inaczej?

Jakże ciemny ten żywot, ten żywot tułaczy!
Mało światła i znikąd w lepszą przyszłość wiary:
Kropla szczęścia nie słodzi bólu pełnej czary,—
A do tego tak rzadko wpaść w tę czary raczy!

Nigdzie, nigdzie oparcia, wszystko drży pod nogą!
Myśli w głowie się biją, jak w klatce ptaszęta,
Na świat chciałyby Boży, a wzlecieć nie mogą.

Biedne myśli! i po co rwać żelazne pęta?
Pusty szkielet świat kryje pod jedwabną togą,—
Czemuż nęci was, myśli, trupia twarz zeschnięta?

II.

Warto było dla skrzydeł nie oszczędzać znoju,
I myślami szturmować w gwiaździste rejony,
Kiedym śnił, że rozchmurzyć mogę świat zamglony
I że szczęście wybłysnąć może z tego boju!

Dzisiaj tonę w zwątpieniu, w myśli czarnych roju:
W pierwszym dniu bitwy jestem już ciężko raniony,
W pierwszym dniu pracy jestem już ciężko znużony,
W samym życia początku już pragnę pokoju...

Więc przychodzi czasami jakaś trupia mara,
Mówi: „Czego się lękasz? Stargaj bytu nici!
Tam cię czeka *Nic* wielkie i zapomnień czara,

Tam cię otchłań i bezmiar i chaos pochwyci,
Jak ogarnia świec płomyk wątłego komara!“
— Jad się sączy do piersi, myśl i duszę syci...

III.

Nie! Precz mi, maro trupia! precz z swoją namową!
Wieczny pokój i wieczny zanik ducha w grobie?
Nie chcę, nie chcę! O, raczej tu w burzliwej dobie
Krwawić czoło o losów ścianę granitową!

Precz mi, maro! Do życia, do życia na nowo!
Duch mój zatrząsł się w strasznej zwątpienia chorobie,
Ale zdrów jest już znowu, już odpoczął sobie
I chce znowu grzmot słyszeć i surmę bojową!

Może z mojej też walki kiedy kto skorzysta?
Co mi o to, że sam ja nie wezmę zapłaty?
Jęk mój może powtórzy przyszłość dzisiaj mglista,

Może rzuci go w ludzi, jak ziarno na rolę,
W chwili, kiedy ciężarna nowe zrodzi światy
I w rozkoszne przemieni dni pomarłych bole...

NIE WIERZ!

Nie wierz nigdy, o nie wierz, choćby ci mówiono,
Że miłość, szczęście, wiara, to są dźwięki marne,—
Nie wierz, że życie smutne tylko jest i czarne,
Że cierpieniem jedynie tchnie człowiecze łono!

Nie wierz, że w zgliszczach gasną płomienie ofiarne
A na ołtarz wystygły dżdże z wichrami wioną,
Że uprosić nie można nic dłonią wzniesioną,
Że zło światu króluje, ślepe i bezkarne!

Nie wierz, choćby sto razy mówili bluźnierce,
Nie wierz, choćby twe własne tak mówiło serce,
Choćby gorycz łez z oczu płynących mówiła,

Choćby pierś twa spalona strasznym ducha głodem
A stargana rozpaczą, przebita zawodem...
Ty nie wierz — choćby nawet to i prawda była!

ŻYCIE.

O! nie jesteś ty dobre, ani złe nie jesteś,
O! nie jesteś ty straszne, ani też ponętne,—
Jeno puste ogromnie i czcze jesteś, życie!
Trzykroć szczęśliw, kto umiał wlać ci treść— i toń twą
Myślą swoją zapłodnił! Temu rodzić będziesz
Bogów z piersi swej zimnej; ten w twym szumie głuchym
Harf usłyszy anielskich przenajczystsze pienia;
Przed tym, jako przed królem, będziesz chodzić, życie,
W krwawej gromów purpurze, w rozświtów błękitach,
W złocie zórz wieczorowych, w snów miesięcznych bieli!...
Słabych jednak pożerasz—i szumisz... i szumisz...
O! nie jesteś ty dobre, ani złe nie jesteś,—
Jeno puste ogromnie i czcze jesteś, życie!...

PINCHOS BEN JAHIR.

Dążył prorok od strony, gdzie słońce zachodzi,
Do krainy Gilead za rozkazem Boga,
By rzec grzesznym, iż kara czeka u ich proga
obwieszczać pokutę i starcom i młodzi...

Wpoprzek strugi Jordanu wypadła mu droga.
Patrzy prorok: w zwełnionej rozlana powodzi
Rzeka huczy, a nigdzie kładki ani łodzi,—
A czyż falom się oprze starca drżąca noga?

Rzecze tedy, nad mętny nurt podnosząc dłonie:
— Abym suchą mógł stopą przebyć twoje tonie,
W Imię Boga, którego wolę w sobie noszę,

Ustąp, rzeko, i cofnij wody swego łoża!—
Rzeka na to:—Mnie tędy pchnęła wola Boża
Nieco wcześniej niż ciebie—więc się rozzuj, proszę.

WŁADYSŁAW STERLING.

Ur. 31 Grudnia 1876 r.

»Poezye« (1900).

JABŁOŃ.

Stoi w moim ogrodzie jabłoń rosochata.
Co rok mróz ją porywa w swe białe ramiona,
A potem z pieszczotami spływa Maj, a ona
Gra wonią i różowe kwiaty w włosy wplata.

Aż raz skąpana w deszczu wichura skrzydlata
Strzaskała jej pień czarny. Myślałem, że skona.
Lecz nie padła — i cała ku ziemi schylona,
Tak skraśniała owocem, jak żadnego lata.

A ja się na to drzewo jasnym wzrokiem patrzę,
Bo znam dusze, dla których rozkosz od cierpienia—
I majowe uśmiechy są od szronów rzadsze,—

Co, jak pień, zdruzgotane i krwawe, jak wyłom,
Urągają potęgą płodu i mogiłom
I łzom i huraganom i paszczy zniszczenia.

ZACHÓD SŁOŃCA.

Niby raniony w skrzydło ptak złocistopióry,
Powoli spada słońce—i fala promieni,
Snopem piór zakrwawionych tryskając, czerwieni
Jaśniejące błękitem obłoków kontury.

Tuż pod niem ziemia—pyłek śród tworów natury.
Martwem okiem spojrzało na morze zieleni,
Owinęło się płaszczem szarzejących cieni
I zakryło płonącą twarz woalem chmury...

O słońce! ile dreszczem przejmującej grozy
Dla mnie w twem pożegnaniu i agonii zgrzycie,
W gorejącej koronie twej apoteozy,

W modlitwie, którą szepcesz spieczonemi usty,
W twej niemocy... I śmiech aż porywa mnie pusty,
Gdy pomyślę o ranku i jutrzennym świcie!...

WŁADYSŁAW ZALEWSKI.

Ur. 6 Listopada 1877 r. w Kaliszu.

»Ciche pieśni« (1899); »Skrzydła wichrowe« (1902).

BÓG WICHRU.

W ołowianej przestrzeni na rdzawym chmur stoku
Siadł bóg ogromny wichru— możny, nieruchomy—
Orły zakuł w łańcuchy i przywarł do boku,
Wichru bóg ten, co świata owładnął ogromy...

Ziemie legły mu korne—aż, jak grom uderzy,
Nagle złotych trąb granie śród zgiełku i trwogi,
Jak gdyby Pan w tysiące uderzył moździerzy!
To bóg wichru się zbudził—stanął i dmie w rogi!...

A czerwone źrenice palą mu się krwawo —
I ogromnemi skrzydły strasznie załopota — —
Chwila jeszcze—a z płuc mu w krwi dymie z kurzawą

Ostatni dech wyleci, co chmur zaprze wrota!...
Tak mi się nieraz marzy w moich dum pożodze
Ten wichru bóg, ten sędzia w krwi łunach, jak w todze!...

DWIE TRUMNY.

Jest gdzieś w podziemiach głucha, jest kirowa nawa,
Kędy mdłe, nizkie światła rzucają kaganki
Zawieszone u stropu, jak gwiazdy,—gdzie mgława,
Szczera Pustka krętymi tuła się krużganki...

Chłód i trupia stęchlizna tchną z onych cmentarzy...
I rzędy majaczeją zakonnic — kolumny,
Z gromnicami stojące, jak duchy, na straży — —
Na posadzce kamiennej dwie czernią się trumny...

Przykryte długim kirem, zdobnym w srebrne lamy
Widnieją dwie te truny ze krwawemi plamy —
Te truny, w których leżą ma Miłość i Wiara...

Dwie truny te!... Nad niemi zaś trzymają wartę,
Jak śmierci ta wychudła, straszna, zimna mara —
Te skrzydła me wichrowe, krwawe, rozpostarte!...

CICHE, MAJOWE RANO.

Ciche, majowe rano. W to rano tak cudnie
Dyszące jasną ciszą błękitów otchłanną
Idzie sznur białych dziewcząt na modlitwę ranną—
Idzie przez łąki moje, leżące odludnie...

I słychać dzwonów granie na mszę pośród błoni
Upojną tchnących wonią — i widać te w dali,
Jak puszyste obłoki, dziewczęta — z konwalii
Co mają białe wianki uwite u skroni...

A słońce to majowe na każdej sukience
Wiesza blaski słoneczne, ciche, rozzłocone...
Idzie sznur białych dziewcząt... A ja duszą chłonę

Sny owe, widma białe, co idą otchłanną
Błękitów jasną ciszą, wziąwszy się za ręce— --
Idzie sznur białych dziewcząt na modlitwę ranną...

LEOPOLD STAFF.

Ur. 14 Listopada 1878 r. we Lwowie.

»Sny o potędze« (1901).

KOWAL.

Całą bezkształtną masę kruszców drogocennych,
Które zalegly piersi mej głąb nieodgadłą,
Jak wulkan, z mych otchłani wyrzucam bezdennych
I ciskam ją na twarde stalowe kowadło.

Grzmotem młota w nią walę w radosnej otusze,
Bo wykonać mi trzeba dzieło wielkie, pilne,
Bo z tych kruszców dla siebie serce wykuć muszę,
Serce hartowne, mężne, serce dumne, silne.

Lecz gdy ulegniesz, serce, pod młota żelazem,
Gdy pękniesz, przeciw ciosom stali nieodporne:
W pył cię rozbiją dłoni mej gromy potworne!

Bo lepiej giń zmiażdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte.

ŚNIEG.

I.

Puszystą, nieskalaną bielą,
Jakby dziewiczych łóż pościelą,
Śnieg przykrył pola głuche, senne,
Aż hen, po bór błękitno-szary.
Pod kwieciem zimy śpią obszary
W zadumę bladej ciszy plenne.

Oczy me błądzą po bezbrzeżnej,
Melancholijnej pustce śnieżnej
I wstaje we mnie dni mych rano
Z popielisk zimnych martwej głuszy,
Gdym na łabędzich skrzydłach duszy
Miał lilii śnieżność nieskalaną.

Niesiony w przeszłość wspomnień falą,
Poję się duszy śnieżną dalą,
Sennie rozpływam się w niej cały...
...Śnię, że ma dusza swą tajemną
Biel rozścieliła tu przede mną
W step nieskończony, śnieżny, biały.

II.

W dali milczącej, modro-sinej,
Gdzie się pól śniegiem skłon jednoczy,
Przez czystą, mleczną biel równiny
Postać tułacza ciemna kroczy.

W żebraczy łachman kryjąc ciało,
Idzie wśród pustki sennej, bladej,
I w nieskalaność śniegu białą
Wtłacza stóp swoich brudne ślady.

I zda mi się, że widmo bolu,
Idąc, zostawia ślad bolesny

Na mojej duszy śnicżnem polu...
I trwożnie patrzę w step bezkresny.

PUHAR MOJEGO SERCA.

O, jak ostrożnie niosę ciche serce moje,
O, z jak niezmierną trwogą niosę je przez życie!
Omijam drogę, którą torują przeboje,
Omijam strome ścieżki, gdzie grozi rozbicie!
Bo z takim trudem dałem mu ciszę ukojną,
Z takim trudem zdobyłem dla niego ostoję,
Przystań dla umęczonych milczącą, spokojną...
O, jak ostrożnie niosę ciche serce moje!

O, jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu,
O, jak z nim trwożnie stąpam wśród drogi mej cichej,
Zdala od uczt, gdzie pośród płomiennego szału
Biesiadnicy trącają w wezbrane kielichy!
Gorycz rysę pęknięcia wyżarła w nim wieczną
A z takim trudem, długo, cierpliwie, pomału
Napełniałem go winem łez, mą krwią serdeczną...
O, jak ostrożnie niosę mój puhar z kryształu!

MOCARZ.

W kryształowej komnacie, na tygrysich skórach
Leżę odziany w przepych miękkich, wschodnich tkanin,
Ja, bałwochwalca życia, potęgi — poganin —
Król rozkochany w słońcu, kwiatach i marmurach.

Podnoszę do ust czarę w ametyście rżniętą,
Piję na cześć mej mocy, na jej wieczne trwanie!

Jeden mój ruch niedbały, a świat nowy wstanie!
Wezbrane życie święci we mnie wieczne święto!

Niema na świecie rzeczy pragnionej przeze mnie.
Mam wszystko... Pono są gdzieś ludzie, co tajemnie
Trawią się żarem tęsknot... Hej, zwołać ich, raby!

Szczęśliwym stać się musi każdy nędzarz słaby!
Dam im złoto, klejnoty, kosztowne kobierce
I serce moje, wielkie, dobre moje serce!

SŁOTA.

Deszczem mży brudna, nudna słota,
Miarowo pluszcze i chlupota
W rytm nieustanny, monotonny,
Jakby żebraka jęk przedzgonny.
Wszystko oblepia mokra chmura,
Szara, wilgotna mgła ponura...
Sennym chlupotem mży szaruga
Leniwa, ociężała, długa...

Nad wodą szarą, mętną, brudną,
Rozlaną w bezbrzeż hen bezludną,
Na dżdżu potworek siedzi mały,
Topielczyk wodą napęczniały.
Głowa pożółkła, duża, blada,
Sennie na piersi mu opada,
Jego bezmyślne, tępe oczy
Błądzą po chmurnych wód roztoczy.
I osowiały wielką tonią,
Uderza w wodę płaską dłonią
I pluszcze, chlapie w wodę mętną,
A deszcz melodyą mży natrętną.
Padają zwolna krople duże
W siwe rozmokłych błot kałuże,

Sączą się po zczerniałym murze...
O rynny tłuką nieskończenie
I rozlewają wkrąg znużenie
I obojętne odrętwienie...

Bez końca sennie i miarowo
Deszcz pluszcze ponad moją głową,
Kapie, chlupota gdzieś koło mnie...
Marzę coś sennie, nieprzytomnie...
Na brzegu wody nieskończonej,
Nudą szarugi odrętwionej,
Myśl moja pada, mdleje, drzemie...
Krople dżdżu lecą na me ciemię
Bez końca, sennie i miarowo...
Topielczyk usiadł nad mą głową,
Podnosi łebek swój leniwy,
W oczach mu ognik gra złośliwy.
Trucizną zgniłych wód nadęty,
Patrzy obłędnie uśmiechnięty
I ku bezmyślnej swej igraszce,
Po obolałej mojej czaszce
Uderza zżółkłą, płaską dłonią
W takt kropel deszczu, które dzwonią,
Lecąc miarowo w wodę mętną,
Melodyą nudną i natrętną.

CITTÀ DOLENTE.

Widziałem gród boleści ciemny i ponury:
Żałobą czarnej nocy mroki nad nim płaczą.
W twardy pierścień go skuły szare zimne mury,
Oblane wód umarłych bezbrzeżną rozpaczą.

Wszedłem weń z tchem zapartym grozą przerażenia.
Przede mną straszne pole dzikiego pogromu:

Przygniatająca cisza, bezduszność zniszczenia,
Zgruchotane granity i zwaliska złomu.

Wśród głazów leżą jakieś olbrzymie tytany.
Rwą się, wiją w męczarni... stal im pęta ręce,
W piersiach ich kipi głucho szał zemstą wezbrany...
O zuchwałych porywach śnią niewolni jeńce.

I zbuntowani wznoszą w niebo butne skronie!
Nie chcą uledz i wściekłość w ich oczach się żarzy!
Prężą barki, ramiona, krwawią o stal dłonie!
Żądzą odwetu krzyczy gniew ich ślepy, wraży!

Od ciał ich, tarzających się z dziką wściekłością
Podrzutami wybuchu, dudnią głazy twarde!
Lecz przeznaczenie ciemną powala ich złością,
Ostatni cios zadając w piersi butą harde!

Wyczerpani, bezwładni leżą; ciężko dyszą,
Błyskają krwawym wzrokiem i ściskają pięście...
Noc przywala zwalczonych zrozpaczenia ciszą
A sowiemi oczyma szydzi z nich nieszczęście...

Czasem patrzę w ten męki gród, śpiący w pomroczy,
Długo, nieporuszenie i wtedy tajemnie
Ściskam pięść i mam wtedy obłąkane oczy,
Bo ten gród buntowników jarzmionych... jest we mnie.

DZWONY.

Chowałem dzwony w piersi mej, ponure, groźne, głuche
[dzwony,
Drzemiące niby w mrocznej mgle dzwonnicy cichej, opuszczonej.

Czuwałem trwożnie nad ich snem, bo byłem w sercu pełen lęku,
By się nie zbudził śpiący śpiż z huraganowem echem jęku;
Czuwałem trwożnie nad ich snem tłoczącym, ciężkim, jakby
[ołów,
Kochałem bowiem senny czar opustoszałych już kościołów.

O duszo! Czemuś w ową noc, gdy w gruz runęły twe świątnice,
Rozpaczą swych zgorzkniałych ust plunęła w zmierzchłych
[nieb ciemnice?
Oślepły blade oczy gwiazd od jadów twej piołunnej śliny
I przerażenia ślepy strach widnokrąg ziemi zaległ siny.
O, w ową straszną, krwawą noc, dzwony się obudziły senne,
Gromowej nawałnicy szturm lejąc w otchłanie sfer bezdenne.

Z bezdni, gdzie głuchy leżał mrok, pomruk wydźwignął się
[ponury,
Wyrosło tysiąc nagich rąk, chwyciły silnie dzwonów sznury
I rozkiełznany dziki szał prostuje, kurczy rąk nawałę,
Co rwą i szarpią, jakby w strzęp rozrywać chciały światy całe!
Szarpiących rąk szatański szał rozdziera pierś broczącą w męce!
O, niezmużone w wieków wiek tysiączne nagie, silne ręce.

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!
Złowieszczy lament dzikich trwóg! Obłęd rozpaczy rozjuszonej!
Dławiący w głuszy czyha strach! Ogniste walą z chmur pioruny
W miedziane szczyty wzniosłych wież! Pomrok zalały krwawe
[łuny!
Bluźnierczej skargi bunt i gniew! Duszonych starców ciężkie
[skony!
Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe dzwony huczą!
A każdy huk śpiżowych płuc bucha brzemienny krwawą tuczą!
Morze dymiącej, spiekłej krwi rozlewa wkrąg odmęty błotne,
Które sięgają już mych ust, jak węże ślizkie i wilgotne!

Huk każdy ciosem wali w skroń, zbolałą skroń rozmiażdżą,
[stłuczą!
Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe dzwony huczą!

O dzwony, dzwony, dzwonów huk! Każdy powietrza nikły
[atom
Zmienił się w wściekły, głośny dzwon i skargi swoje wieści
[światom!
Każdy powietrza atom grzmi, burz rozpętanych szał rozlewa
I wrzaskiem tysiąckrotnych ech ryki potworne znów
[odbrzmiewa!
Z każdego dzwonu wali grom! Krew bucha z każdej dzwonu
[czary!
Huk! Nieskończoność dzwonów! Jęk! Wkrąg bezkres dzwonów!
[Huk w bezmiary!

Wszechświat się cały dzwonem stał, a jam jest sercem tego
[dzwonu.
Olbrzymi dzwon brzeg oparł swój o widnokręgi nieboskłonu.
Trącony w ruch, rozchwiany w pęd, rozmachem miota się i ciska
Buja nad chmury, spada w dół, szalona, straszna ma kołyska
Ja, serce dzwonu, pełen trwóg w spazmie przerażeń oszalałem
I w stujęzyczny twardy śpiż uderzam okrwawionem ciałem!

Błyskawicowym lotem gnam. Pęd dech zapiera, świszcze, smaga!
Pruję powietrze, jakby grom, uderza w dzwon pierś moja naga...
Głuszące ryki! Ostry ból! Rozbite ciało śpiż rozdziera!
Powrotnym lotem, jak wichr, gnam. Pęd świszcze, smaga, dech
[zapiera!
Pruję powietrze, jakby grom, uderzam w dzwon zbolałą
[skronią...
Głuszące ryki, ostry ból! Rany krwi spiekłej krople ronią.

Zbolałe ciało broczy krwią. Padają czarne krwi korale
W skłębionych huków ciemny wir, w spiętrzone dzikich szałów
[fale,

W pomroku straszny niecą blask, jakby miotane dla igraszek,
Świeciły krwawe oczy w mgle ze starczych wyłupione czaszek.
I pędzę, gnam i biję w dzwon struchlały wśród tych ślepych
[wzroków
I dzwoni tysiąc nagich rąk i niema dla nich pęt, ni oków!

Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!
Złowieszczy lament dzikich trwóg! Obłęd rozpaczy rozjuszonej!
Dławiący w głuszy czyha strach! Ogniste walą z chmur pioruny
W miedziane szczyty wzniosłych wież! Pomrok zalały krwawe
[łuny!
Bluźnierczej skargi bunt i gniew! Duszonych starców ciężkie
[skony!
Rozkołysane w grozy jęk, w ryk rozszalałe huczą dzwony!

GUSTAW DANIŁOWSKI.

Ur. około 1872 r. w Kazimierzu nad Wisłą.

»Na wyspie« (1901); »Poezye« (1902),

TOPOLA.

Przy cmentarzu nad rzeką, jak warta,
Stróżująca zapadłym mogiłom,
Piorunami topola rozdarta
Przeciwstawia niszczącym burz siłom
Moc trwania.

A gdy szara godzina uderzy,
Za cmentarny przechyla się parów,
Nad grobami uśpionych rycerzy,
I zadaje szelestem konarów
Pytania.

Wówczas każdy grób wzdryga się darnią
I z łoskotem się głębiej zawala,
Bo je pyta swą całą męczarnią
I tym gromem, co wciąż się zapala
W pniu czarnym.

*

Milczy cmentarz posępny i głuchy;
Jeden wicher w nim ciszę zamąca,

Co topoli rozdartej pień suchy
Swym szalonym podmuchem potrąca
I zgina.

I z wściekłością gałęzie obrywa,
I unosi daleko na pole;
A topola tak jęczy, jak żywa,
I boleścią wiekową swą dolę
Przeklina.

Pod nią rzeka spieniona i mętna
W mgły oparach się wije, jak w dymie,
Słychać westchnień ogromnych jej tętna
I kłębiące się w piersiach olbrzymie
Jej wiry.

A nad wszystkiem się zwiesza żałośnie
Noc i, niby samotna dziewczyna,
Co tka szychem całuny na krośnie,
W mroczne niebo pozłotę gwiazd wpina,
Jak w kiry.

Z poematu „NA WYSPIE“.

STATEK.

...W miejscu, gdzie morze wżarło się w skał ramę,
Przy samym brzegu zobaczyli plamę
Jasną, jak róży zawinięty płatek
Na tle zielonej, przywiędłej murawy.
Ktoś szepnął: „mewy“, a ktoś krzyknął: „statek!“
I tłum w dół spłynął, niby potok lawy.

Tak — to był statek mały, rodzaj barki.
Znać było z kształtów wdzięcznych, że go wznieśli
Tacy pieśniarze i takie pieśniarki.

Co w duszy mają doskonalsze miary,
Niżli gruntwaga i cal w ręku cieśli.

Wgłębiony w środku nakształt wielkiej czary,
Zgrabny i mocny budynek szkieletu,
Zbity misternie, jak forma sonetu,
Jak sonet zwięzły był i niezbyt ciężki.

Przód — ścięty ostro, jak w wierszu rym męski;
Po bokach rzędem, w przerwach jednej mety
Sterczały równe, niby strofki, wiosła.
Postawa masztów prosta i wyniosła
Strzelała w niebo, jak myśli poety.
Po masztach wężem zwieszały się liny,
A każda lina, jak zwrotka tercyny,
Była spleciona potrójnem wędzidłem.
Żagle w spokojnym, miarowym rozwiewie,
Jak śpiewne rytmy, kołysząc swem skrzydłem,
Bujały barkę—pieśń, zaklętą w drzewie.
Jak tytuł pieśni, na maszcie u góry
Igrała w słońcu bandera z purpury.
. . . .

WÓDZ MÓWI.

„Chwili przełomu—mówił—myśmy dzieci;
Lecz także grzechów ojców spadkobierce:
Żądza użycia, nabytek stuleci,
W głąb duszy wrosła, plami nasze serce!“

„Z gruntu krzywdami przesiąkłej wysepki
Od urodzenia piliśmy bezwiednie
Jad samolubstwa, a w puchach kolebki
Grzechy śmiertelne były nam powszednie“.

„Lecz dziś, zatlona iskra w sumień próchnie
Wznieca w nas ognie święte, bo ofiarne;
Trza ją rozdmuchać, niech pożarem buchnie,
Ogarnie dusze, przetrawi w nich męty,
I serca nasze od trucizny czarne
Na przezroczyste przetopi dyamenty!“

„Więc za mną, w górę! Niechaj dusza czerstwa
W jędrnem powietrzu z suchot się wyzwoli,
Niech się do wyżyn dźwignie bohaterstwa,
Lotów zawrotnych niechaj dozna szału
I posłannictwo swe spełniając godnie,
Zejdzie w promiennej światła aureoli
Na padół płaczu—gwiazdą ideału
Zapalać ludzi, jak żywe pochodnie!“

„Patrzcie w tę przepaść, gdzie dym mgły się wierci,
Gdzie czysty potok w tęczowych łez pyle
Tłucze pierś srebrną o kamienie twarde,
Bo, może, kiedyś i nam z widmem śmierci
Przyjdzie się szarpać w ciemnicy mogile,
Więc przywykajmy mieć dla niej pogardę!“

„Patrzcie na orła, co swych skrzydeł końcem
Przemaga falę powietrza upartą
I leci w niebo witać się ze słońcem
Źrenicą jasną, dumną, bo otwartą!
Nam, jak ten orzeł, żyć i walczyć trzeba:
Całym rozmachem wewnętrznej potęgi
Łamać przeszkody i wyniosłym duchem
Porwać za sobą świat w słoneczne kręgi,
A serca ludzkie otwierać dla nieba!“

NUREK.

Ból, niby nurek, pogrąża się w ciemnie
Tajników duszy, dłonią bezlitosną
Szuka tam skarbów i nieraz daremnie:
Zdobywa ledwie skargi muszlę głośną.

Lecz znów się rzuca w najgłębsze odmęty
I póty szarpie dno duszy wytrwale,
Aż gdy go na wierzch łez wyniosą fale,
Ma w krwawych dłoniach perły i dyamenty.

SMUTNA GODZINA.

Ziemia, odarta ze zbóż malowidła,
Tętnem skowronków już nie gra powietrze,
W ciszy wiatr tylko rozciąga swe skrzydła
A gdy się z drugim w pustych polach zetrze,
Przed majestatem słońca, co lśni krwawo,
Jak pióropuszem—pyszni się kurzawą.

Smutna godzina, choć i pełna czarów:
Lilie i róże— w niebieskiem namiocie,
Las, niby wojsko stubarwnych sztandarów,
W rdzawych pancerzach, w purpurze i złocie
Stoi spokojny w posępnej zadumie,
Jak świetna armia, która ginąć umie.

Splot rzeki martwy, niby smuga rtęci,
Zdaje się krzepnąć w żółtawem łożysku,
I tylko czasem w jakimś nagłym błysku
Ocknie się falą, jak zmarszczką pamięci,
Przypomni wylew, czas wiosny uniesień—
I o brzeg trąci szeptem: wieczór, jesień!...

Wieczór i jesień! i smutno podwójnie!
Żniwa minęły, a nie widać plonów,
Pełzają rude plamy wśród zagonów,
Co kwitły w Maju porankach tak bujnie;
I ciężko myśleć, co dadzą zasiewy,
Czy kłos ziarnisty, czy też tylko plewy?...

Z rozbitem sercem, z roztęsknioną duszą
Błądzę w żałosnych obszarach bez końca,
Gdzie w przepaść płyną krwią rydwany słońca,
Gdzie lasy w wichrach złote kopie kruszą,
Gdzie w rzekach martwych wzdycha fala rzewna:
— Wszystko wątpliwe, śmierć jedna jest pewna!

MARYLA WOLSKA.

Ur. 1874 r. we Lwowie.

MAJOWE NABOŻEŃSTWO.

Świec jarzęcych tyle,
I rozwiniętych kwiatów snopy zżęte,
I ziół pachnących wilgotne badyle,
W blask, przed Jej stopy położono święte...

Maj!
Najranniejsze, co na wiosnę
Lśnią po łąkach kwiaty białe,
Najpiękniejsze a nietrwałe,
Pod Twą pieczę
Przyniesione;
Nienazwane, niewyśnione,
Jako puchy z traw strząśnione,
Te najcichsze a żałosne
Sny człowiecze,
Wszystko mówi dziś do Ciebie:
Głosy ludzkie, kwietne, wietrzne,
Te doczesne i przedwieczne,
Wszystko się u stóp Twych kaja:
Pąki w sadach, ziarna w glebie,

Wszystko garnie się do Ciebie,
Ty gwiaździsta Pani Maja!

Ciemno w kaplicy, jeno ołtarz płonie.

Falą runi zielonej,
Od pól tu płyną wpław
Najpierwsze, rzeźwe wonie
Ozimych zbóż i traw,
Od łąk, gdzie u przypłoci
Drżą w kwiatach białe tarnie
I jaskrów smug się złoci...
A z wonią ziół się garnie
Wiosenny czar i dziw,
Sunący przez zagony
Zoranych grud i niw,
Zaklęcia swe powtarza
I dąży kornie ledz
W czeremchach u ołtarza,
W migocie złotych świec.

Mrok wieczorny nad ziemią zapada.

O takim zmierzchu koniuchowie zwykli,
Gdy dzień powiekę stuli jasnorzęsą,
Kręcić fujarki zielone, wierzbowe,
I w świat, za oczy, gdzieś z nadrzecznych wikli
Pieśń słać odwieczną wiosny i tęsknicy,
Jako ci szarzy po gajach słowicy,
Gdy z wątłej piersi śpiew na rosę trzęsą.
Taką godziną pełni srebrnik płaski,
Tarcza miesięczna, jako duch wybladła,
W mgle, nad wilgotne podnosi się piaski,
Nad łącznych smugów wypływa mokradła
I cichem światłem swej źrenicy bladej
Wysrebrza pola i łąki i sady...
O takim zmierzchu coś się budzi w duszy
I coś się zrywa... Wołanie ogromne,

Błagalne, jęczy i skarży się w głuszy...
I jakieś łkania ściszone ptaszęce,
I jakieś mary z żalu nieprzytomne
Wstają i każda w mrok wyciąga ręce,
Mówiąc: „O szczęście dzisiaj się upomnę,
O szczęście moje okupione łzami!
Niech oto nie mrę jako zagon w suszy,
O Pani można, módl się Ty za nami“.

O takim zmierzchu, gdy o co prosimy,
To w opar kwietny zamienione słowa,
Jak przedwieczorne podnoszą się dymy
I dążą w górę prosto, jak Ablowa
Ofiara czysta...

Na świecie Maj...

Pośród ciemnej trawy
Bieleją ścieżki, jak płótno na blichu,
A gwiazdy nocne jarzą się po cichu,
Srebrne, ogromne i na pełni bledsze,
Czeremszyn zapach płynie skądś gorzkawy
I woni falą powietrze
Nasyca;
Pod wierzb szeregiem jasny krąg księżyca
Dwoi się w strudze, a z odległych staj,
Gdzieś z rżysk dalekich fujarki pastusze
Ślą tony mokre, słodkie i nabrzmiałe
Westchnień oddechem... Maj na świecie! Maj!

Na dachach dymów smukłe pióropusze,
Jutru słoneczną wróżące pogodę,
Niby anioły stoją w świetle białe
I, jak anioły, patrzą na zagrodę...

W kaplicy ciemno: jeno ołtarz płonie.

Jako te leśne u Twych stóp konwalie
Z sercem dźwięczącem a srebrną odzieżą,

Tak mi się myśli w Twoim blasku śnieżą,
A skoro inne we mnie dojrzysz, spal je!
Spal je na popiół i obróć je w pyły,
Jak ogień polny dzikie niszczy zielska!
Pokój mi ześlij i użycz mi siły,
Pani Anielska!

Ja w Ciebie wierzę i wiem, że Ci dano —
W tę chwilę świętą, krótką, w tę wiośnianą
Godzinę łaski—na ziół chłodnej woni
Pojmować niemą dusz chorych wymowę
I niewidzialnem położeniem dłoni,
W te zmierzchy ciche ciepłe, fioletowe,
Uciszać skrzydeł krwawych szum i burzą
Myśli zawładnąć!

Że o takiej porze
Piersi litosnej masz rozwarte wrota,
A nikt Cię pono nie wzywał daremno,
Mistyczna Różo

I Bramo złota!

Daj pieśniom moim moc lotu skrzydlatą,
A duszy mojej czysty, górny ton,
Ciszę mi jasną i pogodę daj,
I czasy zbożne, i słoneczne lato,
Jesień owocną i plon!

Na świecie Maj.

Świec jarzęcych tyle,
I rozwiniętych kwiatów snopy zżęte,
I ziół wilgotnych pachnące badyle,
U Jej ołtarza...

Maj...

ŚNIŁO MI SIĘ...

Śniło mi się, co nigdy wyśnić się nie może,
Przyszło do mnie snu cieniem, co prawdą nie było:
Szczęście mi się wiosenne pod jesień przyśniło,
Jak ostatni, słoneczny promień na ugorze!

Śniło mi się, że młodzi jesteśmy oboje,
Że Maj stoi nad nami w białych drzew rozkwicie,
Że wciąż jeszcze cię kocham na śmierć i na życie —
Śniły mi się na ustach chłodne usta twoje...

Kwiat opadał z czeremszyn, śliw, jabłoni, wiśni,
Padał cicho — i śnieżnym osnuwał nas puchem.
Śniło mi się, żeś znowu czystym, wolnym duchem,
Śniło mi się, co nigdy w życiu się nie wyśni...

Jak ów mrący, ostatni promień na ugorze,
Zgasło wszystko... Naokół dzienna jasność biała;
Śmierć mnie przez sen chłodnemi usty całowała...
Śniło mi się, co nigdy wyśnić się nie może...

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.

Ur. 1878 r. w Opocznie.

»Poezye« (1902).

PRZEBUDZENIE.

Przychodzą do mnie jakieś echa
I krzeszą iskry złote w sercu...
Na snów, na jasnych snów kobiercu
Dusza do słońca się uśmiecha...
Ukołysaną, roztęsknioną
Błękitna słodycz opromienia,
Bo czuje, że się tlą w niej, płoną
Nowe zachwyty i pragnienia —
A zimna była już, jak lód,
Już odszedł od niej pragnień głód...

Przychodzą do mnie jakieś echa...
Snują się przy mnie jakieś mary,
Śni mi się słomą kryta strzecha,
Drzemiąca w cichej wiosce starej,
Śni mi się duże, letnie słońce,
Omdlałe kwiaty, senne drzewa,
Po ziemi ognie chodzą lśniące...
Tak cicho... stary sad nie śpiewa
I drzew nie chwieją się korony —
Usnął... w płomieniach... rozmarzony...

Przychodzą do mnie jakieś echa
I krzeszą iskry złote w sercu...
Na snów, na jasnych snów kobiercu
Dusza do słońca się uśmiecha...
I, zatapiając oczy w sobie,
Czuję, że dziwny żal ją smęci,
Bo wiosnę swą przespała w grobie
Melancholijnej niepamięci,
Bo zimna była już, jak lód,
Bo odszedł od niej pragnień głód...

PLEIN-AIR.

Leżę na stogu siana upojony ciszą.
Błękit mię obezwładnił, ogarnęła senność,
Oczy-m osłonił dłonią i w nieba bezdenność
Patrzę, kędy się srebrne obłoki kołyszą.

Marzę... W sercu, jak w księdze, myśli zgłoski piszą
Coraz inne—rozwiewną barw, obrazów zmienność...
Poi mię łąk aromat i słońca promienność,
Wzrok we mgły się obleka, piersi zwolna dyszą...

Tak gorąco, tak cicho... Gdy w dal niebieskawą
Spojrzę, dostrzegam, zda się, fal powietrznych drżenie.
Wiatr drzemie gdzieś w przestworzu, nie szeleści trawą.

Nie gra na harfie z liści jego skrzydeł tchnienie.
Senno, cicho... uroczo... Zatęsknię-ż za wrzawą
Życia, czując na sobie wieczności spojrzenie?

WIZYE.

I.

Mojej Matki zapłakane oczy
Patrzą na mnie z beznadziejną trwogą.
Słyszę głos jej, co we krwi broczy:
„Ja już nie mam na świecie nikogo“...

Przez otchłanie, przez góry i morza
Idzie za mną, jak echo tułacze.
Hen, na życia mojego bezdroża—
Idzie za mną, jak echo, i płacze...

Zdaje mi się czasami w noc ciemną,
Że jest przy mnie, smutna, zapłakana,
Że pochyla się cicho nade mną
I już usnąć nie mogę do rana.

Jak szaleniec, w mrok wyciągam dłonie
I odpycham jej wizyę od siebie,
Tę twarz bladą w cierniowej koronie
Od gwiazd lśniącej, jak rój gwiazd na niebie.

II.

Co noc ktoś cicho nade mną łka
I woła mnie po imieniu,
Na twarzy czuję stalowy blask
Oczu, błyszczących gdzieś w cieniu...

W bólu i trwodze serce me drży,
Jak ptak śmiertelnie zraniony,
Duszę, zasnutą w wieczysty mrok,
Oświeca płomień czerwony.

Jak wąż oślizgły winie się wstręt
I syczy w każdem wspomnieniu;
Co noc ktoś cicho nade mną łka
I woła mnie po imieniu.

ZMIERZCH.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe, wielkie morza...
Przez pola puste, szare, smętne
Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni,
Idzie i światła z ziemi zbiera.
Przez pola puste, szare, smętne
Idzie wieczoru ciemna zorza.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe, wielkie morza...
Po starych sadach śmierć się włóczy,
We mgłach deszcz płacze... deszcz się skarży
I monotonne psalmy śpiewa...
Po starych sadach śmierć się włóczy,
Znęca wędrowców na rozdroża.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe wielkie morza...
Przez pola puste, szare, smętne,
Idzie mnich czarny z krzyżem w dłoni,
Idzie i światła zbiera z ziemi.
Przez pola puste, szare, smętne
Idzie wieczoru ciemna zorza.

W smutku odpływa słońce senne
Za granatowe wielkie morza...
...W zaklętym zamku śpi królewna,
Śni o rycerzu w jasnej zbroi—
W zaklętym zamku śpi królewna,
W komnatach świeci światłość Boża...

A tam odpływa słońce senne
Za wielkie granatowe morza...

BRONISŁAWA OSTROWSKA.

(Edma Mierz.)

Ur. około 1882 r.

»Opale«.

Z GOŚCIŃCÓW DUSZY.

I.

Na złote fale kłosów i na polne kwiaty,
Na modre niezabudki i na jaskier dziki,
Na miodne koniczyny, łubiny i gryki,
Na lnów z lazuru nieba oderwane płaty,
  Na cichych miedz zbożowych szmaragdowe kraty,
  Gdzie nucą gwarną piosnkę świerszcze i koniki —
  Idzie mój duch, jak błędne moczarów ogniki,
  Obłąkany, choć jasny — smętny, choć skrzydlaty...
Na te łąki, owiane zapachami mięty,
Na te pola, stojące w różanej jutrzence,
Na kryształowej strugi wysrebrzane skręty,
  Na ciche szumy borów, na pieśni ptaszęce —
  Idzie duch mój, słodyczą wielką owionięty,
  Z ukochaniem do świata wyciągając ręce...

II.

Jest jedno wrzosowisko w naszym starym borze,
Gdzie rosną smukłe kity złocistej dziewanny,

Gdzie płynie pszczół i świerszczy pobrzęk bezustanny,
Tworząc słodkiej harmonii rozśpiewane morze...
  Dokoła macierzanką zarosłe bezdroże,
  I wrzosy, rozpłakane rosą w świt poranny,
  I rozkwiecone kępy pachnącej marzanny,
  Wpatrzonej srebrnem okiem w jutrzenkowe zorze...
Na owo morze kwiecia, na darń aksamitną,
Na kępy rozchodników, smółek i stokroci,
Idzie mój duch słoneczną drogą i błękitną —
  I w blasku słońca skrzydła poszarzałe złoci,
  I w barwnem morzu kwiatów, co dokoła kwitną,
  Napróżno chce odnaleźć jeden kwiat — paproci...

III.

W krąg zacisznej polanki, szumi bór podszyty
I leżą starych dębów wypróchniałe kłody,
I przewiewają dziwne i mogilne chłody
Poprzez mchów i paproci świetne malachity...
  Dokoła szumią świerków niebotyczne szczyty,
  A w ich cieniu się tuli drzewny orszak młody,
  Jak pod słomianą strzechę pochyłej zagrody
  Tulą się malw wysmukłe i tęczowe kity...
Na te ostępy smętne, na polankę oną,
Skąd w słońce krasek modrych zrywa się gromada,
Idzie duch mój samotny stopą umęczoną
  I na zwalonej sośnie zadumany siada,
  A bór modli się nad nim szumnych drzew koroną,
  Aż ukołysze wszystko cichość nocy blada...

IV.

Znam staw, gdzie w oczeretach świeci wody szkliwie,
A na pobrzeżu rosną kępy ostrokrzewi,
Gdzie chwieją się warkocze posępnych modrzewi
I w mętną głąb rzucają zczerniałe igliwie...
  Z wód powstają opary o rozwianej grzywie
  I błądzą, jak zbłąkany w roztoczach sznur mewi,

Aż włos ich mgławy wodę rozchwieje, rozśpiewi,
Że zadrży toń, jak harfa brzęcząca senliwie...
Wśród tych modrzewi smętnych, na staw pawiooki
Idzie duch mój zmęczony, żałosny i chory,
Idzie, jak tych oparów skłębione obłoki,
I pijąc łun wygasłych echowe kolory,
Zagląda w martwej wody przepaściste mroki,
Skąd wychylają twarze otchłanne upiory...

V.

Czasem duch mój usiada na przyzbie przed chatą
I patrzy na gołębi posrebrzane rzesze,
Co siedzą na słomianej, pochylonej strzesze
Zadumaną i cichą gromadą skrzydlatą...
Świat się owija blasku słonecznego szatą,
A dech wietrzany słońcu złote włosy czesze
I nowe skry złociste na przestworach krzesze,
A w niebie dyszy upał i goreje lato...
Duch mój siedzi na przyzbie w owem słońca złocie, —
Ale kiedy gołębia zerwie się gromada,
I trzepocząc skrzydłami w niewstrzymanym locie,
Na płonących bezmiarach w blasku niknie blada, —
On się zrywa i skrzydła wypręża w tęsknocie,
I jak gołąb kaleka—w pył i kurz opada...

VI.

Ginącą w dalekości topolową drogą,
Co cienie kolumn drzewnych rzuca na zagony,
Idzie w srebrnawym zmierzchu mój duch umęczony,
Wlokąc skrzydła, co w słońce unieść go nie mogą...
Wierzchołki smutnych topól drżą mistyczną trwogą
A naprzeciw wychodzi od bezmiarów strony
Cisza z wyciągniętemi przed siebie ramiony,
A wiatr kładzie się falą pod chłodną jej nogą.
Zmierzch rozlewa się blady w błękitnej bezbrzeży
I utula rozchwiane po łąkach lilije,—
I gdzieś na „Anioł Pański“ biją dzwony z wieży...

A duch mój łzawe oczy smutnie w skrzydła kryje
I zda mu się, gdy w ciszy dźwięk na bezmiar bieży,
Że to godzinę w niebie zegar wieków bije...

VII.

W ostępach naszych borów są grzązkie mokradła,
Gdzie w trzcinach płaczą czajki gromadką żałosną,
Gdzie tłumy poczerniałych oczeretów rosną
I rudzieją błot mętnych umarłe zwierciadła...
Tam, do upiornego podobny widziadła,
Przyszedł duch mój, oślepły i zmęczony wiosną,
I stanął zachmurzony pod zeschniętą sosną,
Co od grozy przerażeń wieczystych — pobladła!..
I zobaczył, że jakiś zbłąkany ptak szary
Spadł, bezsilny zmęczeniem, na mokradła owe...
I trzepotał skrzydłami i rwał się w bezmiary,!
Wpatrzony mrącem okiem w górną słońca stronę!...
Zwolna go pochłonęły bagienne moczary...
I zadrżał duch mój, kryjąc oczy przerażone...

VIII.

Do jednej cichej, wiejskiej kaplicy ustronnej,
Gdzie w ołtarzu Marya w złocistej sukience
Skrzyżowała na piersi swoje ciemne ręce,
Zasłuchana w hymn ciszy wiecznie jednotonny...
Gdzie na ołtarzu stoi bez i jaśmin wonny,
I smugi złotych kurzów kłębią się w jutrzence,
Gdzie przez okna wpływają rozgwary ptaszęce,
A blask oplata stopy słoneczne Madonny —
Przyszedł duch mój, stargany wichurami świata
I opętany wiecznem zwątpieniem tułaczem,
I stanął przed tą jasną, którą blask oplata...
Stanął widmem skrwawionem, ciemnem i żebraczem,
I tuliła go ciszą blasków Maryi szata,
Aż zapłakał, jak dziecko, cichym, dobrym płaczem...

MNISZKA.

Młoda mniszka w klasztornym rozkwieconym sadzie
Pod ciepłą falę słońca odsłoniła głowę
I kwitnących powojów pęki purpurowe,
Niby kielichy ognia, w krucze włosy kładzie.

Pręży młode ramiona w słonecznej spiekocie,
Odrzucając szerokie rękawy habitu,
I stoi pod gorącą kopułą błękitu,
Jak dziwny ptak, na słońcu skamieniały w locie.

Przez uchylone szyby gotyckich witraży
Spływają z głębi chóru głosy sióstr pokorne,
Zmieszane z wonią kwiatów, co schną u ołtarzy...

A w sadzie, w bujnym gąszczu splątanych powoi,
Zwieszających kielichy za mury klasztorne,
Pod spiekotą słoneczną młoda mniszka stoi.

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa do wyd. I-go. 1
„ „ „ II-go. 7

Brzozowski Karol.
Na przesilenie wiosenne 17

Pietkiewicz Antoni.
Z poematu „Sroczka“ . 19

Faleński Felicjan (Felicjan).
Terminus 37
Z harmonij jesiennych . 39

Zacharjasiewicz Jan.
Niepogoda 40

Łuszczewska Jadw. (Deotyma).
Z poem. „Jan Sobieski“ . 41

Kraushar Aleksander.
Dziewczę. 80
Proroctwo 81
Secessja 81

Kościelski Józef.
Może... 83
Pieśń wieczorna pielgrzyma 84
Złudzenie 85

Konopnicka Marya.
Duch mój, ptak Boży... 86
Z mojej biblii 87
Sclavus Saltans . . . 88
Przed sądem 90
List 92
Elektra 95
Urywek 98
Przy oknie siedzę... . . 98
Wezwanie 99
Na fujarce 100
Obielił nam... 102
A jak poszedł król na wojnę... 103
Ranek w Wenecji . . . 104
Willa Wołkońskich . . 104
Do wierzby w Prato . . 105
Widzenie morza . . . 106
Z poematu „Pan Balcer w Brazylji“ 107

Belza Władysław.
Droga do nieba . . . 110
Pieśń o koszuli . . . 117

Ochorowicz Julјan.
Naprzód! 119

Gliński Kazimierz.
Pieśń szczęścia . . . 122
Ze wspomnień greckich . 124
Nie tak!—nie tam! . . 125
Bajki 126
Do braci pieśniarzy . . 128

Gomulicki Wiktor. *Str.*
Na Kanonji. 132
Czary. 134
Francuzica 135
Odpoczywa 139
Nazbyt lubił... . . . 140
Pesymista 140
Ukochani przez bogów umierają młodo... . . 141
Obrazek ze starego miasta 142
El mole rachmin . . . 142
Gawalewicz Marjan.
Milusińscy 146
Rondo scherzoso . . . 148
Listopad. 149
Z „Królowej Niebios“ . 149
Wierzbicki I. S.
O brzasku 155
Serce i fala. 156
Pieśń samotnika . . . 156
Modlitwa. 157
Z poematu „Hanka“. . I58
Pilecki Antoni.
Z dumań passymisty . 161
Memento. 162
Jankowski Cz. (Czesław).
Paź królowej 165
Nad Lemanem. . . . 167
Na odlocie 167
Paź i rycerze 168
Z „Arabesek“ 169
Nitowski Jan.
Piosenka. 171
Nad grobami 172
Z chwil czarnych. . . 173
Bogdanowicz Edm. (Bożydar).
Cały romans 174
Nastrój 177
Kasprowicz Jan. *Str.*
Bądź pozdrowiona! . . 179
Z cyklu „*Z padołu walki*“
Chłopska dola . . . 180
Z chałupy 182
Z więzienia 183
Modlitwa moja cicha i bez słów... 184
Iungfrau. 186
Z cyklu „Nad przepaściami“. 187
Święty Bożel.... . . . 191
M-ski Adam.
Wieczorne sny. . . . 193
Nie módlcie się! . . . 197
Kosiakiewicz Wincenty
Comedia del'arte . . . 199
Weyssenhoff Józef.
Tanatos 202
Rossowski Stanisław.
Róża jesieni. 205
Gorczyca. 205
Ten sam wciąż obraz staje przede mną . . 206
Szara rzesza 207
Przesmycki Zenon (Miriam).
Romanza 209
Napis na grobie . . . 210
Twórcy 211
Jeszcze rondo 212
Święty ogień 212
Laskowski Kazimierz.
Zrękowiny 215
Wesele 219
Śpiewka.. 224
Oberek 225
Wyrwas 226
W Wielki Czwartek. . 227

Str.

Zielna. 229
Na Gromniczną . . . 230
Grusze 231
Zapachniało wiosną o jesieni... 231
Tęsknota. 232

Baliński Ignacy (Aksel).
Niech bieleje płótno szarel... 234
Z nocnych gwarów . . 236

Boguska H. J. (Hajota).
O gdybyś wiedział!.... . 237

Górski K. M.
Transkrypcie Horacego . 239
Z podróżnej teki . . . 240

Kuczyński Józef.
Wiosna 245
Wiośnianki. 246
Z „Melodyj greckich“ . 247

Lange Antoni.
Rym 249
Samotność 253
Pantum 254
Z „ksiąg proroków“ . . 257

Nowicki Franciszek.
Dunajec 261
Kosodrzew 262
Orlica. 262
Kozica 263
Świerk 263

Niemojewski Andrzej
Orzeł. 265
Genjusz burzy. . . . 266
Na wózku 266
Fragment 268
Nurek 268

Str.

Z „Liryk“ 269
Rzeka podziemna. . . 271
Nowy chodnik. . . . 272

Jankowski Józef.
Z „Sonetów małych“ . 274
Ze „Zwrotek“ 275

Blumental L. (Leo Belmont).
Na marginesie 277
Analiza 278
Zły patrjota-filister . . 279
Romans bez romansu . 279

Tetmajer Kazimierz.
Z „Preludjów“. . . . 281
Eviva l'arte! 282
Na królewskiem jeziorze 283
Widziadło 284
Na morzu polarnem. . 286
Z księgi „Exodus“ . . 287
Wędrowcy 289
Orzeł. 290
W kaplicy Sykstyńskiej 290
Apollo 290
Wszechmocny Bóg . . 291
Chrystus i Magdalena . 292
Z „Zamyśleń“. . . . 292
Zacisza 293
Na Anioł Pański . . . 294
Gwiazdy. 297

Oppman Artur (Or-Ot).
Kronika mieszczańska . 298
Demony 313
Trzy boginie 315
Fara 318
Berezyna. 319

Hlasko Stanisław.
Z wizyj górskich . . . 323

Str.

Wyspiański Stanisław.
Z poematu „Kazimierz Wielki“ 324
Z poematu „Bolesław Śmiały“ 335
Szukiewicz Maciej.
Rankiem w Morskiem Oku 344
Tenebrae lachrimantes . 345
Odrodzenie 346
Pokłon 346
Endymion 347
Fatum 348
Orkan Władysław.
Z tej smutnej ziemi... . 350
Rydel Lucyan.
Wieczerza Pańska . . 354
Chryste, o Chryste!... . 355
W noc miesięczną . . 356
Przystań. 357
Centaur i kobieta. . . 358
Syreny 359
Z cyklu „Żonie mojej“ . 359
Wstań pieśni! 362
Bruner Ludwik. (Jan Sten).
Morze. 364
Kiedy się z tobą żegnam... 365
Powązki 366
Dębicki Zdzisław.
Z cyklu „Wizye“ . . . 367
Nad morzem 369
Ze „skarg“ 370
Sceptycyzm. 371
Nox vadit 372
Przez mgły jesienne . . 374
Bez Boga 375
Guarda e passa! . . . 375

Str.

Szumi nade mną zwiędły liść... 376
Pójdę... 377
Czarne róże. 377
Powrót 378
Bukowiński Władysław (Salim).
Przychodzi czasem taki dzień!... 380
Szczepański Ludwik.
Rosa mistica 382
Znużenie. 383
Artysta do kobiety . . 384
O północy 384
Dzierzkówna Natalja (Jerzy Orwicz).
Parko, przecinasz nić . 386
Żuławski Jerzy.
Nie warto 389
Kędyś kraju?... . . . 390
Urywek (Niema nadziei)... 390
Dumka 391
Przecz mnie ty, Panie, skazał... 391
W prosektoryum . . . 392
Pokusa 393
Nie wierz! 395
Życie 395
Pinchos ben Jahir . . 396
Sterling Władysław.
Jabłoń 397
Zachód słońca 398
Zalewski Władysław.
Bóg wichru 399
Dwie trumny 400
Ciche, majowe, rano. . 400

Str.

Staff Leopold.
Kowal 402
Śnieg 403
Puhar mojego serca . . 404
Mocarz 404
Słota 405
Citta dolente 406
Dzwony 407

Daniłowski Gustaw.
Topola 411
Z poematu „*Na wyspie*“
Statek 412
Wódz mówi 413

Str.

Nurek 415
Smutna godzina . . . 415

Wolska Maryla.
Majowe nabożeństwo. . 417
Śniło mi się 421

Perzyński Włodzimierz.
Przebudzenie 422
Plein-air 423
Wizje 424
Zmierzch. 425

Ostrowska Bronisława (Edma Mierz.).
Z gościńców duszy . . 426
Mniszka 430